III, 1, 18, 66

STRYJOWA SPUŚCIZNA.

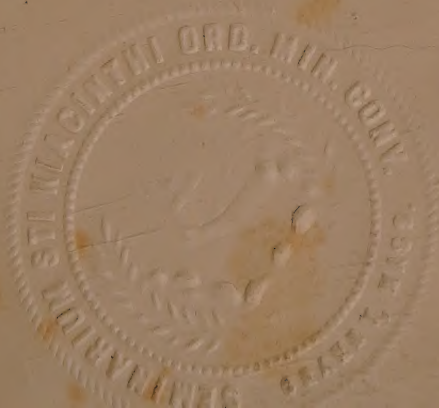

NAPOLEON ROUBA.

STRYJOWA SPUŚCIZNA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

WARSZAWA.

1896.

Printed in Poland

Дозволено Цензурою 7 Ноября 1895 г. Варшава.

Вильна. Типографія **Іосифа Завадзкаго** (Замк. пер. соб. д.)

I.

Czerwiec dobiega kresu, z całą pełnią swego życia wiośnianego, przechodząc powoli w długie i nieznośnie nużące lato na bruku miejskim.

Już prawie od dwóch tygodni Warszawa żyje tylko echem zgiełku, wystawy i szyku, stale towarzyszących kilkutygodniowemu karnawałowi wiosennemu. Czegoż bo ci ludziska, ci szczęśliwi, mający i wiele grosza i wiele humoru, nie wymyślą dla uprzyjemnienia sobie życia!

Taki karnawał wiosenny! — czy kto u nas słyszał kiedy o tem przed jakiemi dwudziestu laty?

Jarmark wełniany i wyścigi wiosenne bywały zawsze tym magnesem, który ściągał na bruk Warszawy miłych gości—ziemian. Gościnni warszawianie witają ich zawsze radośnie, a żegnają z żalem... aż do następnego roku.

Tradycya każe, by taki tłusty i rumiany gość ze wsi umiał się pokazać godnie wobec łyków miej-

skich. Nic też dziwnego, że owi goście, zawsze wierni tradycyi, ruble zebrane z wełny hojnie rozsiewają w mieście.

Nic w naturze nie ginie, szlachta (no czasem i to dość już często i nie szlachta) strzyże owce i barany, a sama jest strzyżona przez warszawiaków.

Jeździli kiedyś na ów jarmark wełniany i wyścigi tylko mężowie, ojcowie i bracia, lecz było to jawne zapoznanie praw żon, córek i sióstr. Ta i owa z pięknych pań, nie chciała się już kontentować parasolką i kapeluszem sezonowym, otrzymanym w prezencie z miasta, — i zwolna urodził się karnawalik wiosenny.

Wiadomo przecie każdemu, że jest u nas odmiana podobno najszlachetniejszych i najjaskrawiej upierzonych dwunogich ssaków, które z pierwszym podmuchem jesieni rozbiegają się po Europie, szukając odpowiedniejszych dla siebie żerowisk. Zasadniczą różnicę pomiędzy niemi i ptastwem wędrownem stanowi ta okoliczność, że ptastwo wraca na wiosnę do swych gniazd, łąk, pól, lasów i wód, i nie opuszcza ich aż do jesieni, oni zaś powtarzają odlot po wiosennem przybyciu, już w końcu tejże wiosny.

I to są goście wiosennego karnawału, a nawet podobno inicyatorowie jego. No i słusznie, boć przecie nie karnawałując w zimie wśród rodaków,

poczuwają się do obowiązku przypomnieć tymże, że i oni umieją się bawić.

Dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni czują tęsknotę do ziemi rodzinnej, na której mieszkają ich oficyaliści, dzierżawcy, żydzi, kupcy i inne podobne maszyny, służące do roboty lub tylko napędzania pieniędzy.

Wiosna jest epoką kontraktów, przy których pobierają się wysokie zaliczki, a jesień — zbiorów i leśnych sprzedaży; warto tedy chronicznie co rok cierpieć przez czas dość krótki na nostalgię, kiedy uleczenie bywa i dobre i dość łatwe.

Poczciwe boćki wracają corocznie na nasze łąki i błota i skrzętnie zbierają żaby i węże; i choć niejeden rolnik lub naturalista dowodzi, że wśród płazów, często im się zdarza porywać młode zające, skowronki, kuropatwy i przepiórki, boćki nie tracą powszechnej sympatyi; i najuboższy gospodarz chętnie ich widzi nad strzechą swej budowli.

No, a też ssaki wędrowne? Podobnie żerują, — z tą jednak różnicą, że często nad miarę i potrzebę, a zawsze biorą znaczne zasoby z sobą przy odlocie dla roztrwonienia po świecie, czego już boćki nigdy nie robią.

Lecz warszawianie nie filozofują.

Przepiękny maj wszędzie bywa powabnym i w Warszawie bogactwem barw, słońca i woni.

Spracowany, a głównie znerwowany życiem ciasnem i gorączkowem mieszczuch, oddycha w maju całą piersią, szukając nowych, lepszych uczuć, nadziei, a czasem i marzeń. Skromne fiołki w rękach przekupnia, kwitnące bzy i jaśminy w publicznych ogrodach i skwerach, wita co rok z zachwytem, choć są one zawsze te same, zawsze niezmienne. To samo robi i z gośćmi ze wsi i... z tych dalekich żerowisk: stroi się w szatę weselną i «*z ostatniego pociąga się*,» by z siebie wydobyć dobry humor, energję i potrzebną zręczność... do strzyży.

Miasto przez parę tygodni lub mało co więcej wre życiem o wysoko podniesionem pulsowaniu. Każdy bez różnicy wieku, płci, stanowiska i funduszów bierze w czemś udział niezwykły: czy to w zyskach, czy w istotnej zabawie, czy też tylko w przeżuwaniu fikcyjnem cudzych spostrzeganych rozkoszy i rozrywek.

Po takiej gorączce tem cięższe bywa przesilenie ku martwocie letniej, a to tembardziej, że w tym czasie miasto traci jednocześnie swój żywioł najruchliwszy — młodzież kształcącą się, i — *stany główne*, czyli tych wszystkich, bez których Warszawa nie byłaby Warszawą.

A oni bez Warszawy? Farsa!... A gdzieżby się podzieli?

Po karnawale więc post, mniejsza o to, że poszczą ci właśnie, którzy najmniejszy udział brali w karnawale; niech poszczą już od połowy Czerwca poczynając i czekając..... następnego karnawału.

Pod koniec tedy czerwca nawet na Krakowskiem Przedmieściu w godzinach przedobiednich daje się spostrzegać brak ruchu i ożywienia. Na niewielkim skwerze nieliczne drzewa i krzaki nie tracą jeszcze wprawdzie swej dość młodzieńczej zieloności, lecz już je okrywa grubą warstwą kurz uliczny, nie obmyty z powodu przydłuższej stałej pogody. Trawa na gazonach już w części pożółkła, więcej wskutek psich harców lub niesforności przyprowadzanych tu dzieci, jak braku sił żywotnych. Lecz mała to bieda, jeden deszczyk ożywczy przywróci tu życie, siły i barwę.

Trudniejszą chyba rzeczą by było wyprostować i rozchmurzyć te kilkanaście męzkich postaci, to po kilka razem, to pojedyńczo, siędzących na ławkach lub chodzących po ścieżkach skweru. Na twarzy każdego widnieje post przymusowy: wszyscy ci mężczyzni, przeważnie w sile wieku będący, byli to kandydaci na posady prywatnych służących, lokai, stangretów, kucharzy, szwajcarów, kelnerów i t. p. Byli tam i bruneci i blondyni, łysi i z si-

wemi głowami, tłuści i szczupli, z brodami i wąsami, z bakami, tylko z wąsami, tylko z brodami a raczej podgardlem, lub wreszcie zupełnie bez zarostu. A zajęcie każdego łatwo poznać można, już z pierwszego rzutu oka. Lokaje wyróżniają się zręcznym chodem i pochyleniem górnej połowy ciała ku przodowi przy rozmowie, obok tego są prawie wszyscy wypomadowani, w letnich paletotach, lub marynarkach o widocznym otwartym gorsie koszuli, której podejrzaną czystość napróżno usiłuje zakryć zręczny węzeł modnego krawata. Stangreci mają prawie wszyscy kabłąkowate nogi w długie buty ubrane; każdy z nich co chwila robi ruch prawą ręką, jakby konia podcinał, lub też trzaskał z bicza.

Szwajcarzy górują powagą i wspólnie z kucharzami stanowią główną liczbę tłustych w zebraniu; szwajcarzy stale lewą rękę trzymają pomiędzy dwoma zapiętymi guzikami paltota, kucharze zaś za paskiem podtrzymującym dolne ubranie.

Wszyscy oni osiedli na mieliźnie po letnim karnawale, gdyż wiele domów wyjeżdzających na letnie miesiące z miasta uwalnia połowę służby. Ofiarą padają mężczyzni, bo ci drożej kosztują. Takim sposobem najlepszy służący może być niespodzianie pozbawionym miejsca, bez możności znalezienia innego w ciągu lata.

Skwer ten z ławkami—to poczekalnia, niejako należąca do będącego w pobliżu kantoru stręczeń, którego właściciel wysyła chłopca kantorowego po potrzebnego «dla interesu» na skwer, będąc pewnym, że tam ci wszyscy, którzy zapłacili w jego kantorze wpisowe zawsze znajdować się zwykli w porze letniej. W zimie lub podczas niepogody poczekalnią stawała się poblizka bawarya.

Twarze zebranych nie odznaczały się ani wyrazistością, ani czemkolwiek charakterystycznem. Prywatna, ciągle pod okiem pana, służba aby była znośną, wymaga zupełnego starcia tak z powierzchowności, jak i temperamentu służącego, wszystkich cech indywidualnych. Biada służącym, którzy o tem zapominają, lub są niezdolni opanować siebie: to pół życia w oczekiwaniu, jak dziś, przed kantorem, drugie pół—jedno pasmo zawodów, a koniec—w szpitalu lub na barłogu.

Służący to katarynka, to herofon, to jakaś inna podobna marna maszynka, na której każdy partacz zagrać powinien umieć.

Wszyscy tu zebrani już od kilku lub nawet kilkunastu dni napróżno codzień przychodzą z zapytaniem do kantoru, a następnie prawie do wieczora siedzą na skwerze, o miejsca bardzo trudno; tylko kelnerzy ciągle się zmieniają wsród grona poszu-

kujących miejsc, inni już znają się wzajemnie z widzenia lub doraźnej pogawędki.

Wbrew prawom natury ci ludzie nie układają się w grupy jednogatunkowe; w każdej jest np. kucharz, lokaj, stangret lub szwajcar, lecz nigdy lokaj nie rozmawia z lokajem, kucharz z kucharzem i t. p.

Osobniki jednej sfery działalności odpychają się wzajemnie jak dwa bieguny jednakie, choć wszyscy znają się wzajemnie.

Dziś przy sobocie każdy z czekających co chwila zwraca niespokojne spójrzenia w kierunku drzwi kantoru, czy z nich nie wyskoczy wszystkim dobrze znany Jasiek w niby liberyjnej kurtce z metalowymi guzikami, i nie poprosi którego «*z panów*» do *starego*.

Prawda, że zaledwo kilku z całej liczby jest żonatych, i tych poznać łatwo po bardziej zbiedzonych fizyognomiach, lecz niemniej każdy by rad zakończyć to przymusowe bezrobocie. A umowa zrobiona w sobotę tem jest wygodniejszą, że prawie zawsze udać się może stanąć na służbę w poniedziałek, a więc niedziela zostanie jeszcze dla siebie. Po kilkunastu dniach próżniaczych ten jeden jeszcze staje się nadzwyczaj pożądanym.

Z prywatnych służących w mieście rzadko który się może ożenić, a jeśli się raz ożeni, tem rzadszym jest taki, któremu się jako tako powodzi.

Panowie mają powszechne przekonanie, że kawaler bywa więcej służbie t. j. *im* oddany, sam nie mając rodziny. Błogie przekonanie! Ba!—może i słuszne. Wszak niejeden lokaj lub kamerdyner bywa *istotnym* członkiem rodziny, choć *rodzina* się stara usilnie milczeć zawsze o tem.

A obok tego człowiek familijny łatwiej może się stać nieuczciwym, mając zwiększone potrzeby. No, to już chyba całkiem marne apostolstwo wsród młódszej braci!

Wsród innych wyróżniał się i powierzchownością i wyrazem twarzy młody, szczupły blondyn, który stale trzymał się oddzielnie od towarzyszów. Powierzchowność jego nie miała na sobie tego piętna łokajsko-kelnerskiego, którem zostaje napiętnowany każdy, kto dłużej wyciera sobą knajpę, kredens lub przedpokój. Twarz zaś, o dość regularnych rysach, jakkolwiek zdradzała, że młodzieniec już wiele przeżył, nie była pozbawioną wyrazu i śladów pracy umysłowej.

Byłto może najdawniejszy ze wszystkich gość w tej letniej poczekalni, choć nie siedział ciągle; przychodził dwa lub trzy razy dziennie na pół godziny i znowu się oddalał. Czy go męczyło towarzystwo na skwerze zebrane, czy też może śpieszył do kogoś lub czegoś?

Godzinę jedenastą wydzwania zegar na wieży w pobliżu. Jeden ze stangretów pluje przed siebie i, biorąc pod rękę szwajcara, ciągnie z nim do poblizkiej szynkowni na kieliszek lub kufel, a może i na jedno i na drugie.

Kilku wychudłych i wybladłych lokai i kelnerów, po bezowocnem zaglądaniu w oczy obecnych na skwerze nianiek i przechodzących kucharek, niecierpliwie drepcą dokoła basenu od fontanny, nigdy nieuruchomianej, i połykając dym z co chwila zapalanych papierosów, rzucają niedopalone resztki do basenu.

Słońce przypieka coraz goręcej, z ulicy słychać tylko powolny turkot dorożek i dzwonki tramwajów, górujące ponad słabym, jakby sennym szmerem złożonym z ludzkich głosów i uderzeń kopyt końskich.

Jeden z kucharzy, chyba najstarszy z grona, dobywa z kieszeni bułkę i serdelek i naprędce spożywa śniadanie, rzucając przed siebie okruszyny bułki i skórkę serdelka dla kilku wróbli, czyhających na zdobycz.

Kucharz ze szwajcarem, zawsze trzymając się pod ręce, tylko cokolwiek czerwieńsi, wkrótce wracają na skwer przez wschody.

— O!! a ci tam czego chcą!—woła szwajcar.

Okrzyk ten wraz z gestem wskazującym ręki zwrócił uwagę wszystkich w kierunku kościoła, przed który zajechały jeden za drugim trzy powozy.

Cała gromadka wyczekujących pośpieszyła ku kościołowi wraz z kilkunastu innymi przygodnymi gapiami.

Pozostał na ławce tylko jeden młody mężczyzna-samotnik, o przyzwoitej powierzchowności.

Z trzech powozów pierwszy był bardzo wytwornym małym faetonem, drugi starą karetą, a trzeci ogromnem pudłem na resorach; wyraźnie był to rzadki gość na bruku miejskim.

Z faetonu wyskoczyli lekko dwaj młodzi, wytwornie ubrani ludzie, w których bez względu na różnicę włosów, gdyż starszy był brunetem, a młodszy jasnym blondynem, łatwo było odgadnąć dwóch braci.

Stare rozkołatane drzwiczki karety długo stawiały opór ręce, ze środka chcącej je otworzyć, gdyż służącego na koźle drugiego nie było. Wysiadły dwie silnie zawoalowane damy, jedna bardzo mała i bardzo szczupła, a druga bardzo wysoka, lecz niemniej szczupła.

W pudle nareszcie siedziało dwóch mężczyzn, a na koźle obok woźnicy w liberyi mieścił się drugi służący w ubraniu krojem zbliżonem do uniformu kozackiego, choć barwy jednolitej szarej. Podobień-

stwo zwiększało się wskutek okrągłej czapki wysokiej, długich butów i olbrzymich siwych wąsów.

Z dwóch panów, młodszy otyły z teką pod pachą z pewną usłużnością wraz ze służącym dopomagał przy wysiadaniu drugiego, wysokiego starca z bogatym mlecznego koloru zarostem na czerstwej rumianej twarzy, o surowem i badawczem spójrzeniu.

Całe towarzystwo udało się do kościoła. Ciekawi, którzy się dość już napatrzyli koniom, powozom i ludziom, pośpieszyli za niemi do wnętrza kościoła.

Dwa duże arkusze w żałobnych obwódkach, przyklejone z obydwóch stron drzwi kościelnych zapowiadały na dzień ten na godz. 11-ą, żałobne nabożeństwo w dziesięcioletnią rocznicę śmierci ś. p. Ignacego hr. Hołodaja.

Przez uchylone drzwi boczne widzialne szeregi świateł i żałobny katafalk tłómaczyły jeszcze dokładniej treść ogłoszenia. To powstrzymało niemal wszystkich ciekawych.

— Musiał, *para,* dużo zostawić, kiedy jeszcze za niego po dziesięciu latach ludzie chcą się modlić!— zaopinjował roznosiciel gazet, kilkunastoletni obdartus-filozof.

Zwrócono uwagę ponownie na konie i powozy.

Lokaja-kozaka nie było. Nikt nie spostrzegł, gdy on po odprowadzeniu pana do drzwi kościoła, zwrócił się w bok na ulicę i, po małem wahaniu, dostrzegłszy szyld kantoru stręczeń, wszedł doń natychmiast.

Kiedy goście z poczekalni wracali zwolna na swe na chwilę opuszczone stanowisko, ze drzwi kantoru wybiegł jak z procy, rozczochrany Jasiek.

Wszyscy drgnęli, przyśpieszając mimowolnie kroku.

Jasiek już zdaleka wołał:

— 260, kawaler, z francuskim, na wyjazd—proszę do starego! —

Wszyscy spojrzeli po sobie wzajemnie, szukając szczęśliwego. Ten siedział na ławce i w tej chwili już podniósł się, by pośpieszyć na wezwanie.

Czyż nareszcie?!...

W kantorze zastał jeszcze siwowąsego kozaka, który po kilku wyrazach informacyi, dał adres i polecił kandydatowi stawić się u swego pana na godzinę piątą.

Kiedy kozak się oddalił, młodzieniec przeczytał na kartce nazwisko: Szymon hr. Hołodaj, hotel Europejski.

Zamyślił się, jakby cóś przypominając ruszył niecierpliwie ramionami i kiwnął głową razy kilka przecząco.

— Jakto! pan nie chcesz, do hrabiego i na wyjazd za granicę? — oburzył się przewodnik kantoru.

— Tak,... nie bardzo; wolałbym coś innego.

— No, nie grymasić, bo lipiec to nie żarty, można będzie jeszcze długo pogwizdać sobie na skwerze. Służba się trafia dobra, jeden tylko stary pan i to bogaty, już ja to wiem. A jeszcze i za granicę! Fiu! fiu!... Pan Ludwik idzie w górę.

— Ha, może i spróbować.

— Ależ tak, będzie jaknajlepiej, proszę dziś zaraz interes kończyć, a potem policzymy się o moje procenciki.

— Niech pan będzie spokojny, te panu nie przepadną.

— A więc życzę szczęścia i niecierpliwie oczekuję.

Uroczyste żałobne nabożeństwo, odprawiane w Kościele, było nie głównym, lecz okolicznościowym aktem uznania dla ś. p. hr. Ignacego.

Dziś właśnie przypada termin dojścia do pełnoletności ostatniego potomka zmarłego, córki Cecylii, owej wysokiej i szczupłej damy z karety. Na mocy orzeczenia testamentu dzień ten miał posłużyć kresem do ostatecznego majątkowego uwłasnowolnienia wszystkich sukcesorów, bo hrabianka miała i

dwóch braci: starszego Henryka, lat 30, i młodszego odeń o sześć lat, Jerzego.

Hrabiowie Ignacy i Szymon byli tylko przyrodnimi braćmi z jednego ojca Augusta, protoplasty hrabiowskiego domu Hołodajów. Matki obydwóch należały do rodów zdawna sobie nieprzyjaznych, nic więc dziwnego, że i bracia, każdy pod innym a drugiemu nieprzychylnym wpływem zostając, pozostali dla siebie niemal obcymi, choć do wyraźnego zerwania długo nie przyszło.

A stało się to wtedy, kiedy hulaszczy Ignacy, po roztrwonieniu działu ojcowskiego i wniosku matczynego, poszukał dla siebie karyery w połączeniu z córką Radomskich, po chrzcie nobilitowanych dopiero w końcu XVIII stulecia.

Był to powód dostateczny dla hr. Szymona, i odtąd bracia nie spotkali się już więcej.

Hrabina z Radomskich Hołodajowa w szesnastym roku pożycia niezbyt szczęśliwego pożegnała męża i dzieci... listownie obcem pismem z południowej Francyi, umierając na suchoty. Mąż podążył w jej ślady coś w lat pięć poźniej.

Papa Radomski, finansista, dowodził przed światem, że to było szczęściem dla jego wnuków; gdyby hrabia pożył jeszcze pięć lat, dzieci dostałyby tylko... jego długi w spadku. A tak po likwidacyi domu, udziałów w przedsiębiorstwach i spółkach,

Radomski zebrał okrągłe 120 tys. rubli, jako cały majątek dla trojga nieletnich wnuków.

Testament wskazywał na opiekunów hr. Szymona i Radomskiego ojca, a po śmierci tychże obydwóch, lub jednego Radomskiego, jego syna młodego Adolfa.

Hr. Szymon zachorował na wieść o tem zaszczytnem powołaniu na stanowisko opiekuna dzieci nienawidzonego brata. Zrazu prawnie chciał zrzec się wszystkiego, lecz wdały się w to przeróżne powagi obrończe dla hrabiowskiego nazwiska Hołodajów, i hr. Szymon uległ, odrazu zakreślając dla siebie aż nazbyt skromną rolę w opiekuńczej pracy.

Stary Radomski klął się, że od siebie nie da wnukom ani grosza, ale za to postara się, by zebrany kapitał dał przynajmniej 12%. Przez trzy lata swojego życia wiernie słowa dotrzymywał i na łożu śmierci przekazał synowi nadal spełniać ten rodzinny obowiązek. Ale stary jeszcze za lat młodych nosił pejsy, etyczna więc jego strona była prosta i mało sprężysta, pan Adolf, zaś jako kierownik domu bankierskiego «krajowego», był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, i o przesądach ojcowskich niechciał nawet słyszeć, a nietylko w czynach je usprawiedliwiać.

Lecz tych dwóch opiekunów dla sierot, z których najmłodsza Cesia liczyła 11 lat życia, było

zamało, bo żaden z nich ani chciał ani mógł zająć się rzeczywistą opieką nad samemi dziećmi. Wybór opiekunów zgodnie padł na daleką krewną Hołodajów, hrabiankę Joannę Nowomiejską, która już za życia hrabiny Ignacowej często przebywała w jej domu w charakterze mistrzyni i damy do towarzystwa z dobrej a nieprzymuszonej woli.

Hrabianka Joanna już w tym czasie była starą panną.

Zdaje się bezpośrednim tego powodem był bardzo mały posag i równie niewielki, choć dość wyraźny, garb. Lata dzieciństwa i młodości spędziła w Galicyi, w Warszawie zjawiła się już jako dobrze dojrzała, lecz raz stanąwszy na pewnym punkcie zmarszczek, siwizny i chudości, zatrzymała się niewzruszenie, jak mumia zabalsamowana.

Od przyjazdu do Warszawy życie swe poświęciła miłości bliźniego i dwom faworytom psiego rodu Fonsiowi i Turciowi. Złośliwi utrzymywali, że te imiona dane były faworytom na wzgardę podobnych, noszonych przez oficerów kawaleryi austryjackiej, których napróżno ostrzeliwała hrabianka w rzekomych latach swojej młodości i wdzięków.

Mieszkała sama w Warszawie przez pół roku, przez drugie pół bawiła za granicą lub na wsi u krewnych lub przyjaciół, których sobie upatrzyła. Zachowywała również wszystkie pozory zamożności,

należne dobremu urodzeniu, a obok tego bardzo często figurowała na listach przeróżnych dobroczynnych składek i filantropijnych przedsięwzięć. I na to wszystko wystarczał dochód od 10 tys. rubli, stanowiących cały jej majątek. Stary Radomski sam, choć w osiemdziesiątym którymś roku życia, kilkakrotnie jej proponował dawanie mu lekcyj buchalteryi i finansowości. Przyparta do muru, hrabianka Joanna, tłómaczyła się ograniczeniem swych potrzeb i..... opatrznością Boską.

— Aha!!..... — uśmiechając się, wykrzykiwał Radomski i coraz to mniej szczodrobliwszym bywał na wszelkie cele użyteczności publicznej i przeznaczeń filantropijnych, ile razy bywał o to napastowany, przez gorliwą tychże agitatorkę, hrabiankę Joannę.

Przeznaczenie, dając tej skromnej pracowniczce opiekę nad małoletniemi Hołodajami, przyniosło niejaką ulgę prawdopodobnie tym źródłom, które bywały zaliczane na rachunek Opatrzności.

Najwyrozumialsi z kółka arystokracyi dawali się słyszeć ze zdaniem, że ta opieka była dla niej.... chlebem dobrze zasłużonych.

Siostrzeńcy, z których Henryk przy śmierci ojca, był już dwudziestoletnim młodzieńcem, nie wiele przynieśli *pociechy* hr. ciotce, ale młodziutka i słabowita Cesia, korzystająca narównie z braćmi z

trzeciej części dochodów, była jej prawdziwą *roskoszą*, jak nieraz mawiała. I wszyscy temu wierzyli bez wahania na ten raz wyjątkowo, bo we wszystkiem innem kredyt ogólnej wiary w hr. Joannę był już dobrze zachwiany w epoce dziesięcioletniej rocznicy śmierci hr. Ignacego.

Zdawałoby się, że dzień, w którym hr. Joanna traciła rozumną podstawę samowolnego rozporządzania dochodami hr. Cesi, powinienby być dla niej dniem żałoby. Tak jednak nie było, a dla czego?—to chyba najlepiej wiedział finansowy gerent wspólki opiekuńczej, pan Adolf Radomski.

Hr. Cecylia dzięki dziedzicznym po matce zarazkom chorobotwórczym i znakomitej opiece ciotki, była najzupełniej słabą i bezwłasnowolną istotą. Otrzymała ona bardzo niedostateczne wychowanie w klasztorze, a od siedemnastego roku życia, zamieszkując stale przy ciotce, nie miała możności i nie czuła potrzeby dopełnienia licznych braków.

Podług słów cioci życie dla niej zaczynało się i kończyło na poświęceniu, naturalnie przedewszystkiem dla cioci, a później, lecz zawsze przy jej pośrednictwie dla tych wszystkich, których ona dla niej wybierze. Nic dziwnego, że dziewczę było pogrążone jakby w ciągłym półśnie, właściwym istotom zwyrodniałym lub niedokształconym.

W przeddzień 30-go Czerwca, który to dzień od pół roku był wskazany jako termin zakończenia trudów opiekuńczych dla całej trójki, hr. Joanna uważała za potrzebne pomówić serjo z wychowanicą.

— Czy wiesz, kochana Cesiu, że to jutro jest rocznica śmierci twego drogiego ojca, a mojego ukochanego kuzyna, i że jutro już będziesz pełnoletnią, a więc panią swej woli?—

— Wiem, cioteczko,—mówiła Cesia cichym głosem, w tonie którego wplątane zajęknięcia miały świadczyć o wzruszeniu tej anemicznej istoty,— lecz jabym tak chciała, a raczej..... lepiej nic nie chcę.... chcę być z ciocią na zawsze.

— To wszystko bardzo pięknie, moja droga, lecz i ja wieczna nie jestem, z braci twoich każdy będzie myślał o sobie, krewnych zaś blizkich więcej nie masz, trzeba więc pamiętać zawczasu o sobie.

— Będę tak żyła, jak ciocia żyje dotąd....—szepnęła nieśmiało.

Hr. Joanna lekko drgnęła, a później uśmiechnęła się jakoś brzydko, kiwając głową z politowaniem..

— Nie, dziecko, ty tak żyć nie możesz, jak ja żyłam i żyję. A co najważniejsza, czy masz środki odpowiednie?

— Jurcio mi mówił przed dwoma laty, zdaje się, że nam papa zostawił po czterdzieści tysięcy; czy to za mało? —

— No i niezbyt wiele, a zresztą kto to wie, jak tam z temi pieniędzmi; to się jutro pokaże, ale ja myślę, ze będziesz miała o wiele mniej. Ho, ho! taki Radomski!

Hr. Joanna zaczęła biegać po niewielkim saloniku swego mieszkania, niespokojnie szarpiąc końce batystowej chusteczki.

Cesia milczała, ciągle ze spuszczonemi i zaczerwienionemi powiekami.

— Tak, tak, niema dla ciebie innej drogi, tylko klasztor: tam tylko panna z małemi środkami, a twojego urodzenia i nazwiska może znaleść niekompromitujące miejsce dla siebie..... tam czeka cię spokój i.... poświęcenie.

— Dobrze, ciociu. —

Ciotka za plecami Cesi ruszyła pogardliwie ramionami i na tem skończyła się rozmowa «*na serjo*».

Hr. Henryk, którego śmierć ojca zastała podczas pobytu w Paryżu już niby kończącym wykształcenie, pozostał tam i nadal. Rzadko tylko zaglądał do kraju i to wyłącznie dla kombinacyj z wujem po matce Adolfem Radomskim.

Czy wpływem tegoż wuja, czy może własną samodzielną ideą zachowawczą wiedziony, już w 25 roku ożenił się z panną, której, zanim do ślubu, wprzód przy chrzcie asystował.

To wyzwolenie od przesądów, jeszcze w szerszym zakresie pojęte od rodzonego ojca, było nagrodzone podwyżką dwóchkroć stu tysięcy w posagu, dzięk któremu hr. Henryk miał możność pięć szóstych roku spędzać w ulubionym Paryżu lub gdzieś w miejscu do Paryża zbliżonem, bądź sam, gdy żona próbowała stworzyć sobie jaki taki salon w Warszawie, bądź z żoną, gdy rozgoryczona kilkakrotnie tuliła się z żalami do jego boku.

Przy takiem życiu, brata Jerzego i siostrę spotykał bardzo rzadko, a los ich obchodził go niesłychanie mało.

Zresztą Jerzy raził go demagogią, a Cesia—głupotą, i tem się tłómaczył przed samym sobą i przed najzaufańszymi przyjaciółmi.

Czegoż bo ten Jurek sobie nie pozwalał! Mało tego, że skończył gimnazyum w Warszawie razem z przeróżną hołotą, ale jeszcze pojechał do Nowej-Aleksandryi do jakiejś tam szkoły rolniczej, i w epoce ukończenia opieki majątkowej, właśnie ją ukończył!

A przecież hrabina Amalia tyle razy mu proponowała swoje poparcie w wyszukaniu żony w sferach finansowych.

Wykręca się zawsze tem, że ma dość jeszcze czasu. Jakby miał z pół milijona jeszcze w kieszeni!

A dotąd żył jak cygan, bo przez trzy czwarte roku w tej Nowo-Aleksandryi, a pozostałe trzy miesiące z kolegami w włóczędze po przeróżnych kraju dziurach lub u tychże kolegów na wilegiaturze.

Czy on nie myśli czasem zostać komisantem zbożowym, albo agentem w towarzystwie asekuracyjnem?...

A tymczasem hr. Jerzy, jeśli rzec prawdę, o niczem jeszcze nie myślał. Ponieważ przy śmierci ojca mieszkał w Warszawie i, dzięki pewnym oszczędnościom już z konieczności zaprowadzanym, pobierał wykształcenie, nie w domu, lecz w gimnazyum, więc skończył je jakoś, bo mu nikt tego wyraźnie nie bronił, a zdolności miał znaczne.

Przyjaźń z kilku kolegami zawiodła go następnie do N.-Aleksandryi, bo i oni tam jechali. Może gdyby jechali do Ameryki, to i tam hr. Jerzy z nimi by wyruszył. Nie był ani trochę lepszym od brata, lecz wypadkowe otoczenie kilku szlachetnych i inteligentnych kolegów mimowoli pociągnęło go

na inne szlaki i na tych pozostał, z czasem przesiąk szy ich dobrym i stałym smakiem.

Przy dość częstych, choć krótkich, przejażdżkach do Warszawy w ostatnich czterech latach, zrazu hr. Jerzy prawie zawsze zabiegał do ciotki, by zobaczyć siostrę, lecz później miało to miejsce coraz rzadziej Znienawidził ciotkę za rzecz błahą. Oto za każdą bytnością zmuszała go do brania kilku ohydnych pod względem gustu i wykonania, a niedorzecznych przeznaczeniem, robotek kobiecych, króre dobroczynna ciocia brała od swych protegowanych, wstydzących się żebrać, i sprzedawała wszystkim napotkanym, drąc z każdego jak można najwięcej.

— Takiż to przecie dobry handel, jak i każdy inny,—mawiał sentencyonalnie Adolf Radomski, lecz sam brał napastowany, tylko wykałaczki do zębów, które dlań zawsze były użyteczne i niezbędne.

Hr. Jerzy był wysokim, przystojnym blondynem, a co ważniejsza imponował i bratu i siostrze swym wyjątkowo kwitnącym stanem zdrowia. Rodzaj życia, jaki wiódł od lat kilku, zahartował młody organizm, zabijając w nim szkodliwe zarodki dziedziczne.

Łatwo więc było jego bratowej, hrabinie Amalii

(przed ślubem Małce) podjąć się trudow swatowstwa przy podobnej kwalifikacyi kandydata.

Hr. Szymon z wieku i stanowiska najstarszego członka rodu był tem samem już najważniejszym członkiem opieki. Lecz jemu najpilniej chyba było ją zakończyć, jakkolwiek bardzo mało zadawał sobie trudów na tem stanowisku przez przeciąg dziesięcioletni. Przez cały ten czas ani razu nie był nawet w Warszawie, a zatem i nie widział swych pupilów. Na wszelakie piśmiennie zwracane do siebie odezwy od Radomskich, hr. Joanny, lub synowców i synowicy, niezmiennie odpowiadał przez usta swojego plenipotenta pracownika, mecenasa Skwirskiego, który to właśnie i towarzyszył mu na nabożeństwo do kościoła. A tak był wiernym temu raz postanowionemu zwyczajowi, że na coroczne powinszowania Cesi na Nowy Rok i w dniu imienin, które zalecała zawsze hr. Joanna, również pan Skwirski odpowiadał podziękowaniem, osobiście lub piśmiennie.

Na list hr. Henryka, wstępującego w związki małżeńskie z panną Amalią (resp. Małką) tenże sam mecenas, zawsze uśmiechnięty i przemawiający okrągłemi zwrotami oświadczył, że hr Szymon zamiast błogosławieństwa żądanego, przesyła uro-

czyste żądanie, by hr. Henryk wraz ze swą małżonką i całą jej rodziną zapomniał, że on, hr. Szymon, istnieje na świecie.

Po za tem jedynem wymaganiem, by jaknajmniej wiedział o swej rodzinie, hr. Szymon był zresztą bardzo wygodnym opiekunem, bo w niczem nie krępował woli swoich pupilów.

Od lat trzydziestu był on już wdowcem. Podobno do czasu ożenienia, był on hulaką i birbantem, nie mniejszym od swojego młodszego brata, Ignacego, choć majątku nie trwonił tak szybko.

Ożenił się zaś z jedyną córką podupadłego i zwyrodniałego domu pańskiego, osiadłego w ruinach historycznego pałacu w dzikim kraju kącie, po obu stronach Bugu, na granicy Podlasia i Polesia.

Panna była niemłoda, chorowita, nieładna i niebogata nawet, bo jakkolwiek jedyna sukcesorka obszernych jeszcze dóbr w ziemi, lecz dobra te były znacznie obdłużone i zupełnie upadłe pod względem gospodarczym.

Panna z matką siedziały w ruinach walącego się pałacu i rzadko dawały się widzieć w Warszawie w kołach modnego i dla siebie właściwego świata.

Prawdziwa wielkość lubi żyć samotnie, jak gruby zwierz leśny.

Kto mógł wpłynąć na przystojnego i jeszcze dość młodego hr. Szymona, że połączył swe losy z losami tak mało obiecującej panny, dzieje a nawet znani kronikarze rodów herbowych milczą.

Fakt jednak miał miejsce w kościołku parafialnym w pobliżu ruin pałacu i odtąd hr. Szymon zginął dla świata.

Połączywszy swe skapitalizowane dziedzictwo po śmierci rodziców z dobrami żony, rozpoczął energiczną pracę w podzwignięciu dóbr tych z upadku. Żona była mu w tem tylko małą pomocą, bo do życia czynnego nie była zdolną.

Bez wyraźnej przykrości mieszkała stale na wsi, pozbawiona niemal zupełnie życia towarzyskiego, choć warunki materyalne już wkrótce po ślubie znacznej uległy zmianie.

Ruiny pałacu rozebrano aż do fundamentów, i postawiono dom murowany obszerny i wygodny, który sąsiedzi i włościanie nowym pałacem ochrzcić pośpieszyli.

Dochód z majątku już po kilku latach był bardzo pokaźny, a obiecywał wkrótce jeszcze lepsze rezultaty.

Znaczne obszary obejmowały przeważnie ogromną ilość łąk i lasów i dla tego prawdopodobnie majątek nosił nazwę Ługolasy. Nie trzeba więc tu było

długich lat pracy i ogromnych nakładów dla poprawienia stanu rzeczy, jak to ma miejsce w dobrach czysto rolnych, lecz dość było systematycznego porządku i pewnej zręczności administracyjno-przedsiębiorczej. Hr. Szymon niespodziewanie przymioty te w sobie odnalazł i od razu stanął na wysokości przyjętych na się ciężarów.

I tak mu się wszystko wiodło szczęśliwie w ciągu pierwszych lat pięciu małżeńskiego pożycia i obowiązków obywatelsko-ziemiańskich.

Dopiero w trzecim roku pożycia urodził się syn, przyszły spadkobierca chwały dwóch połączonych rodów i pięknego majątku. Dziecię było słabowite i wątłe, lecz hr. Szymon nie tracił wiary, że z dzieckiem przy swych znacznych środkach i energii dojdzie do takich samych dobrych rezultatów, jakie otrzymał w urządzeniu dóbr.

Lecz tu go spotkał zawód okrutny.

Nic nie pomagały najściślej zastosowane metody dyetetyczno-wychowawcze, porady sprowadzanych powag świata medycznego i ciągłe starania ojca i matki, dziecię żyło wprawdzie, lecz było równie słabe ciałem jak i duchem.

Kiedy chłopiec miał już trzy lata, stracił matkę, która po nieznacznem na pozor zaziębieniu się zachorowała na zapalenie płuc i po miesiącu spokoj-

nie znoszonych cierpień umarła, polecając ojcu dalszą troskliwą pieczę około ukochanej dzieciny.

Był to cios dla hr. Szymona dotkliwy, lecz zniósł go mężnie na pozór, w opiece nad synem i jego ciągłej obecności szukając pociechy dla siebie.

Ponieważ lekarze zaopiniowali, że dziecię głównie z powodu słabych pluc nie idzie po drodze właściwego rozwoju i radzili, by dla oszczędzenia tych słabych pluc w latach dziecinnych, podczas jesieni i zimy przebywało w cieplejszym klimacie, hr. Szymon postanowił urządzić się odpowiednio.

W tym celu nabył na wybrzeżach Riwiery di Ponente w malowniczej i osłonionej okolicy jedno z tych prześlicznych cacek budownictwa, jakie są tam licznie wznoszone, bądź w uroczych dolinach, bądź na wyniosłościach tulących się do ostatnich coraz niższych stopniowań zstępujących ku morzu majestatycznych Alp.

Odtąd corocznie już w pierwszych dniach października hrabia Szymon zabierał syna, niańkę, ochmistrzynię i kucharza i przejeżdżał do swej drugiej nowonabytej rezydencyi na całe pół roku. Resztę służby stanowili dwaj siwowłosi wysłużeni słudzy dworscy z Ługolasow, którzy tu nad Riwierą stale byli osadzeni z przeznaczeniem sprawowania obowiązków ogrodnika i lokaja podczas po-

bytu hr. Szymona, a strzeżenia całej posiadłości w jego nieobecności.

Przez trzy lata odbywały się takie przenosiny co pół roku, i hr. Szymon już tryumfował ze swej pomysłowości, gdyż malec wyraźnie coraz to bardziej się poprawiał i rozwijał.

Tryumf był jednak zawczesny. W czwartym roku, kiedy młody hr. Leoś miał już otrzymać małego specyalnie dlań układanego od pół roku osiołka do jazdy, po wyruszeniu z Ługolasów, już pod Krakowem zachorował. W Krakowie położono dziecko do łóżka i, wezwano lekarzy. Po kilku dniach chłopiec wstał i jakkolwiek dość osłabiony jeszcze, mógł ruszyć w dalszą drogę przy tak wygodnych warunkach, w jakich ją zawsze przy boku ojca odbywał.

Bez widocznego pogorszenia się przyjechano do Leonina, tak bowiem nabyta posiadłość została nazwaną od imienia młodego dziedzica.

Na drugi dzień stary ogrodnik Maksym przyprowadził przed okna wystrojonego osiołka, i dziecię witało go klaszcząc w drobne dłonie i darząc przyszłego faworyta przeróżnemi łakociami.

Hr. Szymon zawsze chmurny i groźny dla świata, tu sam na sam z jedynym synem, zmieniał się do niepoznania, tuląc dziecię w swem szerokiem objęciu. Obiecał też zaraz, że za dni kilka, kiedy

Leoś zupełnie wypocznie po drodze, po raz pierwszy dosiądzie swojego wierzchowca.

Za dni kilka!!.....

Jeszcze tego samego dnia dziecię dostało konwulsyj i po kilku dniach w objęciach ojca, niemal nieodłącznie klęczącego przy jego łóżeczku, skonało, nie będąc w stanie ani jednem słowem, ani nawet spójrzeniem pożegnać zrozpaczonego ojca.

Gruźlica zdawna nurtująca słaby organizm zadała nowy i zabójczy cios energii i dobrej wierze hr. Szymona, zdoławszy oszukać jego baczność i troskliwość ojcowską.

Hr. Szymon przez kilka tygodni nie opuszczał pokoju zmarłego syna, którego niezrozumiałą dla całej służby fantazyą nie powiózł do kraju, lecz tam w Leoninie we własnym ogródku zlecił pochować w naprędce wymurowanym grobie niewielkim, którego przyozdobienie odpowiednim grobowcem zostawił do czasu jakiego takiego odzyskania równowagi własnej.

Niemal nikogo przez te kilka tygodni nie przypuszczał do siebie, pił wiele wody, obywając się odrobiną jakiegokolwiek pokarmu.

Nieraz osiwiali, wykozaczeni służący nasłuchiwali w dzień lub w nocy pode drzwiami pokoju, obawiając się, że pan albo zwarjuje, albo pozbawi się życia.

A hrabia przechodził katusze w tem odosobnieniu. Ten zimny samolub zamało w życiu dotąd ukochał; wszystkie jego dążności wspierały się na jednej tak kruchej podstawie, jak życie słabego jego następcy. Ze śmiercią Leosia tracił on najzupełniej grunt pod nogami, daremnie i w dzień i w nocy, szukając w rozgorączkowanym umyśle jakichkolwiek *wskazówek* dla siebie na dalszą życia drogę. Serce już bowiem zupełnie zamarło z całym i jedynym zasobem uczuć pielęgnowanych.

Nie mógł się modlić, bo rozumiał, że o nic już błagać nie chce, a dziękować .... a wielbić..... a wznieść się myślą i uczuciem ponad zacieśnione granice własnego «ja» — dotąd nie umiał.

Czuł, że wszystko się dlań już skończyło, że śmierć ta ohydna, która była zabójczynią jego duchowego życia, byłaby dlań dobrodziejką biorąc jego ciało w swe objęcia, a jednak odrzucał broń, ile razy wśród nocy bezsennej, w szale rozpaczy, porywał ją z nad łóżka, jako środek leczniczy.

— Lecz nawet by umrzeć, trzeba chcieć, a on cały był jednym wielkim bólem nawskróś przejęty, zgnębiony i ubezwładniony.....

Dostawał zawrótu głowy, stawał się zlodowaciałą bryłą, to krew mu falą biła w skronie i oczy, głusząc i ślepiąc go naprzemian, kiedy pomyślał, co on może jeszcze przez długie lata będzie robił

wsród ludzi usilnie zabiegających około swych drobnych interesów codziennego życia, cieszących się wzrostem rodziny i jej pomyślnością? Interesy szerszej, ogólniejszej natury nigdy dlań nie istniały. Utrzymanie rodu Hołodajów na odpowiedniej wysokości, w oczach jego, było aż nadto i wielką i dostateczną treścią dla całego jego życia.

A treść ta naraz zginęła bez śladu. Co zrobić z tem życiem i czem je wypełnić, skoro się już popróbowało wszystkiego?!.... straszne pytanie....!

Bez rodziny, bez krewnych, bez przyjaciół, ten magnat urodzeniem i majątkiem, z zazdrością myślał o doli każdego ze swych licznych służących w Ługolasach.

Ach! jakże strasznie nienawidził ludzi w tej chwili!...

On tu, w pokoju jedynej zmarłej dzieciny tarza się z bólu jak Łazarz na barłogu, a ztamtąd, ze świata dolatują doń odgłosy radości, przekradając się przez drzwi i okna szczelnie zakryte.

W porywach wściekłości nieraz zrywał z okien gęstą ciemną firankę i widział, że dokoła niego wre życie, pełne ruchu, zdrowia i wesela....

Wtedy w szale obłąkania padał na kolana, wołając do Boga o gromy, jakieś trzęsienie ziemi, lub choćby nawet potop nowy..... Szał egoizmu w ten sposób podszeptywał mu możność utworzenia dla

jego zbolałej istoty świty równie smutnej, równie żałobnej, a licznej, choćby świat cały nawet obejmującej....

Zbyt wiele to było nawet dla tak silnej organizacyi, jak hr. Szymona. Legł też dotknięty silną gorączką na długi czas do łóżka, i tylko wierność i troskliwość służby ocaliły go od śmierci.

Pierwszem jego staraniem po powrócie do sił było wystawienie, przy pomocy specyalnie w tym celu sprowadzonego artysty, pięknego grobowca dla zmarłego syna.

Leonin został i nadal stałą własnością hr. Szymona, który odtąd co rok regularnie w pierwszych dniach października przyjeżdżał i bawił tu około dwóch miesięcy.

Ci sami dwaj służący strzegli i domu i grobu, surowo mając sobie wzbronione wpuszczanie kogokolwiek z ciekawych a licznych turystów.

Zdaje się, że ostatecznie hr. Szymon doszedł do jakiegoś układu z samym sobą co do dalszych planów życia, lecz o tem nikt nic nie wiedział, gdyż mało znać ludzi chcący hrabia za życia żony i syna, odtąd już niemal całkowicie zerwał z nimi stosunki, ograniczając się na kilku najpoufniej-

szych ze służby i oficjalistów z Ługolasów, gdzie stale przemieszkiwał.

W chwili śmierci żony miał lat 43 i już wkrótce w całości wróciły mu zdrowie i siły. To także kłopot nie lada, którego nie zbyć ani rozumowaniem, ani siłą woli, ani pracą lub rozrywką.

Dwa lata jeszcze hrabia walczył jakkolwiek, lecz w końcu uległ nie widząc celu w ciągłem tem borykaniu się z samym sobą, a nie smakując w środkach zalecanych i podsuwanych przez zaufanego kozaka Mikołaja.

W odległości trzech wiorst od głównej rezydencyi w Ługolasach, leży największy, bo najwięcej i najlepszej ziemi ornej mający folwark Ostrówek, z drugiej już strony Bugu.

Hr. Szymon wkrótce po objęciu dóbr, oceniając znaczenie Ostrówka w gospodarstwie rolnem, zabudował go bardzo porządnie i wzniósł tam gorzelnię, uważając że będzie ona wielkim pomocniczym środkiem w rozwinięciu jednej z głównych gałęzi gospodarki Ługolaskiej, a mianowicie w wypasie wołów stepowych, nabywanych całemi setkami po kilka razy do roku.

Gorzelnia miała ułatwić zimowe utrzymanie tych stad, gdyż o letnie nigdy nie mogło być obawy

przy ogromnym obszarze łąk, należących do Ługolasów.

Myśl była dobra i wykonanie rozumne; Ostrówek po trzech już latach usprawiedliwił wszystkie nakłady i nadzieje właściciela.

Była w tem jedna tylko niewygoda, że w sezonie jesienno-zimowym, potrzebną była ciągła i baczna opieka właściciela nad tym o trzy wiorsty odległym folwarkiem. Hr. Szymon tem jednak nie przykrzył i nieraz od switu aż do spóźnionej pory obiadu gościł w Ostrówku.

Z chwilą jednak kiedy trzeba było po raz pierwszy wyjechać z synem na całe pół roku nad Rivierę, hr. Szymon uczuł całą przykrość położenia, nie mając przygotowanego, odpowiednio uzdolnionego i godnego zaufania zastępcy.

Już w pierwszym roku okazały się znaczne straty, a co gorsza i poważne nieporozumienia z urzędem akcyzy, w rezultacie których hrabia był zmuszony płacić wysokie kary. Nie tyle go bolały same kary, jak fakt ich istnienia dla niego, który, jak zresztą każdy niemal z ziemskich posiadaczy, czuł się conajmniej samodzielnym królikiem u siebie.

Dzięki więc takiemu składowi okoliczności, hr. Szymon za powrótem do kraju postanowił Ostrówek wypuścić w dzierżawę razem z gorzelnią.

Przy dobrym stanie folwarka, o amatorów było nie trudno, i hrabia znalazł się tylko w kłopocie dokonania najlepszego wyboru.

Wsród wielu innych wyróżniał się i przyzwoitą postawą i godnością zachowania się niejaki Jan Płużycki, którego wiek był zupełnie odpowiedni latom hrabiego. Zrobił on już za pierwszą bytnością bardzo korzystne wrażenie. Wtenczas gdy wszyscy inni bądź na drodze pozyskiwanych protekcyj w osobie głównego plenipotenta dóbr, księdza proboszcza, lub nawet faworyzowanych kozaków, bądź osobistą uniżonością i schlebianiem dostrzeganym próżnostkom hrabiego, starali się pozyskać zniżenie ceny dzierżawnej folwarku i złagodzenie ostrych warunków dzierżawy, Płużycki, nie szukając pośrednictwa, po obejrzeniu folwarku, przesłał właścicielowi swoje warunki na piśmie.

Hrabia był zdumiony faktem, że *jakiś* Płużycki śmie mu przesłać *swoje* warunki; było to w jego oczach czemś tak nienormalnem, że aż uśmiech oddawna nieznany zagościł na chwilę na surowej twarzy.

Lecz z wyborem nie można było zbyt zwlekać, gdyż mogło się stać, że i kandydatów, szczególniej lepszych, mogło w końcu zabraknąć.

Gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie i zawsze ktokolwiek z otoczenia starał się zatrzymać jego uwa-

gę i pozyskać przychylność dla swojego protegowanego. W końcu hrabia był i znudzony i zniecierpliwiony.

Najniespodziewaniej polecił pewnego dnia jednemu z kozaków konno pojechać do pana Płużyckiego i ustnie mu oświadczyć, że hrabia zgadza się rozpocząć rokowania.

Płużycki stawił się niezwłocznie.

Był to człowiek małego wzrostu, czerstwej i silnej budowy, o miłej i szczerej powierzchowności.

Ofiarował trzy tysiące rubli rocznej opłaty, przyjmował niemal wszystkie warunki hrabiego, lecz żądał, by umowa była zawartą na lat dwanaście; a oprócz tego stanowczo odrzucił warunek kładziony przez hrabiego, by dzierżawca wraz z dwoma strzelcami stawał corocznie dziesięć razy bez różnicy pory roku, w szeregach myśliwskiej drużyny zwykle towarzyszącej hrabiemu.

— Bywam czasem gościem, panie hrabio, na polowaniach, choć bardzo rzadko, bo polowania nie lubię, lecz dotąd jeszcze nie potrzebowałem być ani strzelcem, ani obławnikiem,—odpowiedział hrabiemu, na jego naleganie.

Obecny przy tem plenipotent hrabiego, który stał wyprostowany jak struna i oczami gonił spójrzenia i ruchy swego pracodawcy, aż przysiadł ze

zgrozy. Był pewny, że hrabia poleci mu niezwłócznie za drzwi wyrzucić butnego szlachetkę.

Hr. Szymon istotnie zrazu ruszył groźnie brwiami, lecz wnet się uspokoił, może się zreflektował, że odświeżanie zwyczajów feudalnych z ośmnastego stulecia istotnie trąci grubym anachronizmem, a może tylko już zobojętniał dla spraw samego polowania.

Dość na tem, że ku coraz większemu zdumieniu pana Purchały, którego oczy szeroko otwarte zdawały się wychodzić poza normalne granice swojego położenia, hrabia po kilku zrobionych zastrzeżeniach, zgodził się wypuścić Płużyckiemu Ostrówek, lecz nie dłużej jak na lat cztery, z tem jednak zastrzeżeniem, że Płużyckiemu będzie służyć pierwszeństwo przy zawarciu umowy nadal, wrazie gdyby hrabia był zeń zadowolony i gdyby nadal był zmuszony wypuszczać folwark w dzierżawę.

Takim sposobem z następną wiosną niemal współcześnie z powrotem hrabiego z południa, Płużycki zjechał do Ostrówka z całym swym domem i zasobami.

Okazało się wtedy, że był on wdowcem i cały dom stanowił sam z siostrą, również wdową, o parę lat młodszą od niego.

Oboje z miejsca raźnie się wzięli do pracy, nie szukając ani znajomości z kimkolwiek, ani na-

wet nie starając się zbliżyć do potężnego pana Purchały.

To usposobiło plenipotenta źle bardzo dla przybyszów; starał się on im możliwie szkodzić w oczach hr. Hołodaja.

Lecz hrabia zrazu milczał tylko, a w końcu i ofuknął nieproszonego pośrednika.

Trzy miesiące szybko ubiegły wsród nawały robot i prac gospodarskich na wiosnę.

Hr. Szymon coraz mniej osobiście wglądał w sprawy swych dóbr na gruncie, kontentując się zajęciem w swym gabinecie, polegającem na odczytywaniu raportów oficjalistów i służby, i przeglądaniem przeróżnych próśb, a nawet i sekretnych doniesień.

Nic więc dziwnego, że Płużyckiego i jego siostrę spotykał tylko w kościele, do którego zawsze regularnie w swięta przyjeżdżał.

Aż w pierwszych dniach lipca samotnie siedzący w swej rzeźbionej wysokiej ławce hrabia, spostrzegł wśród znanego grona często widzianych i znanych postaci, zupełnie nową, a bardzo mile wsród innych odbijającą młodą osobę. Brunetka smukła o prześlicznej białości cery i wielkich ciemnych oczach, stojąc wsparta lekko o balustradę, poważnem spójrzeniem obejmowała ołtarz, kapłana

i utytułowanego kolatora, znajdującego się najbliżej ołtarza.

Obok nieznanej damy hrabia widział siedzącą siostrę Płużyckiego i łatwo odgadł, że przyjechały razem z Ostrówka.

Po powrócie do domu kilkakrotnie musiał zwalczać własną ciekawość, by nie zwrócić się z zapytaniem do otoczenia o nieznajomą damę. Lecz walka była trudną, bo nieznajoma stawała mu przed oczami pamięci, z całem bogactwem swych w oczy bijących ponęt i wdzięków.

Otoczenie hrabiego było tak wytresowane, że nikt bez zapytania nie śmiał się doń zwrócić, długo więc musiał hr. Szymon uszu nadstawiać, by z pochwyconych tu i owdzie słówek, złożyć tak pożądaną dla siebie wiadomość.

Nieznajoma była jedyną córką dzierżawcy Ostrówka i właśnie w tym roku, po ukończeniu wykształcenia w Warszawie, wróciła do domu ojca, by w nim na dłużej już osiąść.

Hr. Szymon, jakkolwiek sam przed sobą nie chciał się przyznać, że nieznajoma zrobiła na nim silne wrażenie, znów pośpieszył w najbliższą niedzielę do kościoła. Panna Płużycka zajmowała toż same miejsce i przy tem drugiem widzeniu, ani trochę nie osłabiła tego pierwszego wrażenia, jakie wywarła na hrabim.

Tylko prawdziwym pięknościom udaje się ta sztuka, by podniecony krytycyzm zainteresowanego odrazu i zwykle fantazyującego osobnika, nie zdołał odszukać skaz za następnym razem. Panna Anna była ładną w ogóle, a hr. Szymonowi wydała się pięknością pierwszorzędną.

Mieszkańcom Ostrówka ani się śniło, by hrabia zaczął się nimi interesować, boć i oni co prawda niewiele o nim myśleli. Płużycki szczerze rad z powrotu córki, otaczał ją ciągłemi pieszczotami i staraniem, by jej pobyt zrobić wygodnym i przyjemnym. Ciotka Aniela rywalizowała w tem z bratem, a przychodziło jej to tem łatwiej, że ciągle krzątając się w domu lub ogrodzie, miała częstą sposobność widzenia Anusi.

Anusia bujała swobodnie, urządzając pokoik dla siebie przeznaczony i strojąc go podług swego upodobania. Wybiegała ochoczo do ogrodu, na pola i łąki, odwiedzała las poblizki, poznając się z nowem a ładnem otoczeniem swej nowej siedziby. Do czasu jeszcze zupełnego obeznania się z otoczeniem i nacieszenia się niem dowoli, z dnia na dzień odkładała usystematyz owanie swojego cichego życia, które myślała zrobić i pożytecznem i przyjemnem. Do czasu więc chętnie z pod ramienia ojca,

przechodziła w objęcia cioci, i naodwrót, i tu i tam, i wszędzie, gdziekolwiek się zwróciła, niosąc z sobą śmiech radosny i szczere zadowolenie.

Oprócz czeladki ojcowskiej i staruszka proboszcza, który z laską w ręku, po parę razy w tygodniu, piechotą odwiedzał Ostrówek, przez pierwsze dwa tygodnie nie poznała nikogo.

Nie tęskniła do ludzi i dobrze jej było w tym małym, a tak serdecznym światku.

Coś w połowie trzeciego tygodnia, pod nieobecność ojca, który bawił w polu przy żeńcach, i ciotki dozorującej robót w ogrodzie, kiedy Anna z książką w ręku siedziała na ganku, upatrując ojca, na podwórze wpadł jeździec na pięknym, rasowym koniu.

Zatrzymał się zdala od domu i, zsiadając z konia, zwrócił się do parobka zajętego w podwórzu i śpieszącego na skinienie jeźdźca, polecając mu zwolna oprowadzać zmęczonego konia.— Zwrócił się wprost ku gankowi.

Ubranie było dziwną mieszaniną elegancyi wtłoczonej w pewien rodzaj liberyi. Cały kostium jednolitej granatowej barwy był ozdobiony małemi wypustkami niebieskiego koloru na szwach, czapka okrągła odpowiadała ubraniu.

Przybyłym był plenipotent hrabiego, Andrzej Purchała, kawaler lat 35, o gładko wygolonej, z

wyjątkiem małych wąsów, twarzy, raczej brzydkiej, niż przystojnej.

— Choć powiedziano mi, że pana Płużyckiego w domu nie zastałem, śmiem przedstawić się pani, córce jego, jak słyszałem i prosić o pozwolenie zaczekania na ojca pani, a to w interesie obydwóch nas obowiązującym,—przemówił gość z zamaszystym ukłonem, wymieniając swoje imię, nazwisko i tytuł.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana—mówiła powstając na chwilę z ławki Anna i uprzejmie ukłon oddając,—niech że pan zechce podzielić ze mną tę ławkę, będziemy czekać razem, a ojciec niedługo powinien już nadejść, bo wszak to i wieczór się już zbliża.

Purchała skwapliwie zajął miejsce wskazane i rozpoczął banalną rozmowę, w której naprożno starał się olśnić cierpliwą Annę opowiadaniem o swem stanowisku, pracy, dobrobycie i znaczeniu.

Biedna Anna usiłowała kilkakrotnie odwrócić rozmowę na inny przedmiot, lecz kawaler nie dawał się stropić. Dopiero przybycie cioci, a wkrótce i ojca, uwolniło biedną dziewczynę od tego tak gwałtownego szturmu, zmierzającego ku zupełnemu zajęciu jej uwagi osobą pana Purchały.

Cały interes okazał się błahym, lecz gospodarz był uprzejmy i gościnny, więc Purchała opuścił

Ostrówek gdy się już zciemniło. Siedziałby dłużej, lecz konieczność codziennego stawienia się w kancelaryi hrabiego o godz. 10-ej wieczorem, stanęła w poprzek tym zamiarom.

Hrabia umiał utrzymać w karności swe otoczenie, a szczególniej oficjalistów starszych, którzy wszyscy na równie z Purchałą, byli obowiązani do noszenia liberyi, choć nie wszyscy jednakiej.

Granatowa stroiła Purchałę, ekonomów, pisarzy i t. p. oficjalistów ekonomiczno-gospodarskich, zielona—oficjalistów i straż leśną, brązowa—służbę stajenną i nakoniec ciemno szara—służbę osobistą hrabiego. Krój był jednak wspólny i obowiązujący dla wszystkich jeden i ten sam, a była nią kurtka na dzień powszedni, a rodzaj surduta nie na guziki, lecz na pętlice zapinanego od święta.

Dzięki temu we wszystkich wioskach i miasteczkach okolicznych mieszkańcy Ługolasów byli znani i odpowiednio szanowani.

Purchała odtąd był częstym gościem w Ostrówku, tłómacząc swą bytność za każdym razem, to interesem, to osobistą życzliwością dla domu Płużyckiego.

Mieszkańcy Ostrówka byli zdziwieni tem nie mało; ciocia Aniela żartowała z Anusi, Anusia śmiała się zawsze długo i serdecznie, lecz Płużycki

zżymał się coraz gniewniej i coraz chłodniej witał częstego gościa.

A tymczasem ognisty kawaler, usidlony wdziękami powabnej panienki snuł szereg marzeń rozkosznych na temat przyszłego, już przedsmak zapowiadającego,—życia rodzinnego.

Największą podług niego przeszkodą było specjalne dziwactwo hr. Szymona, który nie znosił żonatych oficjalistów; lecz ufał, że tak już silnie ugruntował się jeśli nie w sercu, to w fantazyi hrabiego, iż nie będzie mógł się oprzeć jego pokornym błaganiom.

W ostateczności Purchała był zdecydowany dla wdzięków uroczej Anusi nawet stracić służbę u hrabiego i to stracić właśnie wtedy, kiedy można było oczekiwać coraz wygodniejszych warunków samorządu i upragnionych dochodów. Płużycki zdawał się być człowiekiem zasobnym, a Purchała także miał już trochę uzbieranego grosza. Mogłaby więc młoda para bez wielkiego ryzyka próbować szczęścia na arenie życiowej.

Rezultatem podobnych, długich rozmyślań było to, że postanowił nie zwlekać z ostatecznem wyjaśnieniem położenia, a to tembardziej, że już jesień choć zwolna lecz stale zbliżała się, a z nią razem nadchodził czas wyjazdu hrabiego za granicę. Gdyby więc cała rzecz ułożyła się gładko

pod nieobecność hrabiego, Purchała mógł się spodziewać, że ten na wiosnę już po powrócie zawiadomiony o fakcie spełnionym, pogodzi się z nim łatwiej.

Hr. Szymon ukryty, nieprzystępny w Ługolasach, ograniczając swe stosunki z ludźmi do niezbędnej konieczności, przez całe lato czuwał nad zdrowiem syna i.... co święta jeździł do kościoła. Zawsze w sobie zamknięty, niczem jednak nie zdradzał, że w głowie jego snuły się różne projekta, a jakaś nieogarniona tęsknota i dreszcze, które go napadały na widok Anusi, zmuszały go do szybkiej i stanowczej decyzyi.

Na cóż się mu zdać miała ta walka z samym sobą dla ocalenia przed światem wielkości rodu Hołodajów, kiedy on, głowa rodu, zerwał już z tym światem niepowrótnie, a i ród ten na nim zakończyć się może?

Anna Płużycka była niewątpliwie szlachcianką, a więc o wiele lepszą od takiej Radomskiej lub dzisiejszej hrabiny Amalii; brak majątku był głupstwem wobec zamożności właściciela Ługolasów, a wspaniała tarcza herbowna hrabiego mogła jeszcze pokryć lekkie braki nizkiego społecznego położenia przyszłej małżonki.

O miłości, by w najskromniejszych rozmiarach, nie mogło tu być i mowy. Hrabia *potrzebował* żo-

ny, a ród Hołodajów zachwiany, niegodnem zachowaniem się jednej, większej gałęzi, powinien był jeszcze odżyć w nowej latorośli.

Jeszcze trzy tygodnie pozostawało do czasu zwykłej podróży za granicę, było to akurat tyle czasu, ile mogło być potrzeba do przeprowadzenia i dokonania powziętych zamiarów. Wspólny już wyjazd hrabiego z żoną na pół roku z kraju, uwolniłby oboje od drobnych przykrości, nieodłącznych od tego nowego, przez nikogo nie oczekiwanego obrotu rzeczy.—Hr. Szymon postanowił działać.

Takim sposobem Anusia Płużycka stała się celem pożądań dla tych dwóch tak różnych kandydatów, którzy, na domiar złego, rozpoczęli atak jednocześnie.

Najbliższa sobota została obraną tak przez jednego, jak i przez drugiego, za ostateczny termin zakończenia sprawy. Hrabia obrał dzień ten dla tego, by po pomyślnem, jak mniemał, załatwieniu całej sprawy, skierować swą niedzielną wycieczkę nie do kościoła, lecz wprost do Ostrówka, dla Purchały-prostaczka sobota miała urok dnia wyjątkowo szczęśliwego dla pomyślnego podjęcia trudniejszych zadań.

Dzień, już w godzinę po wschodzie słońca, zapowiadał się prześlicznie, kiedy dręczony bezsen-

nością hrabia ukazał się w oknie swej kancelaryi.

Na obszernych trawnikach, ujętych w przepyszne grupy drzew ozdobnych, tworzących jakby konieczne punkty kontrastu wśród szerokiej i gładkiej powierzchni zielonej murawy, nie dawało się widzieć jeszcze żadnego ruchu. Piękna brama żelazna z herbami Hołodajów była zamknięta i tylko koło niej, w pobliżu malutkiego w powodzi roślin pnących się tonącego domku odźwiernego, stary osiwiały gracjalista miarowym ruchem grabi starannie usuwał ślady nielicznych przyjeżdżających i przechodniów z dnia wczorajszego pozostałe na gładko usypanej drodze.

Wszystkie zabudowania gospodarcze były hen tam, gdzieś za ogrodami ukryte, by zgiełk folwarczny nie mącił ciszy samotnika, by trywialność zabiegliwego życia codziennego nie raziła człowieka, któremu życie to stało się często zbyt ciężkiem.

Hr. Szymon, gładząc swą długą brodę, zasiadł w wysokim rzeźbionym fotelu, umieszczonym przed odpowiedniem biurkiem w pokoju zajętym na kancelaryę, i szarpnął taśmę od dzwonka.

We drzwiach stanął kozak:

— Purchały mi trzeba.... zaraz. —

Kozak w ukłonie milcząc przyjął ten lakoniczny rozkaz i znikł za drzwiami.

Hrabia od niechcenia przebiega okiem, biorąc po jednym z paczki ułożonej · na biurku, papiery i listy.

Odrzucił wszystkie niecierpliwie. Wszedł Purchała i milcząc złożył ukłon powitalny.—Tak był przyzwyczajony do dziwactw chlebodawcy, że go to cokolwiek wczesne wezwanie nie zadziwiło; rad był tylko, że posłaniec hrabiego zastał go już na nogach i ubranym. I jemu noc zbiegła w bezsenności.

— Mości Purchała, potrzebnym mi jest *mój* dzierżawca z Ostrówka, Płużycki; jedź tedy niezwłocznie, byś go mógł zastać w domu i oświadcz mu o tem.

— Słucham p. hrabiego,—odrzekł z ponownym ukłonem układny plenipotent.

— Czy *moje* stado jest w zupełnym porządku?

— Wszystko, jak być lepiej nie może, p. hrabio; źrebięta tegoroczne mamy bardzo piękne, już wkrótce oddzielimy je zupełnie od klaczy, choć i te biedy nie znają, wszystkie są zdrowe i silne.

— A starsze konie z liczby sprzedażnych? —

— Doskonałe, p. hrabio, nigdy lepszych nie prowadziliśmy na jarmark, jak to będzie w tym roku.

— Ileż jest wszystkich?—

— Szesnaście: cztery ogiery brudno kasztanowate, cztery wałachy kare, cztery klacze złotogniade, dwa taranty, i dwie czyste białe arabki wierzchowe.

— To dobrze, z dwóch cugów dotychczas na mojej stajni będących, sprzedać cug gniadych na jarmarku w Włodawie, cug siwych zostanie, dla dziecka. Wziąć ze stada obydwa młode: brudnych kasztanów i złotogniadych i codzień je układać do jazdy porządnej z kozła kierowanej.

— Rozumiem, jaśnie panie, ja zawsze mówiłem, że dobrze wyjeżdzone konie łatwiej znajdą nabywcę.

— Zle waść rozumiesz, obydwa te cugi postawić w mojej stajni; obejrzeć powozy i zaprzęgi, bo pewnie.... będą potrzebne.

— Jeśli w drogę.....—bąknął Purchała.

— To co?—zgromił surowo hrabia.

— To zawsze się coś..... znajdzie do poprawienia.....— wyjąkał zaczerwieniony pseudo-plenipotent, w pokorze oczekując dalszej burzy. —

Ominęła go. Hr. Szymon tak silnie był zajęty ostatecznem roztrząsaniem zamierzonych planów, że zapomniał na razie o obowiązującym regulaminie. Zalecił Purchale możliwy pośpiech i pożegnał go skinieniem ręki.

Książe krwi nie mógłby lepiej i uroczyściej zakończyć posłuchania.

Purchała znalazł się w niemałym kłopocie. Ułożył był sobie, że wymknie się koło południa do Ostrówka, lecz nie w charakterze urzędowym, który, jak słusznie mniemał, nie podnosił go w oczach panny Anny; tymczasem rozkaz hrabiego musiał być spełniony i to spełniony bez zwłoki.

Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać sposobniejszej pory. Jak lichy mówca, gdy mu raz przerwą słabo zadzierżgniętą myśl, traci energję i resztki panowania nad sobą, Purchała nie zdołał już nic nowego nawiązać i, polecając zaprządz konie, pośpieszył do swojego mieszkania, aby «na wszelki wypadek» godniej przybrać swoją osobę. Polegało to na tem, że pod obszerną i długą burkę ze znakami obowiązującej liberyi, Purchała włożył tużurek, zdawna w tym celu u artysty włodawskiego sporządzony.

Tak przystrojony ruszył do Ostrówka w przeświadczeniu, że w każdym razie i ta bytność może mu na coś się przydać.

Ostrówek leżał z drugiej strony Bugu, przez który łódką lub promem trzeba było przeprawić się aż pod samą gorzelnią i ogrodem tamecznym.

Baczny na wszystko Purchała dostrzegł w ogrodzie jasną sukienkę panny Anny i postanowił korzystać z nadarzonej sposobności.

Zostawił konie na brzegu, a siebie polecił przewoźnikowi witającemu go uniżenie, przewieść w łódce na brzeg przeciwległy pod znaną mu furtkę ogrodową, służącą dla robotników noszących lub wożących wodę.

Nie omylił go wzrok. Anusia aż dotąd hołdująca wygodnemu eklektyzmowi w sposobie życia i pracy wiejskiej, w ten dzień wstała wcześniej, niż zwykle, może by skorzystać z jednego z niewielu pozostałych pogodnych i pięknych poranków.

Z piosnką na ustach, a koszyczkiem w ręku lekko przebiegała od jednego do drugiego z młodych drzew ogrodu, zbierając najpiękniejsze, choć nieliczne, jabłka i gruszki późniejszych odmian.

Tak była tem zajęta, że nie słyszała kroków Purchały.

— Dzień dobry pani!—szepnął niemal trwożliwy konkurent.

— Ach!!.... to pan..... zkądże znowu tak rano?

— Z interesem.—

— No to do ojczulka, nie do mnie; będzie się pan musiał pofatygować na gumno, lub zaczekać, aż przyjdzie, gdy poślę po niego. —

— Wolę zaczekać, bo..... możeby.... gdyby....się znalazł i mały interesik..... prośba największa.... i do pani....

Panienka spójrzała zdumiona na jąkającego się Purchałę, i uśmiech z odrobiną złośliwości ukazał się na zarumienionej i ładnej twarzy.

— No, już lepiej niech sie pan przyzna odrazu, że chce pan, bym mu darowała moich kilka pięknych jabłuszek, bo wy tam w pałacu takich pewno nie macie,— mówiła ręką przebierając owoce w koszyku i patrząc uporczywie w oczy Purchały.

— Wszystko co pochodzi od pani, będzie mi zawsze drogiem, lecz mnie nie jabłek potrzeba....

— To może gruszek? —

— I to nie. —

— To już nie wiem, więc proszę mówić otwarcie i prędko, bo nie chcę tu dłużej pana nudzić i zatrzymywać.

— Boże uchowaj! pani, panno Anno, czyż może mię nudzić? Jabym tu stał.... stał.....

— A interes? —

Purchała westchnął tak szczerze i gorąco, że aż liście na drzewku, pod którem stali, lekkim szelestem mu odpowiedziały. Figlarne oczy panienki objęły postać nieszczęśliwego powolnem spójrzeniem, a usta kurczowo się zacisnęły, by nie wybuchnąć śmiechem gwałtownym.

— Pani mię nie rozumie... — pocił się biedak, zdecydowany brnąć już aż do końca.

— Ależ pan dotąd mi nic nie powiedział o tym swoim interesie czy prośbie!

— Widzi pani... ja... to jest mnie... jest dobrze na świecie; ach! nie, nie, co mówię? mnie jest bardzo źle na świecie, więc pani... gdyby pani... ja mam kapitalik i stanowisko, i wszystko jest bardzo dobrze...

— Nic nie rozumiem; raz źle, to znowu dobrze.

— Teraz źle, ale jeśli pani... gdyby... zechciała, byłoby już bardzo dobrze.

— Jeszcze mniej rozumiem, niż przedtem.

— Pani jest bez litości.

— Więc panu o moją litość chodzi? mogłabym służyć ogromną porcyą.

— A więc pani się zgadza!...

— Ależ na co?

— Żeby nam obojgu było nadal dobrze... i zawsze dobrze.

— Ależ jaknajchętniej.

Purchała bez wahania przyklęknął na jedno kolano, nie bacząc na to, że zamiast posadzki, jak to miało miejsce w którymś z czytanych romansów, miał pod stopami, wilgotną, gliniastą ziemię.

— Dziękuję, z serca dziękuję!... śmielej zakrzyknął, szukając rączki panienki.

— Panie Purchała, co pan robi? wszak tu jest wilgoć, i na cóż zresztą to podziękowanie. Cóż naturalniejszego, że ja chętnie się zgadzam na to, by panu było dobrze w Ługolasach, a mnie... u ojczulka w Ostrówku.

— Jakto? — szepnął, bledniejąc i powstając Purchała.

— Panie Purchała, mówmy poważnie. O ile mogłam odgadnąć raczej z ruchów, zachowania się i wyrazu twarzy pańskiej, niźli słów powiedzianych, pan się zwrócił do mnie z propozycyą małżeństwa. Czy tak?

— Tak.

— Oceniam dobrą wolę pana w tym zamiarze, lecz dalej pojść nie mogę. Czy pan mnie rozumie? — ja teraz z kolei zapytam.

Purchała, to czerwony, jak mak polny, to blady, pokiwał tylko głową żałośnie.

— Lecz panie Purchało, ta *mała* pomyłka z pańskiej strony, niech bynajmniej nie psuje naszego dobrego stosunku. Zacznijmy od tego, że razem pojdziemy poszukać ojczulka.

I po tych słowach ruszyła śpiesznie do domu. Purchała powlókł się za panną, jak skazaniec za swym dozorcą; radby był jaknajrychlej ztamtąd uciec, lecz rozkaz hrabiego musiał być spełniony.

Ciocia Aniela, zajęta zastawą śniadania w jadalnym pokoju, była niemniej od siostrzenicy zdziwiona ranną wizytą Purchały. Zdziwienie urosło na widok jego uroczystego stroju i niesłychanie smutnej, zrozpaczonej postawy.

Ciocia, zawzięcie gospodarując pomiędzy szklankami, filiżankami i talerzykami, co chwila ciekawem spojrzeniem śledziła przybysza, tak się jej wydał pełnym tajemnych trosk i udręczeń. Nie uszło jej baczności i jakieś cokolwiek wymuszone zachowanie się Anusi, na świeżej twarzy której co chwila się zjawiał złośliwy uśmieszek, lecz szybko znikał ustępując miejsce lekkiej zadumie i jakby współczuciu wyrytemu w całem obliczu.

Powoli ciocia pochwyciła nić łatwo dającą się odgadnąć dziwacznej gry dwojga młodych, i zakipiała w duszy oburzeniem na biednego Purchałę. Napróżno jednak kilkakrotnie wychodząc z pokoju wywoływała Anusię, by ją wybadać i ostatecznie stwierdzić swe domysły; panienka uporczywie milczała, lub też zręcznie zwracała rozmowę na inne przedmioty.

Nadszedł Płużycki i na przedłożone sobie życzenia hrabiego, odpowiedział gotowością udania się do Ługolasów zaraz po śniadaniu. Purchała, badany o przyczynę wezwania, nie wiele mógł powiedzieć, pośpiesznie przełknął filiżankę kawy i pożegnał ro-

dzinę dzierżawcy, tłómacząc swój pośpiech i niemożność wspólnej z Płużyckim podróży jakimś pilnym interesem w drugim folwarku. Pośpieszył do hr. Szymona z oznajmieniem rychłego przybycia dzierżawcy.

A hrabia siedział już wtenczas w jadalnej komnacie i słuchał dziecinnego szczebiotu Leonka, który siedząc na wysokiem krzesełku przy ojcu, zasypywał go pytaniami o prędko już mającym nastąpić wyjeździe do Leonina.

Śniadanie przeciągnęło się dłużej, niż zwykle bo hrabia odbywał dłuższe narady z niańką dziecka, ogrodnikiem i zaufanym służącym kozakiem.

Przybyły Płużycki został wprowadzony do sali jadalnej, i powitany przez hrabiego podaniem ręki, zajął miejsce przy stole.

Rozmowę rozpoczął gospodarz o zbiorach już ukończonych niemal zupełnie w Ostrówku. Płużycki nie zmniejszał ich zwyczajem innych dzierżawców, owszem prawie z chlubą wymieniał kopy i korce.

— Więc panbyś chętnie, jak myślę, trwał i czas dłuższy przy dzierżawie tego majątku?

— Oczywiście, o ile by nic szczególnie ważnego lub koniecznego nie zmusiło mię do poprzestania na latach tych dwóch, jeszcze mi dotąd na mocy dotychczasowej umowy zapewnionych.

— Co do mnie, nie jestem daleki od tego, by mu powierzyć Ostrówek i na czas dłuższy, a obok tego... miałbym... jeszcze jedną propozycyę do zrobienia panu Płużyckiemu, którego rządność gospodarcza i uzdolnienie agronomiczne zadowoliły mię najzupełniej...

— Słucham p. hrabiego, — odpowiedział Płużycki z lekkiem głowy pochyleniem.

Hr. Szymon wstał od stołu i robiąc ruch ręką zapraszający Płużyckiego, by szedł za nim, powiódł gościa przez cały szereg okazałych pokoi domu do swojego gabinetu.

— Tu nam będzie wygodniej i... swobodniej, — dodał, siadając się w dużym rzeźbionym fotelu, a Płużyckiemu wskazując krzesło, o parę kroków od biurka umieszczone.

— Wiadomo panu być musi, że wkrótce, jak i lat poprzednich, wyjeżdżam za granicę z moim synem. Moj Purchała mię nie zadawalnia,... radbym go zmienić, powierzając rządy majątku rękom bardziej gorliwym, a głowie więcej otwartej. Wybór mój padł na pana... trzeba więc, byśmy się ułożyli o wzajemne,... o pańskie... warunki.

— Czy dzierżawy?

— I tej na nowy dwunastoletni okres i tych nowych obowiązków, o których mówiłem.

— Daruje p. hrabia, chyba to jakaś pomyłka być musi, gdyż ja nigdy nie myślałem o tych obowiązkach, o których p. hrabia wspomina.

— To mniejsza, lecz spełniać je pan możesz wybornie.

— Lecz ja ich przyjąć nie mogę, ja ich nawet nie chcę, mówił spokojnie, choć zwolna i głosem lekko drżącym Płużycki.

Hrabiego jednak te słowa ani zdziwiły ani oburzyły. Był chłodny i spokojny, kiedy swem poważnem spojrzeniem badał siedzącego dzierżawcę.

— Jeszcze nie wszystko powiedziałem, mój dobry panie Płużycki. Powierzając panu zarząd całego majątku i godząc się na dwunastoletnie wydanie w dzierżawę Ostrówka, daję panu dowód mojego zaufania i... uznania. To jednak jeszcze nie stanowi wszystkiego, dla czego tu pana wezwałem... Widziałem kilkakrotnie pańską córkę, sądzę, że jej przymioty obok wdzięcznej urody są w zupełnej harmonii. Jakie pan ma względem niej zamiary?

— P. hrabia ma zapewne na myśli pytanie, jakie ona sama ma plany na przyszłość, gdyż już ukończyła wykształcenie, na jakie mnie stać było, i dziś już ma pewne prawo i możność samoistnie stanowić o dalszem swem życiu. Ja cieszę się, że mam ją już w domu i radbym zatrzymać najdłużej, lecz co to tam można wiedzieć, co na jej dolę ży-

cie przyniesie... kończył Płużycki z serdeczną tkliwością w głosie

— Lecz przecie, pan jako ojciec musisz jakiś wpływ na córkę wywierać, musisz wreszcie coś wiedzieć o jej gustach, dążnościach i wymaganiach?

— Kochamy się bardzo, i sądzę, że w tem serdecznem i głębokiem uczuciu wzajemnem, spotkamy się zawsze mniej więcej zgodnie w każdym wypadku życiowym.

— To zresztą rzecz pańska i... pańskiej córki. Ja zrobię swoje. — Mógłbym się ożenić z pańską córką.

Płużycki milczał i tylko szerzej otwartemi oczami patrzał na hr. Szymona, on zaś zwolna ciągnął dalej.

— Moje położenie i stanowisko czyni zbytecznemi wiele w innym wypadku obowiązujących formalności. Pańska córka, jako moja żona, znajdzie u mnie wszystko, co może jej życie zrobić wygodnem. Po ślubie przeznaczę jej stałą dość znaczną roczną pensyę na jej potrzeby; pierwszy rok cały spędzimy za granicą, nadal utrzymam tryb życia taki, jaki prowadzę obecnie. Na wypadek mej śmierci, gdybyśmy nie mieli potomstwa, żona moja otrzyma kapitał stu tysięcy rubli przy zupełnej swobodzie nadal, gdyby zaś były dzieci, to do czasu ich pełnoletności żona moja będzie korzystać

z dochodów całego majątku, a następnie otrzyma swoje sto tysięcy w bezpośrednie i dowolne władanie Czy p. Płużycki mię dobrze zrozumiał?

— Sądzę, że tak.

— Więc?

— Czy p. hrabia chce we mnie widzieć posła, który ma zanieść jego propozycyę mojej córce?

— Sądziłem, że tu i niezwłocznie tę sprawę załatwimy.

— To jest niemożebne, p. hrabio, bo prawdopodobnie moja córka będzie miała także i *swoje wymagania* od *swojego* przyszłego męża. O ile dobrze słyszałem, p. hrabia, troszcząc się łaskawie o materyalną przyszłość swej żony, nie dał mi nawet najskromniejszych wskazówek, co moja córka, jako żona, *dziś, zaraz, dla siebie samej,* dla swej młodości, dla swych uczuć, dla swej czystej dziewiczej duszy, w związku tym znajdzie?... kończył już czerwony pod wpływem wzruszenia Płużycki.

Hrabia Szymon zmarszczył brwi groźnie, lecz to nie przestraszyło tego ojca, całem sercem kochającego swe jedyne dziecię i tu wobec magnata, broniącego je od brutalnego moralnego ucisku ze strony... wysokiego dobrobytu i urodzenia.

Stanęli sobie oboje do oczu z groźbą i wyrzutem, a siłą, bijącą z ruchu, spojrzenia i każdego słowa. I walka była nierówną; dzierżawca zwyciężył.

— Czy pan zechcesz powtórzyć swej córce moje słowa? Zapytał po długiej chwili milczenia hrabia Szymon.

— To zrobić mogę.

— A cóż będzie z zarządem Ługolasów i dzierżawą Ostrówka.

— Pierwsze odrzucam, a drugie przyjmuję, o ile warunki p. hrabiego odpowiedzą mym widokom.

— Czy mogę liczyć na szybką odpowiedź przy pańskiem pośrednictwie?

— To mnie obowiązuje.

Płużycki przy tych słowach powstał z krzesła i po milczącem wymianie ukłonów, tym razem już bez podania ręki, opuścił gabinet hrabiego, a w chwilę i Ługolasy.

Tegoż samego jeszcze dnia, choć już dość późnym wieczorem hrabia otrzymał list.

J. W. P. Hrabiemu
S. Hołodajowi
w Ługolasach.

«Mój ojciec, po powrocie z Ługolasów, starał się możliwie dokładnie powtórzyć mi rozmowę, jaką go zaszczycił p. hrabia. Odpisuję sama, nie chcąc prosić o pośrednictwo kochanego ojczulka, a to z obawy, by nie narazić go na przykrości.

P. hrabia zaszczycił mię swoją uwagą i względami, choć bez żadnego współdziałania z mej strony; zapewne dzięki temu otrzymałam propozycyę tak świetnego zamążpójścia. Szczęśliwy to dzień już chyba dziś dla mnie, choć tak pełny niespodzianek. Dziś właśnie rano otrzymałam podobną, choć w mniej przykrej dla mnie formie ujętą propozycyę ze strony p. Purchały, plenipotenta p. hrabiego. P. Purchała ofiarował mi swoje serce kochające, wspólną pracę i szczęście w przyszłości. Nie mogłam nic z tego przyjąć i czemkolwiek odpowiedzieć, bo nie kocham i nie mogę pokochać p. Purchały, choć widywałam go dość często. P. hrabia, zupełnie mi *nieznany* aż dotąd, a po wysłuchanem sprawozdaniu ojczulka, odrazu *poznany* w obrazie mojego honoru i godności kobiety, jakiejże odpowiedzi może oczekiwać odemnie? P. hrabia *mógłby* się ze mną ożenić!... uprzejmie dziękuję za łaskawy i tak wesoły żart, boć, z dwojga oświadczeń dzisiejszych wybierając *musiałabym* wybrać p. Purchałę, gdyż on mnie o to *bardzo prosił*, wtenczas gdy pan hrabia z góry kazał sobie *dziękować*. Nie wątpię jednak, że niejedna z mych sióstr, stokroć lepszych odemnie, z wdzięcznością przyjmie propozycyę p. hrabiego, nawet w *tej formie*, jak mnie to spotkało, podaną, i w tem przeświadczeniu szukam ulgi dla siebie w zmartwieniu

z powodu zrobionego zawodu p. hrabiemu.» — Anna Płużycka.

Hrabia Szymon oniemiał po przeczytaniu tych kilkunastu wierszy, ładnem pismem wypełnionych. Cios był tak silny i niespodziewany, że działanie jego dałoby się porównać tylko z działaniem najsilniejszych trucizn, gwałtownie porażających ośrodki mózgowia.

Ani jeden głos, ani jeden ruch, choćby w szalonym, wściekłym wybuchu, nie przyszły w pomoc dla osłabienia tej zupełnej agonii moralnej, w jaką popadł hr. Szymon.

Godziny mijały jedna za drugą, świece dogasały w olbrzymich srebrnych świecznikach, cisza nocy ciemnej, jesiennej powoli spowiła wszystko dokoła, a hrabia Szymon siedział bez ruchu, z przysłonionemi oczami, w swym gabinecie, kowulsyjnie zaciskając w ręku list Anusi Płużyckiej. Dostroił się do ogólnej, smutnej martwoty nocy jesiennej...

Nie umarł jednak, nawet nie chorował.

W oznaczonym czasie wyjechał do Leonina, nie widząc ani razu i Purchały i Płużyckiego.

W dni kilka po wyjeździe zaniepokojeni oficyalisci otrzymali obszerne rozkazy od mecenasa Skwir-

skiego z Warszawy, działającego na mocy szerokiej plenipotencyi hrabiego Hołodaja.

Purchała został na zajmowanej dotąd posadzie, a Płużyckiemu przedłużono kontrakt na lat 12 na warunkach poprzednich.

Ludzie tej dumy, co hr. Szymon nie mogą się zniżać nawet do zemsty względem najnienawistniejszych sobie, bo pragnienie zemsty — to już słabość, a hrabia Szymon, ostatni dobry Hołodaj, musiał mieć *zawsze* wyjątkową siłę.

A może to było tylko odczucie własnych błędów, lub przebłysk bezwzględnej sprawiedliwości, jako jedna z cech dobrego urodzenia i szlachetnej krwi?...

W dwa lata po tak nieszczęśliwej próbie powtórnego ożenienia się, hr. Szymon pochował syna.

Lecz sposobu życia nie zmienił i raz je sobie urządziwszy takiem, by go najmniej bolało, skostniał w jego ramkach aż do zapoznania wszystkiego, co się działo dokoła niego.

Dla tego też niespełna trzydzieści lat, jakie dzieliły ten ostatni niejako akt woli w nawiązaniu stosunków z ludźmi od czasu, w którym się rozpoczyna opowiadanie niniejsze, prześlizgnęły po hr. Szymonie, zlekka go tylko pochylając i obficie sre-

brząc bogaty włos na głowie i twarzy, a w niczem nie zmieniając jego wewnętrznego usposobienia.

Dla takiego człowieka opieka nad małoletniemi mogła być i była istotnie ciężarem niemałym, choćby nawet w tak ciasne ramki ujęta, jak to odrazu mieć chciał hr. Szymon.

Mecenas Skwirski miał sobie surowo zaleconem, by ostatecznie i w najprędszym czasie urządził zjazd rodziny i zupełne rozwiązanie spółki opiekuńczej.

Spełnił ten rozkaz sumiennie i hr. Szymon w pojeździe sześciokonnym z trzema kozakami zjechał na bruk Warszawy w przeddzień 30-go Czerwca, wskazanego jako termin dla wszystkich obowiązujący.

II.

Hrabia Szymon od lat niepamiętnych darzył hrabiankę Joannę Nowomiejską wzgardliwem lekceważeniem, co mu jednak nie przeszkodziło zgodzić się na jej opiekę nad dziećmi zmarłego brata.

Z kościoła, po ukończonem nabożeństwie, całe towarzystwo udało się dla tych powodów nie do mieszkania hrabianki, lecz do hotelu w którym główny opiekun obrał sobie mieszkanie.

Hr. Szymon witał wszystkich bardzo obojętnie,

odmawiając podania ręki hr. Henrykowi i hr. Joannie; ci, snadź w przewidywaniu tego, nie zbliżali się doń, cichą wymianą dorywczej rozmowy z sobą zajęci. Brakowało tylko jednego z koniecznych członków zgromadzenia — Adolfa Radomskiego; stary Radomski już w drugim roku opieki umarł, przekazując synowi obowiązki bankiera małoletnich Hołodajów.

Hr. Szymon zdradzał pewne zniecierpliwienie i drażniło go to, że oczekiwano na takiego Radomskiego.

Mecenas Skwirski z dwiema tekami pełnemi papierów siedział za stołem, układając potrzebne, jak mniemał, dokumenta w zrozumiałym dla siebie tylko porządku, od czasu do czasu, darząc uprzejmem i słodkiem spojrzeniem wszystkich dokoła z kolei.

Kozak wprowadził oczekiwanego Radomskiego. Powitał zebrane towarzystwo lekkim ukłonem, uścisnął protekcyonalnie dłoń zabiegającego mu drogę mecenasa i usiadł obok hr. Henryka, z którym wnet rozpoczął rozmowę. Hrabina Amelia musiała być tem ogniwem, które łączyło tych ludzi w dość poufałym na pozór stosunku.

Na skinienie hr. Szymona, Skwirski wydobył poważny zeszyt na stemplowym papierze i rozpoczął czytanie. Był to testament zmarłego przed dziesięciu laty hr. Ignacego.

Podczas czytania hr. Joanna, a z nią razem i Cesia, ukryły twarze w cieniuchny batyst chustek, hr. Jerzy może sam jeden słuchał bardzo uważnie.

Po przeczytaniu mecenas zwrócił się do Radomskiego i zaprosił go w imieniu hr. Szymona do złożenia rachunków z pieniędzy sobie powierzonych, a także i samych pieniędzy.

Radomski, nie wstając, wyjął imponujących rozmiarów pugilares a z niego małą ćwiartkę papieru, wypełnionego cyframi.

— Ojciec mój, wiedziony prawdopobnie obowiązkiem *pomagania rodzinie*, zlecił mi obracanie funduszami obecnych tu jego *wnuków* z koniecznym obowiązkiem płacenia dwunastu procentów. Kto wiele pragnie, wiele ryzykować musi: znaczną część powierzonego kapitału odebrałem w obligacyach kolei wschodnich i to było powodem pierwszego niepowodzenia: straciliśmy dwadzieścia dwa tysiące rubli. W roku następnym zamknąłem rachunki z hr. Henrykiem — wszak tak?

Hr. Henryk skinieniem głowy potwierdził.

— Odtąd — ciągnął dalej Radomski, gestykulując coraz bardziej gwałtownie i pocąc się pod ciężkiem spojrzeniem hr. Szymona — miałem rachunki już tylko z dwoma działami. Płaciłem stale dwanaście procentów, a oprócz tego wypłacałem na żądanie hr. Jerzego i hr. Cecylii sumy żądane już z same-

go kapitału. Przed trzema laty krach cukrowy uszczuplił fundusze znowu na piętnaście tysięcy. Na dzień dzisiejszy saldo hr. Jerzego wynosi osiem tysięcy rubli, a hr. Cecylii — pięć. Obie te sumy bez względu na kłopot, jaki mi to sprawia, płacę zaraz gotówką. Skończyłem.

Przy tych słowach dobył z wnętrza pugilaresu dwie spore paczki storublowych banknotów.

Hr. Jerzy już stał naprzeciw niego z oczami i twarzą pałającą.

— Pozwól pan siebie zapytać, jakim sposobem, gdy pańskie osobiste pieniądze rodzą stale zapewne o wiele większe, niż dwanaście, odsetki i majątek pański ciągle się powiększa, na naszych funduszach leżało stale piętno Kainowego przekleństwa i one same jedne topniały w pańskim ręku?

Radomski zbladł na chwilę, a kiedy nowa fala krwi zaczerwieniła mu twarz wyżej czoła, zrywając się z krzesła, rzucił z arogancyą chałaciarza z Nalewek:

— Księgi mojego kantoru zawsze mówią prawdę, a kto nie wierzy, może na mnie poszukiwać. Kto chce brać dwanaście procentów nie powinien tak śmiało podejrzywać ludzi, jak ja, którzy pożyczają tylko — na dziewięć procentów. Mój ojciec, a ja po nim, zmuszeni byliśmy albo *obdarzać* panów hrabiów, albo z konieczności powiększać ryzyko.

— Przy takiej alternatywie wybieram już chętnie to rzekomo *konieczne i prawdziwe ryzyko.* — Zakończył z ironicznym ukłonem hr. Jerzy, wracając blady na swoje miejsce.

Wszyscy pozostali zachowywali milczenie.

— Mecenas zechce po dokonanej wypłacie zająć się ułożeniem pokwitowania dla starozakonnego Radomskiego — przemówił zwolna i dobitnie hr. Szymon i zadzwonił.

Kozak stanął we drzwiach. Hrabia Szymon tylko skinieniem ręki wskazał Radomskiego i... drzwi.

Bankier rzucił gwałtownie pieniądze na stół i, mrucząc przekleństwo, opuścił zgromadzenie, z pianą na ustach. Ciężkie milczenie zapanowało wśród zebranych, jedna tylko hr. Joanna uśmiechała się złośliwie.

Hr. Szymon głos zabrał.

— Hrabianka Cecylia, sama jedna, może od dziś zamieszkać w Ługolasach, mecenas zajmie się ułatwieniem wyjazdu. Uprzedzam jednak, że na jej potrzeby nie będę przeznaczał tyle, co wydawała jej dotychczasowa opiekunka. Wolno wybierać, ja nie nalegam. Sądzę, że możemy uważać sprawy za załatwione...

— Nie, panie hrabio, jeszcze nie skończyliśmy,— dał się słyszeć zimny i twardy, jak dźwięk stali, głos hr. Jerzego — winniśmy jeszcze załatwić osta-

tnią formalność: złożyć podziękowie za dobrą opiekę. Ja dziękuję najbardziej za to, że nasza siostra została pozbawioną niemal całego funduszu dzięki opiece stryja i ciotki. Za namową ciotki małoletnia Cesia robiła ofiary na cele niekontrolowane razy kilka po trzy i więcej tysięcy rubli i przeciętnie na siebie obracała rocznie przeszło po trzy tysiące; dzięki gorliwości stryja taka gospodarka uchodziła bezkarnie i trwała aż dotąd. Chciałbym umieć tak stanąć, by pobyt Cesi w Ługolasach stał się jak najkrótszym, radbym tę siostrę tak ukochać, by w jej pamięci zetrzeć imiona stryja i ciotki. Teraz skończyłem.

Hr. Szymon powstał. I stali tak przeciw sobie, stryj z synowcem, z groźbą i bezgraniczną dumą w spojrzeniach i postawie, mierząc się wzajemnie oczami błyszczącemi. Byli obaj tak podobni w tej chwili do siebie, że każdy obcy od razu odgadłby wspólną krew i dziedziczny temperament.

Hr. Jerzy ocknął się pierwszy i zmierzając ku drzwiom zwrócił się do siostry.

— Pójdź, Cesiu, już teraz możesz sobą rozporządzać, a jabym tak chciał z tobą pomówić.

Panie powstały obydwie. Mecenas Skwirski pośpieszył do hr. Jerzego i hr. Cecylii, podając obojgu po paczce banknotów. Hr. Jerzy swoją paczkę bez wahania podzielił na dwie równe części

i z tych jednę wsuwając w rękę zdumionej Cesi, przemówił:

— Przyjm to małe odszkodowanie z mej strony, bo i ja, niestety! winien jestem w braku starania o tobie.

Hr. Henryk wyszedł ostatni. Zdawał się być raczej znudzony, niż poruszony tem wszystkiem, co w ciągu tak krótkiego czasu działo się w jego obecności.

Już sama obecność w Warszawie była mu nie na rękę, bo śpieszył do wód zagranicznych, na zwykłą letnią wędrówkę po modnych zakątkach Europy, a sprawy familijne niecierpliwiły go tem bardziej, że dawno stały się już one dla niego najzupełniej obcemi.

Punktualnie o godz. piątej kozak wprowadził zamówionego służącego do gabinetu hr. Szymona.

Obadwaj stanęli w progu.

— Jak się nazywasz? —

— Ludwik Neuburg, jaśnie panie.

Hr. Szymon drgnął zlekka, a czoło jego okryło się fałdami, gdy myśl mu przyniosła dawne wspomnienia, zda się na zawsze pogrzebane.

— A więc nie Polak?

— Urodziłem się w Szwajcaryi—od dziesiątego roku życia mieszkam w Warszawie.

«Ten sam, niewątpliwie»—zamruczał hrabia.

— Przyjmuję: dwadzieścia pięć rubli pensyi miesięcznie, podczas podróży zagranicznych, pensya podwaja się, cały twój czas do mnie jedynie należy, robić wszystko, co każę.

— Słucham jw. pana. —

— Za trzy dni wyjeżdżam do Wiednia,—ty ze mną; Mikołaj niech da miesięczną pensyę z góry—zakończył hrabia zwracając się do starego kozaka.

Takim sposobem Ludwik został przyjęty na służbę, ku zadziwieniu kozaczej świty hrabiego, gdyż hrabia nie żądał od nowoprzyjętego, ani świadectw, ani szczegółowego egzaminu.

Przez cały czas pozostający od zapowiedzianego wyjazdu Ludwik nie otrzymał żadnego rozkazu. Dopiero na kilka godzin przed wyjazdem, hrabia przywołał go dzwonkiem.

— Przeczytaj to—rzekł hrabia podając mu arkusz papieru listowego.

Ludwik czytał: «Przed kilkunastu laty chciałem panią wyręczyć w pełnieniu *koniecznych obowiązków*, sprowadzając do kraju rzecz przez panią zgubioną w Swajcaryi. Po kilku latach i ja straciłem ją z oczu. Dziś odzyskałem ponownie i chętnie gotów jestem zrzec się mych praw na korzyść pani. Oddawcą niniejszego jest mój nowy służący Ludwik Neuburg».

— Czy zrozumiałeś cośkolwiek? —

— Nie, nic—jw. panie. —

— To i dobrze, kiedyś może zrozumiesz:

Odebrał list z rąk Ludwika i włożył go do koperty.

— Oddasz podług adresu. —

Adres wskazywał: Jw. hrabianka Joanna Nowomiejska.

Kiedy list ten Ludwik oddał w przedpokoju mieszkania hr. Joanny i czekał na odpowiedź, tuż za nim wbiegł do mieszkania hr. Jerzy i rzuciwszy paltot na ręce otwierającej mu drzwi służącej, pośpieszył do salonu, nie patrząc nawet na stojącego Ludwika.

Wkrótce z salonu dały się słyszeć gwałtowne dzwonienie, krzyki, płacz, a wsród tego gwałtu pojedyńcze wyrazy.

— Precz z nim o.... to fałsz..... to potwarz niegodna..... niechcę!.... nie mogę!.....

We drzwiach ukazał się hr. Jerzy i zawołał o wodę, lecz widząc obcego służącego, spojrzał nań badawczo.

— Ludwiku! a ty tu co robisz?—ze zdumieniem wykrzyknął.

Ludwik zachwiał się, jakby tracąc przytomność, a wnet potem cały się skurczył jakby chcąc się

ukryć zupełnie w szarej liberyi hrabiowskiego pokojowca.

Hr. Jerzy ujął go za ramię.

— Ależ tak, to ty Ludwiku, nie mylę się, dla czegoż milczysz, i czemu mię nie witasz, wszak jam Hołodaj, twój kolega i przyjaciel przed laty.

— Być może, p. hrabio,—łkajac szepnął Ludwik,— lecz dziś jam—lokajem hr. Szymona Hołodaja.

— Czy być może? Ty—lokajem, ty, który należałeś do zdolniejszych uczniów piątej klasy? Jakiż zły los cię dosięgnął? Może ci mogę być w czem pomocnym?—badał Jerzy z uczuciem niekłamanem w głosie.

— Wystąpiłem z gimnazyum, zrzekłem się nauki, z chwilą gdy mi zły człowiek powiedział, że żyję cudzą łaską, której mi nawet nigdy poznać nie będzie wolno. Dziś, p. hrabio, o jedno proszę—o zupełne zapomnienie, tak będzie dla mnie chyba... najlepiej....

Jerzy z uczuciem ujął dłoń Ludwika w życzliwym uścisku i w milczeniu wyszedł na wschody.

Ludwik, dowiedziawszy się od służącej, że pani zemdlała, nie czekał dłużej i pośpieszył z ustnem zdaniem sprawy do hr. Szymona.

W parę godzin później hr. Szymon wyjechał do Wiednia, a z nim razem i Ludwik.

III.

Jakże czarodziejsko pięknem jest owe nieszczęsne Monte-Carlo, przodujące wdziękiem wsród przepięknego szeregu ślicznych zakątków Rivier'y di Ponente, a tylekroć przeklęte i krwią rozpaczliwych samobójców zbryzgane.

Natura, rzucając tu pełnemi garśćmi barwy, światło i wonie, zda się, pragnęła stworzyć raju przedsionek, a tłum chciwy, żądzą bogactw rozbestwiony, wniósł tu zwątpienie, rozpacz, szał rozpustny, a w końcu śmierć bez chwały.

Siedlisko gry tonie wśród zieleni przeróżnych odcieni i kwiatów najbarwniejszych. W niewielkim stosunkowo ogrodzie są setki miłych, zacisznych miejsc, z widokiem rozległym na wody morza u stóp, te wody, które zapożyczają barwy od cudnie szafirowego, prawie zawsze bezchmurnego nieba, tu tylko, a więcej nigdzie, dzięki tym łagodnym niebieskim w kolorze refleksom, nie przerażają widza ciemnością i głębią nieznanych otchłani.

Dokoła, co krok, szemrzą fontanny, łagodny wietrzyk otacza tutejszego gościa coraz to świeżym napływem wonnych podmuchów; róże, konwalje i fiołki kolejno napawają przechodnia najmilszym zapachem.

Zewsząd słychać muzykę, to orkiestralną, to pojedyńczego instrumentu, to znowu nieraz pieśń rzewna lub wesoła zadźwięczy aż od morza, głosem pełnym i radosnym rzucona w przestworze, jakby z celem odosobnienia się od tysiącznych głosów gwaru ruchliwego i licznych dzwonków, wieszanych na szyjach osiołków, krów i kóz miejscowych.

W godzinach bezchmurnego, słonecznego i zawsze wonnego dnia, Monte-Carlo słabem tylko pulsuje życiem. Drobni przekupnie miejscowi, służba różnej płci i specjalności, i rzadki tylko turysta, dają się widzieć we wszystkich kierunkach. Żądzą i gorączką strawieni gracze kryją się przed światłem dziennem, to miotając się w bezsilnym gniewie i rozpaczy, to snując marzenia na temat uśmiechnąć się mającej fortuny.

Dla nich niema barw, woni i promieni. Szelest banknotów i dźwięk złota przesuwanego i łączonego w kupki przez krupierów brzmi im w uszach dzień cały to hymnem radosnym, to smutnym, ba! często nawet prawdziwym marszem pogrzebowym. Godzina, często jedna tylko chwila, przenoszą grających z szału radości w otchłań rozpaczy, szarpiąc całem ludzkiem jestestwem i kładąc na twarzach i postawach piętno dzikiej i wstrętnej namiętności. Tu, w takich warunkach, zbiega się cząstka, podobno uważająca się za najlepszą, ludzkiej rzeszy

i tworzy żywe obrazy najohydniejszej walki ..... o złoto.

I to ma być szczytem roskoszy, oddziaływającej nawet na najbardziej ubezwładnione nerwy.

Jedną z kamiennych ław w cichej ustroni zajmują dwaj młodzieńcy: blondyn i brunet, obaj wykwintnie ubrani, przystojni i tryskający zdrowiem i dobrym humorem. Zdawaćby się mogło, że doznali łask fortuny lub tylko co przybyli i jeszcze nie probowali ją sobie zhołdować.

Blondyn—to hr. Jerzy, a brunet swą smagłą cerą i ognistem spojrzeniem nasuwał odrazu wspomnienie choćby raz w życiu widzianego Węgra, i był nim też istotnie.

Był to Andrzej Görgöly.

— No i cóż, Jerzy,—pytał Andrzej towarzysza, smakując w dymie wonnego cygara—czyż już nic nie wymyślisz, żebyśmy jeszcze choć raz wejść mogli do świątyni tego żarłocznego Molocha?

— Nie, najzupełniej nic. Uprzedziłem cię jeszcze w Grignon, kiedy mię namawiałeś na tę niefortunną wycieczkę do Nizzy i Monte-Carlo, o mojem postanowieniu i dziś powtarzam: z dziesięciu tysięcy franków, wywiezionych z kraju, i stanowiących smutną całość mojego funduszu, pięć jeszcze przed spotkaniem i zbliżeniem się z tobą, wydałem na

zwiedzenie wzorowych gospodarstw Czech, Saksonii i Francyi, dwa święcie przeznaczyłem na powrót do kraju, a trzy ostatnie już przegrałem, niemal bez ochoty, a zupełnie bez nadziei, ryzykując je dla zdobycia urojonych bogactw. Ja więc moję rolę już odegrałem i jutro wyjeżdżam.

— Wstydź się, uchodzić tak z pola walki bez wyczerpania wszystkich środków. Przypomnij sobie, że my obaj należymy do narodów słynących z dzielności kiedyś w boju, a przecież i tu ma miejsce codzień walka zażarta, po której nieraz zostają i prawdziwe trupy.

— Ten rodzaj walki nie robi mi jednak żadnej przyjemności.

— A mnie bardzo wiele, ale dziś rozumiem dla czego. Ty, potomek rodu magnatów, czytałeś nieraz, że twoi przodkowie ścinali łby Turkom, Tatarom, Krzyżakom, a ja, zaledwie już po stracie ojca, dowiedziałem się, że on pół życia spędził na ucinaniu łbów wołom, świniom i baranom, a drugie pół już jako właściciel stad i obszarów ziemi miał te zwierzęta za wiernych przyjaciół, z których umiał robić swoje miljony. To różnica w pojęciach *naszego* ogółu, nic też dziwnego, że ty może wzdychasz do cieniów praojców, a ja staram się najweselej o nich nie pamiętać.

— Mylisz się, Andrzeju, dziś myślę jedynie o powrócie do kraju i o pracy, która ma mi dać podstawę i racyę bytu.

— Biednyś ty, Jurku, kiedy tu, w tej czarodziejskiej krainie takie marne myśli cię pochłaniają. Ale nic z tego,—ciągnął dalej z wybuchem śmiechu— nie chcesz ty nic wymyśleć, to ja to już zrobiłem za ciebie.

— No ciekawym, co to znowu będzie nowego? może mi zaproponujesz pielgrzymkę do progów stryja w Leoninie, który w tym roku wyjątkowo tu długo bawi?—odmawiam z góry.

— Ani myślę o tem, już choćby dla tego samego, że ten białowłosy patryarcha nie wygląda na dostatecznie miękki i podatny materyał. Nie, mam coś łatwiej pochwytnego.

Co ty zamierzasz robić po powrocie do kraju?

— Zająć jakiekolwiek stanowisko odpowiednie mojemu agronomicznemu uzdolnieniu i wytrwale na tem polu pracować.

— Czy to stanowisko już czeka na ciebie?

— Bynajmniej, i to jest jedyna przykra myśl, która mię niemałą obawą przejmuje, ale mam liczne stosunki, bogatych znajomych, przyjaciół.....

— Więc liczysz, że ci który z przyjaciół da posadę w swoich dobrach? To żałuję cię mocno, bo

albo się zawiedziesz, albo będziesz katowany przez swego pracobiorcę i całe twoje otoczenie.

Pomyśl tylko: hrabia—administratorem lub rządcą, toć to w pojęciach hrabiów i książąt—próżniak, niedołęga i człowiek niesłychanych wymagań, bo każdy z nich sam się takim w głębi ducha czuje i ma niby prawo sądzić, że i ty takim będziesz. To najgłówniejsza przeszkoda do zajęcia odpowiedniego stanowiska. Być może, że znalazłbyś chętnego kontrahenta w osobie jakiego zbogaconego bankiera—żyda, to byłoby jednak najgorsze, bo ty sam po trzech dniach moralnych katuszy uciekłbyś, a za tobą poszłyby wszędzie w ślad—drwiny i śmiech.

— Andreas, powstrzymaj się, bo natchniesz mię przedwczesnem może zniechęceniem; przewidywania twoje mają tyle pozorów prawdy, że właśnie dla tego słuchać ich niechcę.

— Już o tem skończyłem, przejdę teraz do wykazania ci sposobów, jakiemi możemy poprawić zaraz nasze smutne położenie, bo przecież wiesz aż nadto dobrze, że i ja jestem spłukany do ostatniego luidora.

— Słucham z ciekawością—uśmiechnął się Jerzy.

— Nie wiem, czy ci kiedy wspomniałem, że mój zacny rodzic zostawił mi na pamiątkę kilkanaście tysięcy hektarów ziemi u stoków Zachodnich Alp Siedmiogrodzkich, nad brzegami Maruszy, z nieobli-

czoną ilością wołów, koni i świń; obok tego rozległe lasy i pół miljona papierków w banku. Z temi ostatniemi sam się już dotąd załatwiłem, wszystkiem innem kieruje obrzydliwe niemczysko, p. Knope, który, wyobraź sobie, nigdy w życiu nie siedział na koniu, i dzięki temu wśród secin mych koni, ja nie mogę mieć nigdy dobrego wierzchowca podczas krótkich mych wycieczek do majątku. Dobra są bez długów i mogą podobno dawać do dwustu pięćdziesięciu tysięcy guldenów dochodu. P. Knope miał brać sześć tysięcy, lecz podobno *bierze* sobie o wiele więcej. Nie umiem się z tego wyplątać. Jedź więc na jego miejsce, ty będziesz miał poszukiwaną posadę, ja zaś dobrego kiedyś wierzchowca, a co najważniejsza my obaj zaraz będziemy mieli gotowiznę. Czy nie genialne rozwiązanie wszystkich kłopotów?

Hr. Jerzy milczał w poważnem zamyśleniu pogrążony.

Propozycya była ponętna i co najważniejsza przychodziła jak raz w porę. Lecz czy mógł zaufać temu młodemu i namiętnemu węgrowi, którego poznał przed miesiącem, a poprzednio nawet nigdy o nim nie słyszał? Görgöly był dla niego szczerym i wylanym przyjacielem, lecz jednocześnie był strasznie lekkomyślny, mógł więc ofiarować posadę, którą wcale nie rozporządzał. Hr. Jerzy

łatwo się jednak zdecydował, gdyż co prawda, przyjmując propozycyę Andrzeja bardzo niewiele ryzykował.

— No, zgoda!—nalegał Andrzej, z ręką wyciągniętą do uścisku.

— Zgoda,—odpowiedział Jerzy, oddając uścisk energicznie.

— To znakomicie—cieszył się szczerze Görgöly, z widocznem ożywieniem i radością—będę ci zwierzchnikiem bardzo wyrozumiałym, bo mam zwyczaj przyjeżdżać do kraju tylko dwa razy: raz podczas wyścigów w Wiedniu i Peszcie, a drugi—na polowania grube w jesieni. Nie będę żądał nigdy raportów i rachunków—te chowaj dla siebie, a dla mnie dosyłaj co najwięcej pieniędzy. Będę bardzo zadowolony, otrzymując rocznie dwieście tysięcy guldenów, bo dotąd nigdy takiej sumy z dochodów nie miałem. Na rachunek tych dwustu, możesz mi zaraz z twych własnych pieniędzy dać tysiąc franków, to będzie pierwszy dobry czyn twej służby.

— Ależ jak najchętniej, nawet półtora, bo dla mnie pięćset franków powinno wystarczyć na podróż, w którą wyruszam jutro.

— Niepotrzebnie się spieszysz, kochany Jurku, parę dni tu nic nie stanowi, a mnie byłoby przyjemnie spędzić je z tobą.

— Nie, Andreas, pilno mi ztąd uciekać już choćby do tej nowej pracy, wiesz jak mi niemiłym jest ten pobyt w Monte-Carlo, gdzie jestem narażony na niemiłe spotkania z moim stryjem.

Po tych słowach hr. Jerzy wyjął z pugilaresu trzy bilety po pięćset franków każdy i wręczył je Andrzejowi.

Ściemniło się tymczasem już znacznie. Jaskinia gry wabiła zdaleka wspaniałem elektrycznem oświetleniem i tonami wesołej, bachanalnej muzyki.

— Ale pójdziesz, Jurku, jeszcze ten raz ze mną pożegnać ruletę?

— Nie mogę, gdyż mam trochę zajęcia przed wyjazdem.

Do widzenia więc; powracaj zwycięzcą!

Rozeszli się. Hr. Jerzy pośpieszył do hotelu, w którym zajmowali wspólne mieszkanie.

Na stole oczekiwał na niego list.

«Spotykając ciebie tu w Monte-Carlo już od niejakiego czasu, teraz już najzupełniej nie wątpię, że masz *stały i poważny* zamiar zaopiekowania się Cesią i jej funduszami. W tym celu może chcesz mieć w ręku i jej własne pozostałe pieniądze i ofiarowaną przez ciebie sumę—mój służący, oddawca niniejszego w każdej chwili ma sobie zleconem to życzenie twoje spełnić. Opieka twoja, podobna opiece hr. Joanny Nowomiejskiej, będzie

jeszcze skuteczniejszą, bo szybszą.... przy stołach rulety. Sz. hr. H.»

List ten policzkował hr. Jerzego i był odpowiedzią na jego wystąpienie przy zakończeniu opieki. Hr. Szymon nie umiał zapominać i mścił się dotkliwie.

Jerzy uczuł się tem boleśnie dotknięty i poruszony do głębi, lecz na szczęście mógł już w tej chwili, dzięki Andrzejowi, naprawić łatwo w przyszłości błąd popełniony. Bez namysłu więc usiadł za stołem i napisał do stryja.

«JW. p. Hrabio! Jutro wyjeżdżam, by objąć posadę rządcy dóbr na Węgrzech za rocznem wynagrodzeniem sześciu tysięcy guldenów. Wystarczy to najzupełniej i dla Cesi i dla mnie. Mam honor tedy podziękować p. hrabiemu za kilkumiesięczny przytułek jej dany i zatem proszę o niestawienie przeszkód w przysługującem mi prawie sprowadzenia siostry do mojego domu. Kapitały Cesi chętnie zostawiam JW. p. hrabiemu do dyspozycyi. Ja w Monte-Carlo jestem raz pierwszy i wypadkowo, a pan, panie hrabio, jesteś podobno najstalszym z gości.».

Włożył list do koperty i rozmyślał o sposobie odesłania jego, kiedy do pokoju wszedł Ludwik Neuburg.

Nie miał na sobie szarej wstrętnej liberyi. Jerzy pośpieszył powitać go po koleżeńsku.

— Panie hrabio—jęknął raczej, niż wymówił Ludwik—hrabia Szymon zlecił mi dostarczenie panu pieniędzy do wysokości dziewięciu tysięcy rubli—jestem gotów to spełnić, prosząc o pokwitowanie.

— Dziękuję tobie za twój osobisty trud, co się zaś tyczy pieniędzy, właśnie w tym oto liście porozumiewam się ze stryjem. Nie mówmy więc o tem, a raczej usiądź tu u mnie i pomówmy z sobą, jak dawni koledzy.

Ludwik tłómaczył się brakiem czasu, lecz uległ naleganiu Jerzego.

— Daruj mi proszę otwartość—ciągnął Jerzy,—lecz dziwię się tobie, że chcesz służyć u szanownego mojego stryjaszka. Ja sam od jutra wyjeżdżam na służbę, lecz nie do kraju niestety, i mam nadzieję, że będzie to służba zupełnie inna od tej, jaką ty pełnisz. Czy cokolwiek później nie pozwolisz mi pomyśleć o wyszukaniu czegoś i dla ciebie?

— Serdecznie dziękuję p. hrabiemu....

— Ludwiku, nie obrażaj mię tytułami—prosił Jerzy.

— Dziękuję wam, kolego dobry i szlachetny, lecz ja nie mam żadnych kwalifikacyj odpowiednich.

— Lecz masz uczciwość, zdrowie i chęć do pracy, to także przecie coś warte.

Ludwik gorzko się uśmiechnął i zamilkł.

Zwolna w poufniejszej pogawędce Jerzy zdobył sobie zaufanie Ludwika, który jakby tajał pod wpływem serdecznych słów przyjaciela i w oczach, szybko jakby przeobrażał się w całej postaci i wyrazie twarzy.

Jerzy zwyciężył w końcu i postanowił zająć się losem kolegi. Ludwik po godzinnej rozmowie pożegnany uściskiem, zabrał list i wyszedł żegnając Jerzego ze łzą w oku.

Hr. Szymon, który opuścił kraj zaraz po ukończonych rachunkach opieki, bawił stale w Leoninie, długie samotne godziny spędzając na ławie w cieniu cyprysów i życiodrzewów przy grobie jedynego dziecięcia. Życie prowadził tak jednostajne, sam był przytem tak milczący i ponury, że młodszy od dwóch zkozaczonych starców Ludwik szarpał się z sobą, jak brytan uwięziony na łańcuchu. Codzień ku wieczorowi hrabia odbywał wycieczkę pieszą z Leonina, odległego o dwa kilometry do Monte-Carlo, w asystencyi dwóch sążnistych kozaków.

W salonach gry był znany i służbie miejscowej i gościom przyjezdnym.

Siadał z dala od stołów rulety i rozpoczynał *swoją* grę. Jeden z kozaków dobywał z worka trzymanego po pięć luidorów i rzucał na stół kolejno, a drugi zabierał wygraną, o ile ona następowała.

Hrabia Szymon tak grając, nigdy nie stawiał ani mniej, ani więcej jak sto luidorów: czy je przegrał, czy też coś wygrał, grę bezwarunkowo kończył i wracał do domu. W wypadku sprzyjającego szczęścia kozak stawił zdwojone stawki.

Utrzymywano powszechnie, że dzięki takiemu systemowi hr. Szymon był w ogólnym rachunku wygrany.

Odpowiedź, jaką hrabia otrzymał od synowca, była nowym dla niego ciosem, lecz tak już umiał ukrywać swe wrażenia, że nawet baczny Ludwik nic zauważyć nie zdołał.

Zachowanie się Ludwika znacznej uległo zmianie i z apatycznego i *dobrze ułożonego* służalca stał się jakimś gorączkowym, jakby w ciągłem oczekiwaniu czegoś będącym człowiekiem. Aż wreszcie podziękował za służbę.

Hrabia uśmiechnął się drwiąco.

— Czy znasz twoich rodziców choćby z nazwiska? zapytał.

Ludwik stanął cały w płomieniach wstydu. Wiedział, niestety, że był bezimienną istotą na świecie.

Hrabia sięgnął do szuflady biurka i wskazując na wielką zapieczętowaną kopertę ztamtąd dobytą, mówił:

— Po mojej śmierci, która jak sądzę, nie długo na siebie czekać każe, otrzymasz tę kopertę, a z niej dowiesz się, kto jest twoją matką. Z chwilą, gdy odejdziesz ze służby,—dowody te będą zniszczone i nie sądzę, byś je kiedykolwiek i zkądkolwiek mógł na nowo wydobyć.

Kiedyż więc zamierzasz mnie opuścić?—Zakończył z ponownym zjadliwym uśmiechem.

Ludwik blady zatrząsł się jak ptak pod wzrokiem, mającego go porwać gadu.

— Zostaję, p. hrabio,—wyszeptał cichym głosem.

Hrabianka Cecylia, pod wpływem listownych rad ukochanej cioci tej samej jesieni, opuściła Ługolasy, by przyjąć nowicyat w jednym z klasztorów w Krakowie.

Hr. Jerzy przy takiem rzeczy obrocie pozostał samotnym pracownikiem, uganiając się na koniu po obszernych pusztach i lasach na Węgrzech.

IV.

W trzy lata później, hr. Szymon Hołodaj nie mógł już podjąć corocznej jesiennej wycieczki na Riviera di Ponente.

Długo podtrzymywana ta postać granitowa niezwykłą siłą nerwową i olbrzymią wolą, gwałtownie runęła w gruzy stłoczona brzemieniem i lat i wypadków przeżytych.

Cisza jeszcze większa, niż zazwyczaj panowała w obszernych komnatach i dokoła domu, w którego zewnętrznej szacie i otoczeniu niemal żadne zmiany nie zaszły. Tu i tam snuły się szare, brązowe i granatowo uliberyowane postacie osiwiałej służby i oficyalistów, w cichym pół-szepcie podając sobie do ucha wiadomości z gabinetu i sypialni hrabiego.

Hrabia i dni i nocy spędzał w fotelu na kółkach, przy którym bywał nieodstępnie prawie najstarszy z osiwiałych kozaków.

Cała postać hrabiego zmieniła się do niepoznania. Zginęła czerstwość, imponująca postawa i orla wzroku potęga: był to już starzec trzęsący się i zgrzybiały.

Wezwany z Warszawy mecenas Skwirski bawił już od kilku tygodni i codzienne odbywał konfe-

rencye z hrabią. Z rodziny hrabia nie żądał widzieć nikogo i wola jego musiała być uszanowaną.

Za granicami gabinetu i sypialni, ukazywał się często, podobnie osiwiały, jak inni, rządca Purchała, któremu wiek przysporzył tuszy i powagi, nie dając jednak aż dotąd możności skosztowania szczęścia małżeńskiego pożycia w rodzinie.

W dobrach rządził on już teraz samowładnie, bo hrabia mało już o czem i rzadko tylko chciał wiedzieć.

Jesień późna, zimna i dżdżysta, dokuczyła już wszystkim. Dzień jeden był podobnym do drugiego, a każdy—wymownym obrazem usypiającej w martwocie natury.

Hrabia, przysunięty z fotelem przez Ludwika do okna w gabinecie, gasnącym wzrokiem obejmował podwórze i zajazd przed pałacem. Lecz pusto tam było i cicho, a nawet brama była zamknięta, gdyż nie oczekiwano i nie żądano czyichkolwiek odwiedzin.

W mglistym wzroku hrabiego przebijał się jakby smutek, jakby żal i tęsknota w tem strasznem osamotnieniu.

— Ludwiku!—mówił głosem powolnym i osłabłym,—czuję mój koniec blizki. Muszę spełnić daną

ci obietnicę,—Skwirski wręczy ci wiadome papiery.

Kazałem moje ciało wywieść z kraju i złożyć w grobie obok mojego syna w Leoninie..... Ty je tam powieziesz..... posłuż mi i po śmierci jeszcze. Weź ten kluczyk—ciągnął, podając Ludwikowi mały i sztucznie zrobiony wycinek metalowy—w stołowym pokoju w Leoninie na ścianie przeciwne kredensowi jest wymalowany w dużym medaljonie róg obfitości, wytrząsany przez Ceres. Naciśniesz palce tejże Ceres i cały medaljon się odsunie, a za nim znajdziesz w ścianie wmurowaną szafkę stalową, którą ten kluczyk otworzy. Znajdziesz tam w złocie.... moję wygranę w Monte-Carlo, różnemi czasy składaną Niech ci ona posłuży do dalszego urządzenia twojego życia.....,bo twoja matka wątpię czy będzie chciała i mogła o tobie pamiętać.....

Nie dziękuj mi tylko..... jam nic w życiu na podziękę zasługującego nie zrobił..... i dziś dla tego.... tu tak pusto.... smutno.... Ach! jakże mi jest ciężko!....

Pochylony nad fotelem Ludwik milczał, nie śmiąc przerywać tej bolesnej spowiedzi, czy skargi opuszczonego starca.

— Powiedz Jerzemu, żeby Leonin..... był zawsze pilnie strzeżony..... powiedz, żeby Ostrówek..... zawsze był..... dla niej..... dla nich..... dla tych moich dobrych choć..... ułudnych chwil..... powiedz, nie

zapomnij..... Ach! otwórz okno..... powietrza,..... słońca i..... ludzi,..... ludzi..... mi tu wołaj, proś..... błagaj,..... niech przyjdą wszyscy..... niech mię wszyscy otoczą!..... och uścisnij mię..... przytul do piersi..... pożałuj..... i zapłacz nademną..... Ludzie!..... przytulcie..... pożałujcie człowieka.....!!

Głos charczący już i zdławiony dobywał się zaledwie z gardła.

Ludwik strwożony i do głębi wzruszony ukląkł u nóg starca i łzawym wzrokiem chwytał jego gasnące spojrzenia.

Hrabia Szymon zrobił ostatni wysiłek i zimną dłonią dotknął ramienia klęczącego.

— Umieram i..... wszystkim przebaczam..... czy mnie kto.... pożałuje choć trochę....?

Dłoń zsunęła się bezsilna i martwa.

Hrabia Szymon Hołodaj wyzionął ducha.

Mecenas Skwirski zarządził niezwłocznie wywiezienie zwłok hrabiego w wspaniałym sarkofagu do Leonina, a hr. Jerzego telegraficznie zawiadomił, że jest on jedynym sukcesorem zmarłego i wykonawcą wskazanych w testamencie legatów, w liczbie których, hrabianka Cecylja miała przeznaczone sobie czterdzieści tysięcy rubli, jako zwrot utraconego podczas opieki posagu.

Ludwik towarzyszył zwłokom i od siebie wezwał hr. Jerzego do spotkania tych zwłok w Wiedniu i towarzyszenia im aż do Leonina.

V.

Pociąg wychodzący w popołudniowych godzinach z Warszawy na linii Warszawa-Brześć zatrzymał się o godz. jedenastej wieczorem na jednej z krańcowych już stacyj mniejszych.

Mróz był znaczny, dokoła stacyi noc widna, bo rozjaśniona księżycem, ujęła wszystko w biały puszysty całun śniegu, a na tem tle fantastycznie rozkładały się w plamach i cieniach również śniegiem okryte drzewa i krzaki.

Rozespana służba stacyjna przytupywała nogami, chowając głowy i twarze możliwie głębiej pod ochronę kołnierzy, to samo robili i podróżni, których liczba była większą niż zwykle, gdyż miało to miejsce na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia.

Jedni z miast biegli na wieś do rodziny i krewnych, drudzy jako goście dążyli dla poznania wsi w porze zimowej, a obok tego łudzili się nadzieją wybornego, obiecanego sobie polowania.

Nie było jednak gwaru i hałasu, gdyż był to piątek. Podróżni powolnie opuszczali wagony, objuczeni ręcznym bagażem w towarzystwie tragarzy, niosących większe sztuki.

Z jednego z wagonów drugiej klasy raźnie wyskoczył młody uczeń gimnazyum i przy pomocy tragarza usiłował złożyć w pewną całość mnóstwo pudeł, torebek podróżnych i paczek, starannie opakowanych. Kiedy już wszystko było zebrane i policzone, z wagonu wyszła postać niewieścia, która bez względu na skombinowany silnie strój zimowy, ruchami zdradzała młodość i ożywienie.

Stanęła przed drzwiczkami wagonu i przyjęła z rąk drugiej podobnej do siebie postaci spore zawiniątko z szalów, z którego jednak zaraz zadzwięczał głosik.

— Ciociu, ci my już psijechali?

— Już, już, aniołku, ale nie mów nic, bo się zaziębisz—odpowiedział głos silny i melodyjny.

Dama, ostatnia wychodząca z wagonu, gdy tylko na ziemi stanęła, zaraz swoje zawiniątko z szalów odebrała—musiała to być więc matka chyba.

A tymczasem tragarz z uczniem już zabrali wszystkie pakunki i ponieśli je do sal stacyi.

Młode kobiety ruszyły w ślad za nimi.

W ogólnej sali spotkały ucznia wracającego z pośpiechem.

— Ja idę do Mateusza—zawołał, skierowując się ku przeciwnym drzwiom sali, wiodącym na podwórze podjazdowie, gdzie się zatrzymywały przybywające ekwipaże.

— I ja z tobą—odrzekła ta, która nie niosła dziecka,—ty, Zosiu, idź do sali drugiej klasy, dokąd i my wkrótce przyjdziemy.

Młoda kobieta pośpieszyła do wskazanego salonu.

Już wnet po otwarciu drzwi uderzył ją miły widok zastawy herbatniej z różnemi przekąskami.

— Ach! jak to dobrze, bufet—wykrzyknęła z radością i, zwracając się do obecnego mężczyzny w skromnem popielatem ubraniu i wysokich kaloszach, rzuciła bez namysłu:

— Proszę o dwie szklanki herbaty, tylko nie mocnej.

Ta troskliwa matka nie spojrzała nawet bliżej na twarz mniemanego bufetowego, gdyż zajmowała ją jedna wyłączna myśl, że będzie mogła swoje maleństwo napoić ciepłą herbatą.

Wzięła się niezwłócznie do odwijania swojej pociechy z grubej warstwy szalów, nic więc dziwnego, że nie mogła widzieć szczerze wesołego uśmiechu, który ukazał się na twarzy przystojnego młodzieńca z jasnym, bujnym zarostem na głowie i twarzy.

Młodzieniec pośpiesznie nalał dwie szklanki i postawił je wraz z cukiernicą na drugim stole przed żądającą herbaty.

Po chwili maleństwo już było rozwinięte i śmiało się, spoglądając dokoła i rączkę wyciągając ku dostrzeżonej szklance herbaty. Matka również zdjęła okrycie z głowy i futro. Była to jasna blondynka, młoda i przystojna, z wyrazem niekłamanej wesołości na twarzy.

Usadowiła swoją córeczkę, jak się zdawało, trzyletnią i bardzo do siebie podobną na kolanach i zajęła się herbatą.

Młody człowiek stanął cokolwiek w cieniu i oparty o ścianę nie przerywał ani jednem ruchem miłego obrazka, jaki miał przed oczami.

Wtem pośpiesznie wbiega uczeń i już we drzwiach woła:

— Zosiu, wiesz, niema Mateusza i niema koni!

— Jakto niema, a gdzież się podziały?—odpowiada blondynka, nie przerywając wielkiej czynności pojenia maleństwa ze spodeczka.

Do salonu wchodzi druga młoda osoba.

— A więc już wiesz, moja droga, o naszym kłopocie. Ciekawam co my teraz zrobimy, bo i nająć koni dziś niepodobna z powodu szabasu.

W tej chwili oglądając się spostrzega młodego człowieka i zastawę herbatnią.

Skoczyła gwałtownie ku siedzącej siostrze i poczęły szeptem z wielkiem zajęciem z sobą rozmawiać.

Blondynka spłonęła gwałtownym rumieńcem, rzucając spojrzenie w stronę młodego człowieka, którego uśmiech w tej chwili był tem szczerszy i wyraźniejszy.

Uczeń przez ten czas odwiązywał sobie z głowy baszłyk i zdejmował paltot. Z paltota umieszczonego na poręczy krzesła wypadł list. Uczeń podjął go szybko i niezmiernie zmieszany ukrył go w rękawie.

— Maniu!—zwrócił się smutny do nierozebranej damy,—już wiem dla czego Mateusza niema; list w którym prosiliśmy o konie o dzień jeden wcześniej niż zwykle.....ja.....tu przywiozłem.

— Zamiast oddać na pocztę w Warszawie? a to paradne!

— Zaśmiała się głośno blondynka, zapominając o dopiero co doświadczonem pomieszaniu.

Nazwana Manią bez słowa jednego wyciągnęła rękę i wzięła list z rąk ucznia, u którego w oczach łzy już się ukazały.

— Och, Stasiu, jesteś niepoprawnym roztrzepańcem i patrz teraz, co zrobiłeś; jak my się ztąd wydobędziemy?

Staś zawstydzony usiadł w milczeniu pod oknem.

Całe gronko rodzeństwa bardzo posmutniało.

Do sali wszedł w długi płaszcz z futrzanym kołnierzem ubrany służący i zwrócił się do niby— bufetowego.

— Czy jaśnie pan hrabia prędko pojedzie?

— Wkrótce; przynieś no jeszcze trzy szklanki.

Służący wyszedł natychmiast.

Blondynka, płonąc na nowo, zwróciła się do hrabiego.

— Proszę mi darować to mimowolne nieporozumienie i popełnioną niegrzeczność.

— Wdzięczen pani jestem i za pierwsze i za drugą: dzięki temu bowiem będę miał towarzyszy przy tak nudnym tu na stacyi, popasie. Nie mówmy więc o tem, a raczej ja panie zapytam, jako mimowolny świadek doznanego przez panie zawodu, czy nie mógłbym paniom być pomocnym?

Mam na jedną osobę do rozporządzenia karetę i duże sanie pod rzeczy.

— Bardzo p. hrabiemu jesteśmy wdzięczne, lecz przy najlepszych pańskich chęciach to chyba niemożebne: jest nas czworo, jak pan widzi i mamy dużo rzeczy.

— Spróbujmy jednak—zachęcał zawsze z uśmiechem młody człowiek, zbliżając się cokolwiek ku stołowi—byłem w ciągu kwadransa bufetowym, popróbuję być jeszcze stangretem dla pań.

— Nie możemy się zgodzić na to, by do przygodnej niegrzeczności mojej siostrzyczki, dołączyć jeszcze świadomie kłopot wielki dla pana.

Z pod kapelusza i włóczkowej chustki mógł młody człowiek widzieć sliczną parę wielkich, ciemnych oczu i część świeżej i białej twarzy.

Uczeń, od czasu kiedy usłyszał propozycyę hrabiego, zbliżył się niespokojnie do siostry i całą swoją postacią zdradzał, że on chętnie się zgadza na ten miły plan podróży, czterma końmi, które że były prześliczne, już mógł widzieć podczas szukania Mateusza.

Hrabia dostrzegł jego niecierpliwość i zwrócił się do niego, łatwo odgadując przymierzeńca.

— I cóż, kawalerze, czy zgadzasz się na wspólną podróż?

— Ja, bardzo chętnie, ale tylko nie wiem, czemu Mania.....

Służący wrócił ze szklankami na tacy.

Blondynka ochoczo zerwała się ze swego miejsca i pośpieszyła podać szklankę herbaty hrabiemu.

— Niech pan przynajmniej jak najprędzej dostanie tę herbatę, której był pozbawiony z mojej winy.

— Dziękuję, pani, lecz proszę, by panie raczyły uważać tę całą zastawę podróżną jako naszą wspólną

własność przy wspólnie zaprojektowanej podróży. Chodzi teraz o to, jaką jest droga pań w stosunku do mojej?

— My mieszkamy w Ostrówku—szepnęła Marya,—a pan hrabia jest jego właścicielem i zdaje mi się jedzie do Ługolasów.

— A więc doskonale! jeszcze jeden powód, by panie nie wahały się ani minuty;—mówił powstając hrabia.— Czy mogę panie prosić o prawo rozporządzenia wyjazdem?

— Jesteśmy zniewolone pańską uprzejmością— odpowiedziała za wszystkich Zofja.

Po chwili zastawa herbatnia była sprzątnięta i wszystkie rzeczy zabrane przez służbę.

Całe towarzystwo ruszyło ku podjazdowi.

Zajechała poczwórna kareta na płozach.

— Nie robią mi panie nawet by najmniejszej różnicy, gdyż jabym i tak nie korzystał z tego zakrytego powozu, bo takiej jazdy nie znoszę,— tłómaczył hrabia, sadowiąc całe towarzystwo wewnątrz karety.

Sam zaś zapalił cygaro i, siadając na koźle, kazał ruszać. Za karetą pomknęły sanie z rzeczami i dwoma służącymi. Droga była równa i gładko ujeżdżona, konie doskonale, nic więc dziwnego, że przydrożne drzewa migały szybko w oczach hr. Jerzego, który jechał do Ługolasów dla objęcia

dziedzictwa po obcym niemal sobie przez całe życie stryju.

Jak stryj sam, tak i majątek odziedziczony był mu również najzupełniej nieznany. Wspomniana nazwa Ostrówka niczego go nie nauczyła, oprócz że wiezie rodzinę jakiegoś dzierżawcy, a może oficyalisty. Zajmowało go bardziej to, że te dwie młode kobiety zdawały się być dobrze wychowane i ładne, rad był więc bardzo, że oddaniem im niemałej usługi zadzierżgnął nić łatwo dających się przy sposobności rozwinąć stosunków.

Ostry wiatr mroźny, łechcący mu twarz, nie był dlań przykrym, bo nawykł doń przez lat trzy na Węgrzech, często w podobny czas uganiając się konno lub w saneczkach za wilkami, lub na olbrzymich łyżwach drewnianych za niedźwiedziem.

Dumał więc sobie swobodnie, paląc cygaro, o tem nowem swojem dziedzictwie, które doń przyszło tak niespodzianie i tak wielkie zmiany sprowadza w jego życiu. Sługa przed miesiącem czy dwoma, dziś jest on panem rozległego majątku, którego inwentarze wręczył mu mecenas Skwirski wnet po przybyciu do Warszawy.

Zmiana olbrzymia. Czuł ją też radośnie i silnie, choć nie tworzył jeszcze żadnych projektów i planów na przyszłość.

Zatrzymał się dotąd na dwóch koniecznych, jak mniemał, czynach: niezwłocznego uwolnienia p. Skwirskiego od trudów plenipotencyi i ustalenia stanowiska kolegi szkolnego Ludwika, którego tymczasem zostawił w Leoninie dla dozoru robót, podjętych przy budowie grobowca dla stryja.

Aha! będzie mógł jeszcze śmiać się dowoli z głupiej miny bratowej Amalii na wspomnienie o podejmowanem przez nią kilkakrotnie swatostwie.

W karecie panowała cisza. W pół drogi zatrzymano się na krótko dla zmiany koni, które troskliwy Purchała podesłał na przeprząg. Jerzy podszedł do okien karety i nie dotykając drzwiczek usiłował dojrzeć cokolwiek przez szyby powozu, korzystając ze światła księżyca i gwiazdzistego firmamentu. Nic nie zobaczył, prawdopodobnie więc całe towarzystwo zostało uśpione pod wpływem zmęczenia i ciepła w szczelnie zamkniętej i opatrzonej w futrzane kołdry na nogi karecie.

Kiedy konie zmieniono, Jerzy, widząc, że sanie z rzeczami i dotąd razem szły z karetą i teraz są uprzężone w równie dobre, jak przy karecie, konie, siadł sam na sanie, posyłając na swoje miejsce służącego, któremu polecił, by kareta jechała nie zatrzymując się wprost do Ostrówka.

Jeszcze ze dwie godziny pozostawało do wschodu słońca, jeszcze prześliczna noc zimowa w ża-

dnem ze zjawisk nie zdradzała ochoty wypuszczenia z swych objęć białej od mrozu i śniegu ziemi, kiedy Jerzy dojrzał zdala błyszczące światła i odgadł, że zbliża się do swej nowej rezydencyi.

Po kwadransie jazdy wjechano w bramę, nad którą wisiała ogromna smolna pochodnia i zatrzymano się przed gankiem domu, rzęsiście oświetlonego.

Na ganek wyszło wnet kilku mężczyzn, lecz nikt nie śpieszył do sań.

— A gdzież pan?—pytano woźnicy.

Jerzy wszedł po kilku wschodach na ganek i zbliżając się do stojących w świetle dwóch latarni mężczyzn.

— Jestem—odpowiedział za milczącego woźnicę.

Jerzy się znalazł w otoczeniu dla siebie najzupełniej obcem.

Ostatnie trzydzieście lat rządów hr. Szymona i tej ciszy klasztornej, jaka panowała w Ługolasach, tak już urobiły osiwiałą służbę pałacową w ciche manekiny niejako, że nawet przybycie Jerzego nie zdołało odrazu rozbudzić do szczerszego, samodzielniejszego życia tych starców oniemiałych.

Dla Jerzego takie otoczenie stało się niemożliwem do zniesienia, a że nie mógł marzyć o zre-

formowaniu tych po większej części nie młodszych od zmarłego stryja kozaków, choć z żalem postanowił rozstać się z nimi.

Purchała od pierwszej chwili powitania asystując młodemu dziedzicowi, jakkolwiek sam już niespełna lat sześćdziesiąt liczący, zwijał się bardzo żwawo i wszystko robił, by uczynić swą obecność dla Jerzego ciągle niezbędną i przyjemną. On również podzielał w zupełności myśl Jerzego o usunięciu starej służby i obiecywał w ciągu dni kilku złożyć zupełnie dobry nowy komplet.

Na Jerzego Purchała wywarł wrażenie niekorzystne odrazu, lecz ukrył je w sobie, czując aż nadto dobrze, że Purchała może być bardzo potrzebnym i pomocnym, przynajmniej aż do czasu poznania majątków, ludzi i warunków swej przyszłej egzystencyi.

Dom bardzo obszerny i wygodny wiał na Jerzego jakąś pustką głuchą i surową do ascetyzmu posuniętą prostotą, przy całem bogactwie i komforcie swojego urządzenia. Z kilku pokoi, które obrał za mieszkanie dla siebie, Jerzy odrazu polubił obszerny gabinet hr. Szymona, jakkolwiek wiedział, że w nim właśnie ten jego stryj nieznany i dziwaczny życie zakończył, a mógł łatwo odgadnąć że tu właśnie, w tym samym pokoju ten niezro-

zumiały dla niego człowiek większą część swego życia tak długiego i smutnego przepędził.

Wszak i on teraz przecie siedzi na tym samym fotelu, przed tem samem olbrzymiem biurkiem, i on dziś, jak stryj, jest najzupełniej samotny. Z bratem nigdy nie mogli się zrozumieć, a tem mniej pokochać, siostrę, która wstąpiła do klasztoru, musiał uważać za straconą, a żadnych bliższych krewieńskich stosunków nie było, chyba ciocia Joasia, na myśl o której, Jerzym zawsze dreszcze wstrząsały.

Czyż on, dziś biorąc dziedzictwo majątkowe po stryju, ma wziąć i dolę jego smutną w następstwie!

Och! nie. Raczej rzuciłby wszystko natychmiast i wrócił na pusztę węgierską.

W Jerzym nie rozgościły się jeszcze przesądy kastowe.

Herb Hołodajów, który tu w Ługolasach widział na każdym kroku, od bramy wjazdowej poczynając, a kończąc na oparciu każdego z krzeseł dębowych w jadalni, nie mówił nic dla niego. Dla hr. Szymona było to hasło, był to jedyny sztandar przez długie ostatnie lata życia, dla Jerzego— tylko ozdoba tak dobra, jak i każda inna.

W gimnazyum, instytucie, a tem bardziej podczas pobytu na służbie w Węgrzech, Jerzy nie mógł

mieć tego otoczenia, któreby zdołało wyrobić w nim cały szereg kastowych widzeń, celów i przyznawanych środków dla wykształcenia i podtrzymania jednostki z rodu arystokratów potrzebnych.

Nazwisko i tytuł były dla Jerzego tak dobre jak piękna i dziarska powierzchowność miłym, lecz naturalnym składnikiem jego osobistości, które mu nader ułatwiły stosunki z ludźmi. O tyle więc je cenił Jerzy, lecz jak do wąsów i brody nie znosił żadnych sztuczek fryzyera dla ich upiększenia, był równie obojętnym dla tytułu i swojego nazwiska, ani na chwilę o tem nie myśląc, by dla nich był zmuszony do czegokolwiek.

Nie dla nazwiska, nie dla tytułu, nie dla uczczenia nawet pamięci stryja-zapisodawcy, lecz dla uszanowania ostatnich smutnych lat osieroconego i prawdopodobnie nieszczęśliwego odludka, chciał Jerzy o ile możności wszystko zostawić, jak zastał, jak było przez lat tyle ubiegłych.

Pierwsze dni po przyjeździe spędził Jerzy na pracowitem rozejrzeniu się w otrzymanem dziedzictwie. Z inwentarzy, otrzymanych od Skwirskiego, ksiąg znalezionych w gabinecie stryja, raportów ustnych i regestrów Purchały starannie poznawał Ługolasy w całej ich rozległości, choć jak dotąd nie opuszczając jeszcze progów domu. Dowie-

dział się więc łatwo już wnet po przyjeździe, że Ostrówek jest najlepszym z folwarków, że już od lat trzydziestu pozostaje w jednych ręku dzierżawcy Płużyckiego i jego następców, że Płużycki sam już od lat kilku nie żyje, że dom stanowi jedyna jego córka, Anna Brońska, która jeszcze za życia ojca wyszła za mąż i przy nim stale mieszkała, że wreszcie pani Brońska, od lat już dziesięciu straciła męża, i dziś jako wdowa, matka dwóch córek, z których starsza już jest zamężna, i jedynego syna, mieszka w Ostrówku i robi dobre interesy na dzierżawie, a to dzięki bardzo nizkiej opłacie dzierżawnej.

Wszystkie te wiadomości zaintrygowały Jerzego, który z lubością wspominał oryginalne spotkanie na stacyi kolei. Postanowił dokładniejsze otrzymać wiadomości od Purchały, choć widział, że ten zawsze niechętnie mówi o dzierżawczyni z Ostrówka, a zmuszony do rozmowy i opowiadania, mówi ze złośliwością i niejako zawiścią źle ukrytą.

To podniecało Jerzego jeszcze więcej, a że już trzeciego wieczora po przybyciu był dostatecznie nasycony przeglądaniem regestrów i inwentarzy, polecił przywołać Purchałę i zasiadł z nim do wspólnej herbaty w obszernej i dość ponurej jadalni, oświetlonej kilku świecami i ogniem płonącym w kominku.

Purchała stawił się po chwili i powitany przez Jerzego podaniem ręki, zajął miejsce przy stole.

Przez te trzy dni zmienił on się bardzo. Niepewny swych losów i nie znając Jerzego, w pierwszych chwilach był on do zbytku pokornym i nadskakującym służalcem, ale kiedy Jerzy ośmielił go w ciągłem towarzystwie z nim obcując i podniósł go we własnych oczach, Purchała, który przez lat tyle za hr. Szymona zawsze kornie schylony u progu nie zaznał uścisku dłoni hrabiowskiej, łatwo przebrał miarę w poczuciu swej godności i siły, i stał się nadmiernie poważnym, chodząc z głową silnie zadartą.

Nizka jego postać, z bardzo wydatnym brzuchem, i z tą głową zadartą, okrytą zwichrzoną czupryną, teraz już bawiła Jerzego, łatwo bowiem zgadywał cały proces myślowych przeobrażeń, jakie przechodził Purchała.

— No, p. Purchała, dość już mam regestrów, opisów i wszelkich innych druków i rękopisów, jutro już, choć to dzień wigilii Bożego Narodzenia, postanowiłem ruszyć z domu na grunt dla poznania się z mojem dziedzictwem. Ruszymy więc razem, bo i pana zapraszam na tę wycieczkę.

— Chętnie służyć będę, jaśnie panie.

— Czyż znowu przypominasz pan sobie ten rodzaj tytułowania, którego tak nie lubię?

— Przepraszam, tak się przyzwyczaiłem,... nie, tak mi się tylko jakoś wymknęło, — odrzekł czerwony Purchała.

Jerzy uśmiechnął się zlekka pod wąsem.

— Czy są tu we dworze jakie psy do polowania, bo wszak to jutro tradycyjnym zwyczajem należałoby nam zapolować w lesie?

— Niema, panie, żadnych, ale o to nie bieda, gdyż nasz nadleśny ma gończe i pieści je starannie, choć jak dotąd nie wiedziałem na co i dla kogo, gdyż mu polowanie było zawsze surowo wzbronione.

— *A propos* p. Purchała, któż to jest ten p. Rogalski, nadleśny, którego dotąd znam tylko z raportów i regestrów przeglądanych. Dziwi mię to, że ten pan dotąd nie zapragnął poznać się ze mną.

— Jest to młody jeszcze człowiek, kawaler, nie tutejszy; ś. p. pan hrabia wypisał go sobie zkądś, lecz nikt nie znał go tutaj i niewiadomo z czyjej rekomendacyi. Dostał pensyę, jakiej nigdy u nas nie brał nadleśny, choć mniej robi, niźli każdy inny... — zakończył złośliwie Purchała.

— Czy dawno już służy?

— Od lat sześciu. Mieszka sam jeden na leśniczówce wśród lasów, prawie wprost Ostrówka z tej strony Bugu. Jest jakiś dziki i skryty, ha! bo może i ma wiele do skrywania, rządząc się samodzielnie przez lat tyle w lesie.

— Czy kontrola lasów nie obowiązywała dotąd pana?

— Nie, choć ja zawsze mówiłem ś. p. hrabiemu, że takby być powinno, że nie należy dowierzać młokosowi, boć przed sześciu laty był to jeszcze młokos, skoro dziś jest mniej więcej w wieku pańskim. Ale ś. p. hrabia, snadź otumaniony przez tego furfanta, nie chciał mnie słuchać i pozwolił mu nawet nie używać tego ubioru, który nawet mnie samego obowiązywał, a który dopiero za wolą pana porzuciłem.

— P. Rogalski, jak widać, posiadał zaufanie stryja, ale mniejsza z tem, czy pan nie wie, czy jest i jaka mianowicie zwierzyna w lasach tutejszych?

— O, dawniej panie, było wszystkiego dość, mieliśmy łosie, sarny i dziki, nie mówię o lisach i zającach, bo tych było mnóstwo, ale dziś nie wiem, jak się pochwali mądry p Rogalski, to pewno że na stoł do pałacu rzadko tylko coś przychodziło.

— Więc p. Purchała, jutro do dnia jeszcze ruszymy, niech pan zarządzi, by najprostsze lekkie sanki nam jutro zaprzężono i włożono w nie jakiekolwiek zapasy jadalne. P. Rogalskiemu nie trzeba dawać znać, gdyż myślę, że nie zdąży przed naszym przyjazdem z domu wyjechać.

— On tam i nie bardzo ucieka z domu do lasu, chyba za Bug... — półgłosem rzucił Purchała.

— O ile wiem z map majątku, nasze posiadłości za Bugiem składają się prawie wyłącznie z folwarków rolnych i całych obszarów łąk, lasów tam niema.

— Tak, ale.. ale... nie zawsze przecie p. Rogalski jeździ do lasu, o i nawet bardzo często... w inną stronę—kończył znowu czerwony i chytrze uśmiechnięty Purchała.

Jerzy zamilkł, nie chąc prowadzić dłużej rozmowy, która zapowiedziała się być szkalowaniem człowieka, którego nie znał, a obok tego Purchała ze swoją źle ukrywaną, podstępną złośliwością stawał mu się coraz bardziej wstrętnym.

Purchała też pod pozorem jutrzejszej rannej wyprawy pożegnał prędko Jerzego, śpiesząc do siebie, by złożyć jakiś kostjum myśliwski i uzbrojenie, których nigdy dotąd nie używał, a więc i nie posiadał.

Gwiazdy tylko jakby pobladły i mniej liczne, bo skryte za śnieżnemi obłokami, iskrzyły się na niebie, mróz ku rankowi potężniejszy dawał się słyszeć w huku drzew tu i owdzie w parku pękających gdzieś w ciasnem kory spowiciu, kiedy przed ganek domu zajechały małe sanki parokonne.

W oknach domu już od niejakiego czasu błyszczało światło. Jerzy razem z Purchałą pośpiesznie kończył ranną herbatę i ubrany w piękny, obcisły strój myśliwski z radośnym uśmiechem słuchał wiadomości, że wiatru niema prawie wcale i że na śnieg się zanosi. Dla niego, jako dobrego i namiętnego myśliwego, były to pożądane i zrozumiałe zapowiedzi dobrego polowania.

Do siedziby nadleśnego mieli drogi wiorst sześć, lecz szybko ją przebyli niemal w zupełnem milczeniu.

Na leśniczówce zobaczyli światło i ruch rozbudzonego życia. Gdy powitani szczekaniem psów wysiedli z sań, ze drzwi domu wyszedł Rogalski i zawołał na psy, które natychmiast się uspokoiły.

Jerzy zbliżył się do niego i powitał uprzejmem ręki podaniem.

— Nie chciał pan przez trzy dni mojego już tu pobytu przyjechać do mnie, musiałem ja do pana i za karę od razu już na polowanie.

Rogalski zdziwiony był niezmiernie, lecz prędko opanował się i oddając z uprzejmością powitanie, prosił Jerzego do domu.

— Proszę darować, p. hrabio, nie chciałem uchybić i byłem wieczorem tego dnia we dworze, kiedy oczekiwano p. hrabiego, ze szczerą intencyą natychmiastowego przedstawienia się. P. Purchała,

jako zwierzchnik we dworze, radził mi nie czekać p. hrabiego i tu na leśniczówce oczekiwać wezwania urzędowego.

— Rada p. Purchały była bardzo nieszczęśliwą w tym wypadku — odpowiedział Jerzy już w sieni domu, zdejmując płaszcz futrzany z siebie.

Purchała tymczasem wszedł za Jerzym i gospodarzem i w milczeniu wysłuchał powyższej rozmowy.

— Witam pana, p. Purchała, o ile przypominam, po raz pierwszy tu na leśniczówce — zwrócił się doń Rogalski i wprowadził przybyłych do oświetlonej lampą swej kancelaryi, jak to odrazu wskazywały regestry i kwitaryusze złożone na biurku i szeregi licznych pojedynek i siekier, zabranych zapewne jako fanty podczas niedozwolonych polowań lub porąbek.

Rogalski był olbrzymiego wzrostu, choć bardzo szczupły i suchy i w tem stanowił wyraźną sprzeczność z nizkimi pękatym Purchałą; twarz jego o rysach przyjemnych i wyrazistych, z wielkiemi o rozumnym wyrazie i tchnącemi szczerością oczami, podobała się bardzo Jerzemu, który przez chwilę obserwował gospodarza.

— Cóż tedy pan mówi o zamierzonem polowaniu? — zapytał Jerzy.

— Słyszę o tem z radością, gdyż słyszę to po

raz pierwszy od lat sześciu,— z błyskiem w oczach i uśmiechem na ustach odpowiedział Rogalski.

— A więc wybornie się składa, bo znajduję w panu, jak mniemam, amatora równego ze mną, to nas prędko zbliży i lepiej zapozna, niźli wszelkie konferencye w gabinecie lub kancelaryi.

Rogalski odpowiedział lekkim ukłonem.

— Ale czy to pierwsze polowanie nasze się uda?

— O tem mogę zapewnić p. hrabiego z wszelkiem prawdopodobieństwem. Lasy tutejsze od lat sześciu, t. j. od mojego przyjazdu, są zupełnie zamknięte i nie rąbane...

— I przez drugie tyle czasu przed pańskiem przybyciem — wtrącił Purchała.

Rogalski w milczeniu spojrzał na Purchałę, lecz ani jednem słowem nie zaprzeczył, i ponownie zwracając się do Jerzego, ciągnął.

— Polowanie tu również, można rzec, wcale nie istniało wskutek wyraźnego rozkazu właściciela, zwierzyna więc jest i widuję ją często i sam, i wiem o tem również od kilkunastu tutejszych gajowych.

— Cieszy mnie to bardzo, a że już świtać zaczyna, może pan zechce wydać stosowne rozporządzenia i bez zwłoki ruszymy do lasu.

— Dobrze, p. hrabio — odrzekł Rogalski i na chwilę przeprosił Jerzego, wychodząc z pokoju.

Wrócił niedługo, a z nim razem wbiegła do pokoju para prześlicznych gończych, które skakały z radości na widok broni w rękach myśliwych.

— To moje gończe, które radbym, aby zasłużyły na pochwałę p. hrabiego. Jakież są życzenia p. hrabiego co do polowania?

— Jak największe, panie, radbym polować z najlepszem powodzeniem i na najlepszego zwierza.

— U nas najwięcej jest dzików i polowanie na nie najlepsze, lecz dziś to prawie niemożebne: jest nas za mało, polowanie więc mogłoby być niebezpieczne cokolwiek...

— Ależ naturalnie, naturalnie — wtórował z cicha Purchała.

— Proponuję tedy p. hrabiemu wyprawę na łosia rogacza, którego żerowiska są nam dobrze znane; nie jest on u nas jedynakiem, więc można go poświęcić szczególniej na powitanie właściciela, a w drodze, gdyż spory kawał jej mamy przed sobą, zapewne spotkamy niejednę sarnę. Czy zgoda?

— Najchętniej, pańskie obietnice przechodzą granice mych nadziei.

W tej chwili staruszka służąca wniosła tacę z wódkami i skromną postną zakąską.

— A teraz, p. hrabio, przed polowaniem, na szczęście! — mówił Rogalski, nalewając kieliszki.

Jerzy przyjął propozycyę, chmurny Purchała ochoczo poszedł za jego przykładem i tak, stojąc, śniadali opowiadaniem przygód myśliwskich zajęci i rozgrzani Jerzy z Rogalskim. Purchała milcząc spełniał kieliszki, z ukosa spoglądając na zbliżenie swych współbiesiadników.

Do pokoju wszedł z sieni ośnieżony stary gajowy w zielonym uniformie.

— Niech będzie pochwalony! — powitał i pośpieszył uścisnąć nogi Jerzego.

— Na wieki — odpowiedział Jerzy, dotykając ramion pochylonego starca i prostując go przed sobą, — czy i wy ruszacie z nami na polowanie?

— Przypadkiem nocuję na leśniczówce, jaśnie panie, i dostałem przykazanie od pana nadleśnego prowadzić na łosia. Już wszystko gotowe, to i przyszedłem powiedzieć—kończył stary myśliwy, ogarniając dłonią szerokie rozstrzępione wąsiska zwisające, jak dwie płachty białe.

Myśliwi ruszyli się zbroić i ubierać i pośpieszyli usadowić się w trojgu sań, stojących przed domem.

Jerzy usiadł z Rogalskim i pojechali przodem, za nimi jechał Purchała w jednokonnych sankach ze starym gajowym, a zamykał pochód drugi gajowy, który jechał również na jednokonnych saniach, lecz zanim usiadł, troskliwie w sianie umieścił sforę, składającą się z czterech prześlicznych

taksów, będących chlubą Rogalskiego. Gończe biegły wolno puszczone tuż za pierwszemi sankami.

Świtało. Tuż za leśniczówką wjechali myśliwi w odwieczny bór sosnowy i znowu zapadli w ciemność nocy. Po miękkim śniegu, bez toru i drogi, cicho mknęły sanie, ludzie i konie wydychając kłęby pary zachowywali milczenie zupełne, jakby już teraz bojąc się spłoszyć tak upragnionego zwierza.

Stary bór lekkim tylko wierzchołków szelestem dawał znać o sobie, napełniając powietrze stłumioną jakąś, tajemniczą gwarą. Lecz oto tam kędyś od wschodu na tle szeregów pni stuletnich sosen tysiąca błysnęła czerwień jasna, świeża i silna, ścieląc się po białej śniegu powierzchni hen, tam na skraju lasu, i wnet nad głowami myśliwych w ogólnej ciemności błysnęły ośnieżone wierzchy olbrzymów, na które słońce rzuciło więzie jasnych, złotych promieni. Bór się rozwidniał, konie co raz to wesoło i raźnie parskały, Jerzy bacznie rozglądał się dokoła, podziwiając i piękność i bogactwo lasu.

Gdy bór się skończył, droga wiodła przez młode lecz zwarte zagajniki, i wtedy Jerzy patrząc po śniegu mógł widzieć mnóstwo tropów skrzyżowanych, przebiegającej drobnej zwierzyny. Był to język dla niego zupełnie zrozumiały i cieszył się, z życzliwością zwracając się do Rogalskiego i wskazując na ślady widziane.

Wjechali do lasu cokolwiek przerzedzonego, gdzie tu i owdzie szeregami stały sążnie starannie ułożone: był to dział rocznego wyrębu na potrzeby majątku. Rogalski kazał jechać krokiem, cichym głosem zwołał psy do sani i poradził Jerzemu opatrzenie broni.

— Tu mogą być sarny, możemy coś spotkać «na pomykanego», lecz p hrabio, czy wzrok pana nie zawiedzie...?

— Sądzę, że nie — odpowiedział Jerzy, zdejmując z ramienia piękną Lankastrówkę, i dobrze zrozumiał ostrzeżenie nadleśnego.

Rogalski przezpół powstał w sankach i bacznie rozglądał się dokoła.

— Czy p. hrabia strzela do stojących?

— O, nie.

Rogalski ruchem ręki zatrzymał woźnicę, i szepcząc do Jerzego: «baczność», wyjął z kieszeni małą gwizdawkę i silnie gwizdnął.

Jerzy nic jeszcze nie widział, lecz w jednej chwili wyskoczył z sanek, rzucając płaszcz na siedzenie, i z fuzyą w ręku, stanął w gotowości.

Dał się słyszeć szelest gałęzi tratowanych, psy gwałtownie skacząc, krótkiem szczeknięciem złożyły świadectwo swej domyślności, i przed oczami Jerzego na jedno mgnienie oka zamajaczyły kontury pięciu sarn.

Strzał padł. Rogalski nie strzelał, lecz wyprostowany w całej swej wysokości, wytężył wzrok.

— Raniona śmiertelnie, p. hrabio!

Skinieniem ręki puścił psy, które z radośnem graniem niezwłocznie pomknęły.

Jerzy pod wrażeniem radości, nie zwrócił uwagi na rodzaj użytego przymiotnika, i poskoczył za psami. Nie dalej, jak o kroków dwieście dopędził psy stojące nad upadłą sarną — samką.

— Czyżby to miało być złą wróżbą? — zwrócił się do nadchodzącego Rogalskiego.

— O! nie, jest to pomyłka, którą usprawiedliwia najzupełniej gwałtowny bieg zwierząt i może... trochę... gorączkowy pośpiech myśliwego, — zakończył z uśmiechem.

Polowanie zapowiedziane przez Rogalskiego udało się świetnie.

Podczas długich przejazdów Jerzy zdołał ubić jeszcze jednę sarnę, i na ten raz już kozła, potem pośpieszono ku błotnistemu obszarowi łąk, tu i ówdzie okrytych ogromnemi krzaczastemi wierzbami i tam stary Onufry wskazywał stałą siedzibę łosi, a głównie tego pożądanego starego samca. I nie omylił się.

Gończe z łatwością wytropiły stado, lecz to prędko rozbiło się w różne strony z powodu małej liczby i ludzi i psów; psy poszły za wodyrem stada, starym łosiem z ogromnemi rosochatemi rogami i, jako lżejsze, z łatwością go dopadły, zmuszając do ucieczki w kierunku myśliwych.

Zwierz z pianą w pysku i krwawemi oczyma, wypadł gniewnie wstrząsając potężnemi rogami na gładką i czystą łąki przestrzeń, na której go łatwo mogły dosięgnąć strzały Jerzego i Rogalskiego. Legł też rażony przez obu, choć zdawało się że jeden tylko wystrzał było słychać, tak jednocześnie obadwa się rozległy, a wślad za nimi echo kilkakrotnem odbiciem rozniosło huk po lesie.

Zdobycz była wspaniała; zabity zwierz wielkością przenosił dobrego wołu i miał przepyszne, rzadko widzieć się dające rogi, które Jerzy podziwiał ze zdumieniem, gdyż po raz pierwszy w życiu polował na łosie.

Purchała, raczej widz obojętny, niźli uczestnik w dotychczasowem polowaniu, wspomniał o konieczności toastu pogrzebowego, posłano więc gajowego po sanie i pozostałych przy nich ludzi, których pomoc była konieczną dla zabrania ubitej sztuki.

Jeden z gajowych naniecił ognisko z chrustu uzbieranego, drugi odgarnął śnieg na małej prze-

strzeni, i małe grono myśliwych rozłożyło się obozowiskiem przy najpiękniejszej ze swych łowieckich zdobyczy.

Jerzy był w wybornym humorze i co chwila wyrażał swe zadowolenie Rogalskiemu, gajowych zaś biorących udział w polowaniu obfitym datkiem pieniężnym obdarzył.

Dobyto zapasów, flaszka ochoczo podawana z rąk do rąk z wyraźnej woli Jerzego nie ominęła i gajowych, gwar i wesołość zapanowały w dzikim, odludnym ostępie.

Było jeszcze bardzo wcześnie, lecz Jerzy nie chciał już więcej polować, nie widząc przyjemności w bezmyślnem masowem tępieniu zwierzyny, której nie mógłby z korzyścią zużytkować; ilość którą już zdobyli, przechodziła o wiele potrzeby dworu jego.

— Panie hrabio, — zwrócił się Rogalski, podniecony powodzeniem polowania i dobrym humorem Jerzego, — a gdybyśmy tak teraz zabiegli do niedalekiego ztąd ostępu dla złożenia wizyty dzikom, jedna z nich sztuka byłaby pożądanym nabytkiem dla urozmaicenia naszej zdobyczy?

— Ja gotów jestem — pośpieszył z odpowiedzią Jerzy, — dopiero jedenasta godzina i czasu pozostaje aż nadto.

Stary Onufry od chwili stał już za plecami rozmawiających.

— Oj warto, jaśnie hrabio, i bardzo warto ich przepłoszyć, toć że to Szymonowi pod Czarnym Majdanem do szczętu zjadły cały kopiec kartofli.

Jerzy odwrócił się z dobrotliwym uśmiechem na twarzy i zobaczył zapał niekłamany w całej postawie starego myśliwca.

To go ostatecznie skłoniło do podjęcia próby, choć dość dobrze rozumiał całą lekkomyślność wyprawy w tak szczupłej garstce myśliwych podjętej.

Purchała odradzał, lecz nikt już go nie słuchał, i Jerzy widząc jego zaambarasowanie, odgadł przyczynę i z uśmiechem do niego się zwracając, poprosił, by zechciał pośpieszyć do domu dla dopilnowania przygotowań do wieczornej, wilijnej wieczerzy, którą mieli razem spożywać.

Dano mu do sań dwie sarny i gończe, jako już niepotrzebne przy podjętem polowaniu, i Purchała, skwapliwie korzystając z pozoru, pośpiesznie odjechał do domu.

Myśliwi niebawem ruszyli do ostępu, gdzie spodziewali się napotkać szukanego zwierza. Na miejscu, w samym ostępie, trzeba było sanie opuścić i iść piechotą, ta bowiem część lasu, olbrzymiemi dębami porosła, była zagłębioną kotliną, pełną wykrotów i oparzelisk, których nawet silny mróz nigdy nie zdołał zamrozić. Pochód był nader uciążliwy, gdyż każdy krok trzeba było stawiać bardzo

oględnie, by najniespodziewaniej nie wpaść w skrytą jamę błotnistą.

Stary Onufry rozpoczynał pochód: szedł pochylony z głową naprzód wysuniętą, bacznie rozglądając się dokoła i ze zwinnością podrostka skacząc z kępy na kępę. Fuzyję swoją puścił wolno przez ramię, a w ręku niósł oszczep, który był dużym podłużnym kawałkiem żelaza, dobrze zaostrzonego i osadzonego w kawałku kija. Oszczep ten, jak dotąd, był dlań rodzajem laski, przy pomocy której badał pewność gruntu, po którym stąpał.

Pochód zamykał drugi gajowy, wiodąc na smyczach cztery taksy, w niespokojnych podskokach zdradzające niecierpliwość.

Po kwadransie drogi po lesie, tu i owdzie dały się widzieć czarne błotniste wgłębienia, nie okryte warstwą śnieżnej bieli, jak wszystko dokoła; wszyscy odgadli, że są już w promieniu dziczych legowisk, bardzo niedawno porzuconych przez zwierzęta. Puszczono taksy, a myśliwi rozdzielili się po dwóch, w dwie strony pod skośnym kątem odtąd idąc. Jerzy poszedł z Onufrym.

Psy wkrótce dały znać o sobie krótkiem, lecz grubem szczekaniem urywanem, lecz krótko to trwało, bo wnet po lesie rozbrzmiało całą gamą psich głosów, bez ładu i składu, w dzikim chaosie gwałtu i szalonej psiej radości i zapału. Coś jakby

wściekłe chrapnięcie kilkakrotnie rozległo się po lesie, dreszczem przejmując myśliwych, a zatem dały się słyszeć trzask suchych gałęzi i gwałtownie łamanych cienkich zmarzłych błotnych powierzchni: snadź psy ruszyły zwierza z legowiska.

Onufry zrazu szybciej pobiegł, lecz wnet zatrzymał się i wskazał Jerzemu pień napotkany.

— Niech p. hrabia tu stanie, będzie bezpiecznie.

Jerzy usłuchał komendy niezwłocznie i zajął się przygotowaniem fuzyi, Onufry zaś uskoczył z dziesięć kroków w bok i stanął pod grubym dębem.

Hałas w lesie wzrastał i coraz wyraźniej dobiegał uszu myśliwców, z prawej strony, dokąd poszli Rogalski i drugi gajowy, padły dwa strzały, a wkrótce potem cały ten piekielnie hałaśliwy orszak wyraźnie już zbliżał się ku Jerzemu. Słyszał już dobrze wściekłe sapanie gonionego przez psy zwierza i łoskot łamanych gałęzi. Wytężył wzrok i zobaczył ogromnego odyńca, który, w powolnych i ciężkich susach olbrzymiego cielska, biegł przed psami, co chwila błyskając strasznym kłem, to na prawo, to na lewo, dla odstraszenia wślad za nim idących psów, szarpiących go z tyłu.

Jerzy zaufał dobroci swej broni i celnie mierząc między oczy, strzelił w odległości przeszło stu kroków. Zwierz stanął na jedno mgnienie oka, rzucił łbem gwałtownie i skoczył w bok pomiędzy ko-

rzenie wystające starego dęba, lecz to jedno mgnienie oka było wystarczające, by wszystkie psy wpiły się w jego zad zębami, tak że przy wykonanym niespodzianie skoku, dwa psy dzik uniósł z sobą, a dwa inne wysoko w górę wyrzucone zostały.

Najniespodziewaniej odyniec zatrzymał się u stóp drzewa i wsparł na czterech nogach, przodem zwrócony do prześladowców, a tyłem wsparty o drzewo. Wszystkie psy znowu go zaatakowały i, kiedy zwierz gwałtownie rzucał łbem na wszystkie strony, starając się kłem strasznym dostać którego z psów, śnieg dokoła prędko ubroczony został posoką obficie spływającą z rany otrzymanej w grubym obrosłym karku.

Jerzy uniesiony zapałem, by naprawić swój błąd, zeskoczył z pnia, który zajmował, i pobiegł naprzeciw zwierza, mając drugą lufę strzelby również kulą nabitą.

Już zmniejszył odległość jeszcze o kroków czterdzieści i ze strzelbą u oka zmierzał do zwierza, gałąź leszczyny utrudniała celowanie, skoczył więc na bok i upadł w jedną z licznych jam, tracąc równowagę w pośpiechu. A w tej chwili rozjuszony odyniec ruszył ze strasznym impetem na niego, dostrzegając go przy zbliżeniu..... Jerzy nie stracił przytomności i z okiem wlepionem w dzika, na-

próżno usiłował się zerwać i podnieść..... widział już zajuszony łeb, nie dalej jak o dziesięć kroków od siebie, kiedy naraz rozległo się głuche, gwałtowne uderzenie i dzika bestya potoczyła się w bok w konwulsyjnych drganiach przedśmiertnych.

— Dobrze, w samą komorę!—wykrzyknął tryumfujący Onufry; on to bowiem ruszył w ślad za Jerzym i, mając zwierza bokiem do siebie zwróconego, z chyżością kota dopadł doń na kilka tylko kroków i przebił go nawskroś swym oszczepem.

— W sam czas, mój Onufry, bo już było źle ze mną,—przemówił Jerzy, stając na nogi.

— A co, p. hrabio, taki mój oszczep więcej wart od strzelby!

Jerzy nic nie odpowiedział i postąpił ku leżącemu już martwemu odyńcowi; był to rzadki okaz starego samca ogromnej siły i rozmiarów.

Gdyby kula Jerzego poszła o jeden tylko cal niżej, zwierz padłby odrazu, i cała chluba jemuby przypadła w udziale. Tak zaś, jak się stało, Onufry został tryumfatorem.

Nadbiegł Rogalski i zapytywał o szczegóły, jak się domyślał ciekawej akcyi, widząc oszczep Onufrego w cielsku odyńca i Jerzego okrytego błotem, choć wesołego i zdrowego.

— Onufremu zawdzięczam życie—przyznał otwarcie Jerzy.

— Czemże ci wynagrodzę, mój obrońco!

— Wolne żarty, jaśnie p. hrabio, toć chyba po dniu dzisiejszym jeszcze wiele podobnych mieć będziemy, to jaśnie p. hrabia spłaci mi dług z lichwą—mówił rozpromieniony Onufry, obciągając mleczne wąsiska.

Rogalski z drugim gajowym zabili dwa młode warchlaki, lecz puścili bez strzału starą maciorę.

Jerzy zrazu trochę markotny, łatwo humor odzyskał. Wszak to była tylko pierwsza próba, która go przekonała o tem, czego pragnął najbardziej, że zwierzyny posiada i dużo i dobrej, a o to mu przecie najwięcej chodziło.

Kiedy więc wrócili na miejsce, gdzie ich oczekiwały sanki, serdecznie podziękował Rogalskiemu za doskonały stan lasów, o ile mógł zauważyć, i wyborne polowanie.

— Dziś jest dzień uroczystej Wilii, jesteśmy obaj jako kawalerowie, pozbawieni rodziny, w jednakich warunkach osamotnienia, proszę więc pana z sobą, a wzajemnie wieczór dzisiejszy postaramy się sobie umilić.

— Ale, p. hrabio,..... ja chętnie będę służyć—z drżeniem w głosie odpowiedział Rogalski.

— A więc siadajmy.

— Czy p. hrabia pozwoli, bym przyjechał dopiero za godzinę?

— Jeśli panu o zmianę ubioru chodzi, to to jest zbyteczne.

— Nie koniecznie, lecz muszę.... chciałbym....

— Owszem, więc czekam pana na pewno—zakończył Jerzy, widząc drażliwość rozmowy dalszej, i podał rękę Rogalskiemu, który siadł do drugich sanek.

Rogalski na Jerzym zrobił bardzo korzystne wrażenie, cieszył się, że będzie w nim miał miłego i odpowiedniego dla siebie towarzysza częstych wypraw myśliwskich, które już z góry zakreślił w programie swojego życia na wsi.

Oprócz tego, o ile mógł dotąd wnosić, z tego co zobaczył, rządy Rogalskiego w lesie zdawały się być o wiele lepszemi od rządów Purchały na folwarkach i łąkach, o których Jerzy nabrał niekoniecznie dobrego wyobrażenia już z przeglądu samych regestrów i dzienników.

— «Ale na co mu potrzebna ta godzina czasu?» zapytywał siebie Jerzy, przypominając zakłopotanie i prośbę Rogalskiego, lecz przestał o tem myśleć, nie pragnąc wdzierać się w życie prywatne ludzi od niego zależnych. Uważał to za grubą niedelikatność i nikczemne nadużycie przywilejów niesłusznych pracobiorcy.

Jerzy wrócił do domu dość wcześnie, gdyż krótki dzień grudniowy jeszcze się nie skończył. Cały był pod wrażeniem pomyślnego polowania, więc nie dziw, że nie myślał o swem osamotnieniu w wieczór dzisiejszy, zresztą prosił Purchałę, by dla służby przez cały czas świąt były zastawiane uczty obfite, było to niejako ugoszczeniem ze strony nowego dziedzica i podzięką za powitania, z któremi służba różnorodna przez te dni kilka do niego się garnęła. Mógł więc spodziewać się, że dokoła siebie będzie czuł, a nawet słyszał i widział, pewne zadowolenie i na tem było mu dość; dla siebie na wieczór dzisiejszy miał mieć Purchałę i Rogalskiego, i to mu musiało wystarczyć.

Wnet po przyjeździe, kiedy zaledwie zdążył zmienić zbłocone ubranie, zameldowano «panicza» z Ostrówka. Na razie nie domyślił się, ktoby to mógł być, lecz nie wiele miał czasu na domysły, bo do pokoju wszedł Staś Broński, ów uczeń, którego poznał jako byłego towarzysza podróży. Powitał go przyjaźnie i usadowił przy sobie w fotelu przed kominkiem, dokąd polecił podać herbatę i cygaro.

Staś, onieśmielony otoczeniem poważnem i wspaniałem, zrazu w milczeniu rozglądał się dokoła, lecz po kilku życzliwych słowach Jerzego, który przypomniał szczegóły wspólnej podróży, odzyskał

swą żywość i zaczął opowiadać o zdziwieniu mamy, kiedy zajechali w hrabiowskiej karecie przed dom w Ostrówku jeszcze przed świtem. Wszyscy byli radzi i uszczęśliwieni, tylko jedna Mania ciągle powtarzała, że źle się bardzo stało.

— Proszęż pana, i cóż się złego stało? czy pan żałuje, że nam oddał swoją karetę?

— Ależ nie, mój młody przyjacielu, chętniebym jeszcze sto razy to samo powtórzył.

— Ja też ciągle mówiłem Mani, że to nie wielkie nieszczęście pana spotkało, że pan siedział na koźle. Czy pan lubi powozić? ja bo zawsze staram się usiąść na koźle i czasem Mateusz mi pozwala wziąć lejce. Ale u pana są lepsze konie od naszych!

Jerzy serdecznie się śmiał przy tem opowiadaniu i proponował Stasiowi, by częściej do niego przyjeżdżał, to będą razem wyjeżdżać na spacer sankami, sami jedni bez furmana.

— Czy to prawda, że pan dziś był na polowaniu i że pan wiele zabił zwierzyny?

— Prawda, Stasiu, i nawet, jeśli masz ochotę możemy się udać do stajni, dla obejrzenia naszej dzisiejszej zdobyczy, gdyż już musieli przywieść.

— O! i bardzo proszę pana.

Obaj ciepło ubrani poszli po wypiciu herbaty. Staś wpadł w zachwyt nie do opisania na widok

tylu i tak wielkich sztuk, które znał tylko z opisów, czytanych w książkach.

Na skinienie Jerzego stajenni wzięli sarnę i warchlaka i ponieśli przed dom, gdzie stały sanki, któremi Staś przyjechał.

— Stasiu, daruję ci te dwie sztuki z mojego dzisiejszego polowania, czy będziesz je mógł zabrać z sobą?

— O! wybornie; czy i skóry będą już moje?

— Ależ, naturalnie—rozśmiał się Jerzy już głośno, wracając do domu.

Staś był uszczęśliwiony nad wyraz i kiedy na nowo usiedli przy kominku, zaczął z ciekawością wypytywać o szczegóły polowania.

— Czy jabym nie mógł choć raz jeden pojechać z panem i panem Juljanem?

— Któż to jest ten pan Juljan?

— P. Rogalski, tutejszy nadleśny, którego ja znam dobrze, bo on do nas często przyjeżdża—odpowiedział jakby zdziwiony trochę malec, że ktoś może nie znać jego wielkiego przyjaciela, pana Juljana.

— Bardzo chętniebyśmy cię wzięli z sobą, i to nawet wkrótce, lecz, Stasiu, czy twoja mama na to zezwoli?

— O, pozwoli, napewno pozwoli, szczególniej, gdy ją dziś zaraz oto razem z p. Juljanem poprosimy.

— A gdzież ty Stasiu myślisz dziś widzieć p. Juljana?

— A u nas, przecie p. Juljan zawsze każde święta, z nami razem przepędza; od nas do leśniczówki jego to tak blizko, że często latem piechotą chodzimy tam na spacer.

Podczas tej przyjacielskiej i ożywionej gawędy, Staś ani spostrzegł, że zmierzch już zapadł i że światło wniesiono do sali.

Jerzy był rad z gościa, choć zupełnie nie rozumiał powodu jego bytności.

Lecz Mateusz stojący z końmi przed domem mniej był cierpliwy i przez kozaka przypomniał paniczowi, że czas już wracać do domu, bo pani będzie się gniewać.

Staś, choć niechętnie, powstał z miejsca.

— Panie, proszę do nas dziś przyjechać!.... a najlepiej może razembyśmy pojechali?—zaproponował z oczkami, wesoło uśmiechniętemi.

— A prawda! szepnął trochę zawstydzony,—mama tu list mi dała dla pana—i zaczął poszukiwania po wszystkich kieszeniach.

— Może, Stasiu, wysłałeś go do Warszawy, zamiast do mnie przywieźć?—żartował Jerzy.

Lecz list został znaleziony i Jerzy niezwłocznie wziął się do czytania.

«Sz. P. Hrabio!—pisała Brońska—jeśli z najtkliwszem podziękowaniem spieszę trochę zapóźno, to tylko dla tego, że miałam nadzieję, osobiście je wypowiedzieć. Inaczej się stało, i z konieczności muszę tymczasem poprzestać na tych kilku wyrazach, które niech p. hrabiemu probują wyrazić wdzięczność matki, której całą rodziną pan tak uprzejmie i troskliwie się zaopiekował. Syn mój podsuwa mi myśl, której urzeczywistnienie byłoby prawdziwem szczęściem dla nas, lecz ja nie śmiem jej panu narzucać, raczej przekładam list ten przesłać przez tegoż syna, a może jego naiwna, dziecięca serdeczność nakłoni pana ku tajemnie uknutym planom, których ziszczenie jakże radośnie byśmy powitali. Proszę przyjąć.....»

Jerzy uczuł się mocno zaciekawionym, wszystkie chwile oryginalnego spotkania i podróży żywo stanęły mu w pamięci, z miłym i ciepłym jakimś kolorytem.

— Stasiu, cóż ty dziś o mnie mówiłeś z mamą?— zaczął badać stojącego w oczekiwaniu malca.

— Prosiłem mamy, żeby i pana do nas na dziś zaprosiła, Zosia nawet mówiła, że byłoby z tem bardzo dobrze, bo wtedy byłoby nas wszystkich dziesięć osób, a nie dziewięć, ale Mania znowu zaczęła swoje rady dawać, ona tak zawsze!—zakończył już z gniewem.

— Czy panna Marya tak bardzo ci dokucza?

— O! nie, ja ją nawet bardzo lubię, ale tak tylko teraz... ale pan jej nie posłucha, prawda? pojedzie pan ze mną? — prosił błagalnie, garnąc się z rękami wyciągniętemi do Jerzego.

Jerzy serdecznie chłopca ucałował, lecz wytłómaczył mu, że sam u siebie oczekuje gości, więc do Ostrówka jechać nie może.

Prosił również Stasia, by podziękował mamie w jego imieniu za pamięć, i odwiedzał go podczas pobytu w Ostrówku jaknajczęściej. Staś zmartwiony odmową Jerzego odjechał, obiecując że wkrótce znowu przyjedzie.

W kwadrans niespełna po odjeździe Stasia nadjechał Rogalski. Miał na sobie ubiór skromny, lecz nie codzienny myśliwski.

Jerzy natychmiast przystąpił do wyjaśnienia, które mu silnie na sercu zaległo.

— P. Rogalski, dla czego nie jest pan ze mną szczerym? pan dziś jest oczekiwany w Ostrówku, jako gość konieczny i pewny, a tymczasem przyjmuje pan moje zaprosiny, które zamiast miłego, serdecznego grona familijnego na wieczór dzisiejszy, dadzą panu towarzystwo moje i p. Purchały. Dla czego pan to zrobił?—zgaduję, że przez delikatność, by przy pierwszej znajomości nie dotknąć mię od-

mową. Jeśli tak, — proszę, by pan niezwłocznie pośpieszył do Ostrówka.

— Niesłusznie posądza mię p. hrabia o brak szczerości. Prawda, byłem zaproszony do Ostrówka przez panią Brońskę, lecz nie jestem już tam oczekiwany, bo jadąc tutaj wstąpiłem tam, by moją dzisiejszą nieobecność usprawiedliwić.

— Lecz teraz pan pojedzie z powrotem, bo ja takiej ofiary przyjąć nie mogę, — gorąco protestował Jerzy.

— Jeśli pan hrabia pozwoli, to tu zostanę — z lekkim ukłonem zakończył Rogalski.

Jerzy bacznie spoglądał na tę postać szlachetną, którą miał przed sobą. Rogalski mówił z taką godnością i spokojem, że nie mógł go posądzać o to, że tylko jako jego oficyalista dla przypodobania się jemu przełożył jego zaprosiny, nad inne może stokroć dlań milsze.

«Nie, on do tego nie byłby zdolny!» w myśli stanowczo zdecydował Jerzy, a w takim razie już samo nasuwało się tłómaczenie, że ten delikatnie szlachetny człowiek uznał za konieczne dla siebie, podzielać dziś z nim przykrą może samotność, niźli cieszyć się towarzystwem, które i bez niego łatwo obejść się może.

Podczas tych rozmyślań Jerzy przebiegał wdłuż obszerny pokój krokiem przyśpieszonym.

Jeśli tak jest, — a inaczej być nie może, — a więc Rogalski bije go swą szlachetnoscią, ponosząc ofiarę względem niego, nie znając go wcale. Nie, nie może on tego dopuścić. Lecz jakaż na to rada? przecież powiedział wyraźnie, że zostanie, a nie wygląda na człowieka, na którego prośbą szczególniej w wypadku podobnym, możnaby oddziałać. Więc niema rady! trzeba zgodzić się na rolę obdarowanego.

Naraz Jerzy przystanął u drzwi i spojrzał na zegarek: była godzina 6.

— O której godzinie w Ostrówku siadają do wilijnego stołu? zwrócił się do przeglądającego albumy Rogalskiego.

— Sądzę, że około siódmej.

Jerzy gwałtownie szarpnął taśmę od dzwonka: we drzwiach ukazał się, jak zawsze milczący, osiwiały kozak.

— Parę najlepszych koni do sanek niech zaprzegną natychmiast, pana Purchałę poproś tu do mnie zaraz! — rzucił krótki rozkaz.

Purchała zjawił się prędko, bo już od godziny krzątał się w sali jadalnej, dozorując zastawy stołu do wieczerzy. Twarz jego bardziej rumiana niż zwykle, i oczy również niezwyczajnie błyszczące, świadczyły, że starannie był zajęty doborem trunków, mających uświetnić ucztę kawalerską.

— P. Purchała, czy już wszystko gotowe?

— Tak, p. hrabio, można choć zaraz siadać do stołu.

— Zmieniłem zamiar, i nie będę w domu dziś wieczór; przepraszam więc pana najserdeczniej, lecz proszę byś pan moje miejsce zajął przy stole i ugościł wszystkich dziś do stołu zaproszonych. P. Rogalski również nie weźmie w biesiadzie udziału.

I Rogalski i Purchała, obaj byli niezmiernie zdziwieni, lecz każdy dla innych względów nie pytał o przyczynę tak gwałtownych zmian. Rogalski trochę się ich domyślał, więc milczał, czekając z tajoną radością dalszych następstw, Purchała zaś zamilkł z przyzwyczajenia i poszedł spełniać polecenia. I on nie bardzo, a nawet wcale nic, nie został dotknięty postanowieniem Jerzego, bo już zawczasu cieszył się wielkością roli, jaką miał odegrać przy stole.

Jerzy na chwilę wyszedł z pokoju i udał się do swego gabinetu. Tu przebrał się w stroj wizytowy w ciągu kilka minut, a potem, troskliwie przeglądając różne drobnostki na biurku, wybrał maleńki cacko-rewolwer w oprawie z kości słoniowej i kilka prześlicznych figurek porcelanowych francuzkiego prawdziwie artystycznego wyrobu, które mu kiedyś przywiózł Görgöly, jak mówił dla zaludnienia jego pustej samotni podczas pobytu nad brze-

gami Maroszy. Wszystkie te przedmioty umieścił starannie po różnych kieszeniach i z wesołym uśmiechem powrócił do Rogalskiego.

— Jedziemy więc razem do Ostrówka, kochany panie, — i przy tych słowach serdecznie dłoń Rogalskiego uścisnął. Z podaniem koni służba się znacznie opóźniła i było już pół do 7, kiedy obadwaj w futra odziani siadali do sań.

— No, Janie, pokaż, co umiesz ty i twoje konie! — daję wam kwadrans czasu na drogę do Ostrówka — zwrócił się Jerzy do woźnicy.

— Wystarczy, jaśnie hrabio.

I przy tych słowach stary woźnica stanął mocno w sankach i ruszył raźnie w drogę, zrazu kłusem zwyczajnym. Lecz gdy minęli bramę i wjechali na równą gładką drogę, wysadzoną topolami, rozpuścił lejce, huknął na konie i polecieli jak ptaki olbrzymie, ginąc w tumanach rozpylonego śniegu, z towarzyszeniem wiatrów poświstu i licznych dzwonków przeciągłego w jeden długi ton zlewającego się brzmienia. I tak przelecieli kilka wiorst przez las, wpadli nad Bug, już rzekę w lodowej skorupie spowitą przebyli przy odgłosie głuchego tententu ostrego podków żelaza, i oto za chwilę zajechali przed rzęsiście oświetlony dom w Ostrówku.

Jerzy spojrzał na zegarek — jechali tylko trzynaście minut.

— Janie! masz u mnie dziesięć rubli.

Wyskoczył z sanek i z ręką wyciągniętą podbiegł do koni, siwych niewielkich arabczyków, które parskały rzeźko, choć piana kłębami z nich spadała, a para wnet obłokiem całym objęła konie, sanki i ludzi.

Na głos dzwonków drzwi otwarły się na ganku i buchnęło z nich światłem, gwarem jakimś wesołym i radosnym i ciepłem, które odrazu zwyciężało mróz na dworze. Z kupki ludzi wybiegł Staś i radośnie zakrzyknął:

— Jak mamę kocham! Pan Juljan i ktoś jeszcze... aha! to pan hrabia, mamo! Maniu! jest i pan Hołodaj!!...

Uczta wilijna zbliżała się ku końcowi. W obszernym jasno oświetlonym pokoju, którego rogi dziś zdobiły całe snopy zbóż różnorodnych, przy długim stole siedziało dziesięć osób, jeśli nazwę osoby zastosować i do małej Anielci, jedynej dotąd wnuczki pani Brońskiej.

W towarzystwie panował gwar i niewymuszona, serdeczna zabawa, polegająca na ochoczej rozmowie, pełnej śmiechu i wykrzyków. Jerzy odrazu znalazł się jakby w dawno i dobrze znanem kółku przyjaciół, dzięki uprzejmemu i serdecznemu powitaniu pani Brońskiej i jej domowników.

Ani mu na myśl nie przyszło czuć się skrępowanym z powodu, że przy tym stole miejsce zajęli zasłużony ekonom i gorzelany, obadwaj towarzysze pracy p. Płużyckiego; owszem cieszył się z tego, bo widział w tem pewność, że swoją osobą nie zrobił żadnego uszczerbku przy obchodzie tu wysoko szanowanej dorocznej uroczystości.

Miał z jednej strony gospodynię domu, z drugiej jej córkę, od lat czterech zamężną panią Zofią Kańską, stale z mężem adwokatem mieszkającą w Warszawie, a wprost pannę Maryą, drugą córkę dzielącą z matką trudy i kłopoty życia wiejskiego wnet po wyjściu z pensyi; przy tej ostatniej siedział Rogalski, a obok niego Staś.

Rozmawiano o wypadkach dzisiejszego polowania, które z werwą opowiadał Jerzy, podnosząc zasługi Rogalskiego i poświęcenie Onufrego; Staś skorzystał z tego, by prosić matkę o pozwolenie wzięcia udziału w następnem polowaniu, zapowiedzianem wnet po Nowym Roku.

— Pozwalam ci, Stasiu, jeśli polowanie nie obejmie dzików, — zrobiła uwagę matka.

— Zapewniam panią, że ich nie dotkniemy — wstawił się za chłopczyną Jerzy.

— Cieszę się z tego, i ze względu na obu panów, gdyż przykład dzisiejszy wymownie wskazuje na niebezpieczeństwo tego rodzaju polowania.

— Ma ono jednak swój urok już w samem niebezpieczeństwie.

— Dla zbyt małych celów podjętem — wtrąciła Marya.

— Sądzę, że w życiu powszedniem trudno ciągle i zawsze gonić za wielkimi — zwrócił się Jerzy do Maryi.

— Niepotrzeba gonić za nimi, bo one raz wytknięte stale i wszędzie idą przed nami.

— Polowanie na dziki nie wyklucza możności istnienia tych celów.

— Tak, lecz po dzikach czasem przychodzi ludziom ochota polować na lwy, tygrysy i słonie, a wtedy wiele już z oczu stracić można — mówiła z ożywieniem i rumieńcem na twarzy Marya.

— Pozostaje mi tylko zapewnić panią, że co do mnie, ja poprzestanę na dzikach i to na tych jedynie, które mi p. Rogalski daruje w lasach moich, gdyż moje stosunki są bardzo ograniczone, a praca w Ługolasach, o jakiej myślę, zapowiada się bardzo poważnie.

Zdawało się Jerzemu, że po tych słowach prześliczny profil Maryi jakby trochę złagodniał w swych klasycznych zarysach, a w oczach zabłysły może mniej jasne, lecz za to cieplejsze promienie.

W tej chwili Staś zaczął wyciągać po źdble siano z pod obrusa i innych zachęcał do tego; wróż-

ba bowiem wskazywała, że każdy, komu się uda, ciągnąc za jedną łodyżkę, wyciągnąć ich dwie, w roku następnym wyjdzie za mąż lub ożeni się.

Marya i Rogalski, kilkakrotnie próbując, zawsze wyciągali pojedyńcze źdbła, ale Jerzemu udało się za trzymanem wyciągnąć drugie źdbło, będące szczątkiem jakiejś wijącej się rośliny.

— Cha, cha, wybornie! już w roku przyszłym owinie p. hrabiego jakaś piękność sławna!— śmiała się Zofia.

— W zasadzie nie protestuję, — bronił się Jerzy, — czy pani zna tu w sąsiedztwie Ługolasów podobną? bo ja w ciągu roku przyszłego i wszystkich może wielu następnych lat tu stale przebywać zamierzam.

— Mógł pan przyjechać tu do nas z układem już zawartym lub projektem w sercu tylko i myśli pańskiej żyjącym — wtrąciła z uśmiechem Marya.

— A jeśli, ani jedno, ani drugie?

— Niech pan liczy na opatrzność.

— Wolałbym zaufać własnym staraniom — dorzucił Jerzy z niekłamanym zachwytem obejmując spojrzeniem całą postać Maryi.

Gospodyni powstała od stołu, wzywając wszystkich do bawialni, szczelnie dotąd zamkniętej i przez dzień cały dla nikogo niedostępnej, oprócz jej tylko i Zofii.

Staś wszystkich wyprzedził, mała Anielcia usiłowała za nim podążać, drzwi raptownie otwarte odkryły wielką choinkę z mnóstwem świeczek płonących, zabawek rożnorodnych i słodyczy.

Całe towarzystwo weszło do bawialni, a Marya po kilku zcicha zamienionych słowach z matką usiadła do fortepjanu i grała kolejno wszystkie znane sobie obrzędowe pieśni kolędowe.

Staś i Anielcia obiegali choinkę dokoła, coraz to nowe robiąc odkrycia i głośno o nich uwiadamiając całe towarzystwo.

Brońska zbliżyła się do drzewka i przywołała syna do siebie, szepcąc mu kilka słów do ucha, poczem zaczęła kolejno zdejmować z drzewka różne drobne przedmioty, które Staś roznosił i w imieniu matki wręczał wskazanej osobie. Rzecz prosta że Staś i Anielcia byli bohaterami chwili, bo oprócz matki, niemal wszyscy darzyli ich kolędowymi upominkami, lecz i starsi wszyscy bez wyjątku domownicy zostali obdarzeni.

Jerzy, korzystając z hałasu i gwaru, pośpiesznie wsunął swe dary w ręce dziatwy, która z okrzykiem zachwytu je przyjęła.

Staś wszystkim obecnym w bawialni prezentował swój rewolwer, nikomu go jednak do ręki nie dając, aż wreszcie wybiegł prawdopodobnie do kuchni i kredensu, skacząc radośnie.

Brońska zerwała dwie piękne róże z wazonu stojącego na oknie i już kwitnącego i podała je Jerzemu.

— Niech się stanie zadość miłemu zwyczajowi wymiany drobnych upominków w dniu dzisiejszym.

Była to piękna jeszcze kobieta o zgrabnych, choć poważnych kształtach, z wyrazem niewzruszonej dobroci, malującej się na twarzy.

Jerzy przyjął róże z ukłonem i serdecznie ucałował rękę podającą.

— Radbym się chętnie, jako sąsiad, wkupić w prawo uczestnictwa w podobnych uroczystościach domu pani.

— Chętnie daję panu to prawo raz na zawsze, jak długo mnie stanie w Ostrówku.

Do pokoju wpadł Staś i w jednym podskoku zawisnął na szyi Jerzego.

— Dobry, mój kochany panie!

Jerzy oddał uścisk za uścisk, a malec pobiegł do siostry ciągle grającej. Coś jej tam z cicha przekładał i prosił, lecz Marya przeczyła ruchem głowy, nie przestając grać, aż wreszcie i ją objął za szyję i całował w oczy, usta i bujne, ciemne warkocze.

— Dobrze, już dobrze! — przemówiła nareszcie, by się uwolnić od natrętnika.

Staś podbiegł do fotela, na którym złożył wszystkie otrzymane dary pod opieką blizko stojącego Rogalskiego, i z liczby ich wybrał w skórę opra-

wne album rysunkowe. Z niem pośpieszył do Jerzego.

— Ja to dostałem od Mani, ale muszę to panu dać na pamiątkę, — prosił tkliwie spoglądając na Jerzego.

— Ależ, moje dziecko, ja nie mogę cię krzywdzić, — opierał się Jerzy.

— Pan musi to wziąć, bo ja koniecznie chcę dać coś panu, bo pan tu jeden, bo o panu nikt nie pamiętał.

Jerzy wziął i dar i ofiarodawcę i ze łzą w oku Stasia ucałował.

— Biorę, mój Stasiu, na zadatek naszej przyszłej przyjaźni.

Na pierwszej karcie otwartego albumu był rysunek, przedstawiający uroczy widok leśnego zakątka z małą łączką nad urwistym brzegiem rzeki, z maleńką chatką na drugim planie. Rysunek był opatrzony podpisem Maryi. Jerzy z darem tylko co otrzymanym zbliżył się do niej.

— Przyjęcie tego upominku uwarunkowałem i pani zgodą konieczną; cóż mam tedy zrobić?

— Staś ma zupełne prawo rozporządzania swoją własnością.

— O ile widziałem, pani zdawała się mu tego prawa dość długo odmawiać — uśmiechnął się Jerzy, gdy Marya lekko spłonęła.

— Nie o album mi chodziło, ale o rysunek, który szkicowałem dla brata z natury tutejszej.

— Więc ten widoczek jest fotografią rzeczywistości?

— Nawet blizkiej i pańską własność stanowiącej.

— Tem większą wartość ma on dla mnie, i tem większe mam prawo do jego zatrzymania.

— Czy nie za szerokie zakreśla pan sobie to prawo?

— Nie, gdyż tylko o tyle, o ile je dobroć pani określi; czy mam wydrzeć ten ładny i niewinny widoczek?

— Niech owszem zostanie, może on podnieci pańską ciekawość i pan odszuka to miejsce na gruncie, a wtedy jestem pewna, że ono i panu się bardzo podoba.

— Dziękuję pani. Ten zakątek mych posiadłości już dziś mnie zachwyca, a odnajdę go bardzo prędko.

Marya powstała od fortepjanu i połączyła się z resztą towarzystwa.

Jerzy ze zdumieniem przekonał się, że to już północ dobiega i że wielki już czas opuścić to miłe i ogrzewające jego, obcego przybysza, domóstwo, tchnące na każdym kroku serdeczną, niekłamaną gościnnością.

Było mu tu odrazu tak dobrze, tak swojsko, tak zacisznie. A teraz znowu jeden wraca do pustego

domu, w którym echo własnych kroków go tylko powita, bo nawet służba tam ruszała się bez szmeru i głosu.

W ciągu trzechletniego pobytu na Węgrzech miał czas przywyknąć do samotności, lecz nigdy mu ciężką ona nie była, i dziś dopiero uczuł całe jej przygnębiające brzemię, kiedy odjechał z Ostrówka.

Nazwisko, tytuł, świeżo otrzymane bogate dziedzictwo, łatwo i ponętnie zapowiadająca się droga życia, wszystko nie istniało dla niego w tej chwili, a gdyby i o tem wspomniał, straciło by wartość zupełnie. On żył, czuł i myślał wrażeniami godzin kilku ostatnich, a na przepięknym gwiazd, światów całych, tajemniczo migocących, nadziemskim układzie, dla niego ze wszystkich stron świeciły—tylko oczy Maryi, te oczy tchnące raz dobrocią, to znowu rozumną rozwagą, a zawsze tak piękne, a zawsze tak obiecujące wiele nowych tajemnych skarbów!....

Jakkolwiek Jerzy miał już lat 29, dotąd nie nawiedziła go jeszcze myśl ożenienia się. Do chwili kiedy został bogatym, życie upłynęło mu dość lekko wśród nauki, rozrywek, a w ostatnich trzech latach i w poważnej pracy. Stosunki jego z kobietą nosiły podobnąż cechę. Tu i owdzie błysnęła mu

przelotnie jakaś twarz ładna, w pamięci utkwiły szlachetna postać i siła uczucia, lecz tylko lekko musnęły go na drodze jakiemś miłem i ciepłem tchnieniem, a on szedł dalej, szedł wsród nowych ludzi, choć nie bardzo wiedział dokąd ma iść i czego szukać należy. Kochał swobodę i niezależność i to go ocaliło od tych wielu niejako przydrożnych, jakby na popasie, stosunków i więzów, które wielu młodych ludzi życie splątały, z sił odarły, zawcześnie w sercach szerząc pustkę głuchą, a w głowach— zniechęcenie.

Jerzy pozostał jak ptak wolny, choć jako ładny mężczyzna, jako hrabia bogaty, gdyż za takiego go powszechnie miano, spotykał, może więcej od innych, pokus i sideł zdradliwych. Dziś zaś, kiedy kaprys stryja tak hojnie go obdarzył, z oburzeniem odepchnął od siebie ochoczo podsuwaną przez ludzi myśl o potrzebie ożenienia się. Czemże jest potrzeba zamęźcia lub ożenienia się?—zapytywał siebie nieraz, a odpowiedź zawsze przychodziła jedna i ta sama, a dotkliwie obrażająca jego pojęcia o miłości. Uznanie potrzeby pociąga za sobą powstanie pewnych środków działania i obowiązków, a te znów wywołują cały szereg odnośnych uznanych i wymaganych czynów i postępków. I to ma być droga do miłości, ta droga którą on w swej wyobraźni utkał z tęczowych barw,

jasnych złotych promieni, i cudnych dźwięków niebiańskich.

Nie, stokroć nie; powita on tego gościa drogiego i upragnionego, zkądkolwiek i kiedykolwiek przyjść do niego zechce, ale nie skazi swojego uczucia żadnym brudnym, powszednim o niego frymarkiem.

A tymczasem starał się życie swe zawsze tak urządzać, by w niem nie było miejsca dla nieokreślonych i nieuchwytnych marzeń i tęsknoty.

I teraz zaledwie trzy dni świąt upłynęły, Jerzy powołał Purchałę do czynnego i natychmiastowego współpracownictwa w dalszym układzie warunków bytu na starość dla osiwiałych kozaków hr. Szymona. Było ich wszystkich ośmiu, na różnych stopniach dworskiej hierarchii rozmieszczonych, a do dalszej pracy już prawie niezdolnych.

Po dłuższym namyśle, wbrew radom a nawet gorącym protestom Purchały, Jerzy postanowił jeden ze swych mniejszych na skraju dóbr leżących folwarków, podzielić na włókowe osady, i te rozlosować między emerytów, nadając im te osady na własność zupełną. Było to jego zdaniem konieczne odszkodowanie dla tych biedaków, którzy wszystko co mogli, ba! nawet więcej niż byli powinni, przez lat tyle wiernie nieśli w ofierze dla hr. Szymona.

Jerzy polecił Purchale, by niezwłocznie zajął się tą sprawą gorliwie, gdyż chce on, żeby nowi osa-

dnicy już z wiosną na nowe sadyby do Szymonowa, gdyż tak nazwano mającą powstać osadę, ruszyli i zaczęli je zagospodarowywać.

Purchała zmilczał, lecz z całej jego postaci biła wielka niechęć, którą napróżno silił się ukryć. Człowiek ten nie znał porywów wdzięczności, obcem mu było bezstronne poczucie sprawiedliwości, opierał się więc o ile mógł, by te *chamy*, u których ani sympatyi, ani szacunku przez tyle lat nie zdołał pozyskać, dziś miały być niezależnością i dobrobytem obdarzone.

Argumenty i zdanie, które przytaczał Purchała w obronie swych twierdzeń, zrobiły przykre wrażenie na Jerzym, pośpieszył więc zmienić przedmiot rozmowy, uważając zresztą kwestyę za postanowioną już nieodwołalnie i zupełnie wyczerpaną.

— P. Purchała, niech pan zechce mnie objaśnić jaknajdokładniej, na jakich warunkach Ostrówek jest trzymany w dzierżawie przez p. Brońskę, gdyż ze zdziwieniem zanotowałem, że nigdzie wsród stosów papierów, ksiąg i regestrów o tem wzmianki najmniejszej nie znalazłem.

— I nic dziwnego, p. hrabio, skoro ja, który lat trzydzieście z górą tu w Ługolasach wszystkiem się zatrudniam, także bardzo niewiele będę mógł o tem p. hrabiemu powiedzieć.

— Musiała być jednak jakaś tego przyczyna, że stryj mój, który, jak wnoszę z porządku ksiąg i rachunków lat dawniejszych, był doskonałym dóbr swych administratorem, Ostrówek zgodził się wyjąć z pod praw i form ogólnych?

— Ha! była zapewne i jest aż dotąd, ale to chyba nie pochodziło ze strony ś. p. hrabiego, lecz szło od nich, tych intrygantów chytrych, którzy sztukami jakiemiś sobie pomagali—z oburzeniem wybuchnął Purchała.

Jerzy zlekka uśmiechnął się tylko i czekał dalszych wskazówek.

— Niech się p. hrabia sobie śmieje, a ja co wiem swoje, to wiem. Zrazu oddaliśmy Ostrówek temu Płużyckiemu jak się należy; był i kontrakt, i inwentarze, i sztrafy, jednem słowem wszystko. Aż tu naraz w ostatnim już roku dzierżawy Płużyckiego, kiedy za folwark z gorzelnią dawali o dwa tysiące rubli więcej inni starający się, ś. p. hrabia przed wyjazdem za granicę zawołał mnie do siebie i rzekł:

— Płużyccy zostaną i nadal w Ostrówku na warunkach jak dotąd, pojedziesz waść o tem zawiadomić i odwieść te papiery.

I przy tych słowach dał mi w ręce zwitek, który łatwo poznałem: był tu i kontrakt, i inwentarze i i wszystko, co określało dobrze i silnie obowiązki

i ciężary dzierżawcy. Zdumienie moje nie miało granic, lecz zaledwie spytać zdołałem.

— Na jak to długo p. hrabio?

Ś. p. hrabia spojrzał na mnie tylko, i już żałowałem, żem zapytał; pośpieszyłem do Ostrówka i odtąd, a jest to już lat dwadzieścia cztery, czy pięć, tak to zostało i jest...., czyli było aż dotąd.

— Więc było, a jakże jest dziś, chcę wiedzieć.

— Po śmierci ś. p. hrabiego, ja mając na sobie odpowiedzialność za dobre rządy przed nowym dziedzicem,—skłonił się Purchała przy tych słowach i ciągnął dalej choć mocno zmieszany badawczem spójrzeniem Jerzego—dla tej to ciężkiej odpowiedzialności, musiałem wszystkie siły wytężyć, wszystko uporządkować, więc..... wymówiłem dzierżawę tej Brońskiej od tej już wiosny nadchodzącej.

— Czem się pan powodowałeś, czy uważałeś pan, panią Brońskę za złego dzierżawcę, czy też chciałeś większą otrzymać płacę dzierżawną?

— I jedno i drugie, p. hrabio,—za Ostrówek nie pięć, jak ona płaci, lecz osiem dają tysięcy.

— A w czemże pan spostrzegłeś złe strony dzierżawcy?

— We wszystkiem, we wszystkiem.....—już jąkał się Purchała.

— Przecie, w czem mianowicie?

Purchała milczał, jakby winowajca do muru przyparty. Boć był też nim istotnie. Za życia hr. Szymona, Purchała raz groźnie ofuknięty, milczał lata długie, nie dotykając mieszkańców i spraw Ostrówka, nawet wtedy, gdy Anna została żoną sąsiedniego dzierżawcy Brońskiego, kiedy w szczęśliwem z nim pożyciu przy boku ojca, rodziły się im dzieci, i kiedy wreszcie stary Płużycki umarł po krótkiej chorobie. Purchała milczał, bo milczeć musiał, ale jego złość, jego pycha obrażona od czasu pamiętnych oświadczyn tak silnie wzięły w uścisk tę duszę nizką i egoistyczną, że żył on tylko myślą o podłej zemście.

I oto łańcuch, na którym był przykuty, już zerwany. Hr. Szymon zaledwie wydał ostatnie tchnienie, kiedy Purchała zasiadł przy biurku i wystosował do Brońskiej urzędowe wezwanie, by już na wiosnę roku przyszłego bezwarunkowo i na zawsze Ostrówek opuściła. Nie brakowało w tem piśmie brudnych przycinków i nikczemnych wniosków, któremi hojnie tu i owdzie szafował.

Zaledwie skończył, powtórnie z uśmiechem radości odczytał i wnet odesłał przez umyślnego posłańca.

Brońska nie odpowiedziała ani słowa, lecz już od tej chwili gotowała się do niedalekich przesiedlin z Ostrówka.

Aż nadto więc dobrze wiedział Purchała, co było powodem jego energicznego wystąpienia względem Brońskiej, lecz słusznie mniemał, że dla Jerzego taki powód mógł być najzupełniej niewystarczającym, a innych nie mógł i nie umiał wyszukać niespodzianie zaskoczony.

— Więc, jakże p. Purchała? czyż mam sądzić że pan sobie począł bez należytej rozwagi, lub że, co gorsza i czegobym niechciał przypuszczać, pan tylko dogodził swym osobistym poglądom, nie mającym nic wspólnego z interesami zarządu dóbr?.

Purchała ciągle milczał, twarz miał czerwoną i wstrętną w tem świetle i barwach nikczemnej obawy i tajonej złości.

Jerzy wzdrygnął się mimowolnie i powstał od biurka, przy którem siedzieli.

— Nie chcę już pana dziś trudzić dłużej – rzucił zimnym i twardym, jak stal, głosem—sam postaram się wyjść z trudności, jakie co do Ostrówka spostrzegłem, lecz pana proszę o zupełne tej sprawy omijanie.

Jerzy był dziś w złym humorze, a Purchała nie mało przyczynił się do tego, Brońskę nazywając «chytrą intrygantką», a Rogalskiego nie dwuznacznie posądzając o znaczne nadużycia w zarządzie lasu. I jedno i drugie przykrym zgrzytem odezwało się wsród już otrzymanych i przyswojonych wrażeń

pierwszych dobrych i miłych, nic też dziwnego, że ich bronić postanowił i bronić niezwłocznie. Hamował się tylko w objawach swych uczuć, lecz już sam widok Purchały stał mu się wstrętnym nad wyraz.

Po wczesnym obiedzie, jak zwykle, kiedy z cygarem w ustach, pogrążył się w zadumie, mimowoli dojrzał małe, skromne album na stole wsród innych bogatych, które leżały w porządkowym bezładzie.

Machinalnie sięgnął po nie ręką i otworzył, a wtedy na widok ładnego widoczka schwyconego na kartkę brystolu, wróciła do niego po raz niewiadomo już który chęć odszukania go w naturze.

Dotąd jednak, jakkolwiek codzień wyruszał na parogodzinną przejażdżkę po lasach, poszukiwania jego były daremne. Mógł je sobie ułatwić, lecz nie chciał jakby się bojąc mieć uczęstników przy odszukaniu tego, co miało być odtąd miłym, jak mu się zdało łącznikiem pomiędzy nim i uroczą rysowniczką.

Potrzebowałby tylko kazać siebie obwieść z kolei do wszystkich domków strażniczych, po lesie rozsianych, a wtedy niewątpliwie odnalazłby tę ustroń i tę chatkę, które go interesowały.

Ale on wolał sam jeden tułać się często po leśnych bezdrożach, bo sam jeden chciał być odkrywcą,

bo zresztą i sam dobrze nie wiedział dla czego, ale jeździł co dzień, i co dzień wracał zmęczony.... bez skutku.

Dzień był nie mroźny, cichość panowała dokoła, a nad wszystkiem wisiały obłoki, pełne śniegu mającego opaść na powierzchnią ziemi.

Jerzy zadysponował sobie nie sanki pojedyńcze, jak dni poprzednich, lecz wierzchowca, pięknego złotogniadego arabczyka, który mu sie spodobał już przy pierwszym stajen i stada przeglądzie.

Niewielkie, lecz mocno i w ślicznych liniach zbudowane zwierzę, stanęło przed gankiem, gryząc z niecierpliwością wędzidła, i co chwila w swawolnym podskoku powodząc za sobą masztalerzem, który wnet słowem i gestem pieszczoty uspokajał gorące porywy.

Jerzy z przyjemnością dosiadł konia i ruszył w lasy, jak co dzień dotąd to czynił. Za koniem pobiegł olbrzymi dog faworyt, także dar Görgöly'ego przed dwoma laty, który bardzo był przywiązany do swego pana i chętnie mu towarzyszył nawet w najdalszych wyprawach.

Dog zwał się Madziar i na jedno skinienie Jerzego to wpadał w wściekłość tygrysa, to znowu łasił się u nóg pokornie, oczyma jakby prosząc o pieszczotę. Pomysł nazwiska dla psa Görgöly sobie wyjątkowo przyznawał, tłómacząc Jerzemu, że może

już nie marzyć o wierności i przywiązaniu, jeśli kogo Madziar w życiu zawiedzie.

Długo jeździł Jerzy po wązkich, leśnych drożynach, których większości żaden ślad wozu lub sań istnienia nie zdradzał, a znaczyły je, długie ciemne ściany boru z dwóch stron niewzruszenie stojące. Trzymał się ciągle w pobliżu Bugu, lecz szukał napróżno.

Już zamyślał o powrocie do domu, kiedy usłyszał niedaleko kilkakrotne Madziara szczeknięcie, i drugą psią odpowiedź. Pojechał na głosy słyszane i wkrótce stanął na skraju polanki, którą poznał od razu: była tą właśnie, której szukał. Nie dostrzegł na razie, że przed chatką gajowego stały małe saneczki w jednego pięknego konia zaprzężone.

Wyjechał na środek polanki, przekroczył jakąś zamarzłą rzeczułkę niewielką i stanął na wzgórzu; by okiem całość ogarnąć i piękność ocenić.

Istotnie ustroń ta, choć na tle zimowego, ujednostajnionego znacznie krajobrazu, była powabną i miłą dla oka.

Wyniosłe wzgórze z jednej strony, dalej zniżało się w jar wązki, małemi krzakami bramowany, środkiem którego płynęła mała rzeczułka, ginąc u góry wśród drzew rozłożystych ciemni; nad jarem wśrodku wdzięczna, skromna chatka gajowego z małą przybudówką, tu i owdzie kilka małych

grup drzew w dolinie umieszczonych, a dalej Bug szeroki, a za nim rozległe, ginące w przestrzeni, okiem nieobjęte obszary łąk nizinnych, w tej chwili, jednolitą warstwą śniegu okrytych.

To już i wszystko.

Jak tu pięknie w lecie lub na wiosnę być musi, kiedy martwe kontury i linje, i tę biel dziś jakąś grobową, bujna i świeża zieloność ubarwi, a kwiaty i ruch tysiąca letnich efemeryd ożywią.

Jerzy w myśli odtwarzał tę ustroń w szatach życia i zieleni, i oczyma znowu przebiegał kolejno szczegóły obrazu w naturze. Na najwyższem miejscu dostrzegł istotę ludzką, nieruchomą, czyżby, jak on, zajętą oglądaniem miłego zakątka?

Czuł się w prawie podjechać i zobaczyć, ktoby to był taki. Powitał Maryą, siedzącą na małej ławeczce, snadź umyślnie tu na najwyższym punkcie umieszczonej u stóp olbrzymich, imponujących bogactwem konarów, klonów, które i w zimie, bez liści, mogły znaczną przestrzeń ocieniać.

— Znalazłem jednocześnie i ustroń i jej odkrywcę!—wykrzyknął Jerzy uradowany, zsiadając z konia.

Marya okryta ponsowym baszłykiem, ozdobionym haftem złotym, robiła wrażenie jakiejś wieszczki wschodniej, kiedy zwróciła duże swe oczy na Jerzego.

— Tracę moje prawa wobec prawego i jedynego właściciela.

— Prawo użytkowania jest przywilejem pani tylko, i ja to prosić winienem o pozwolenie współuczęstnictwa; a więc proszę?

— Moje pozwolenie jest zbyteczne, gdyż jestem tu tylko gościem; niech pan cofnie przyznanie mi jakichkolwiek praw, bo mogę być zazdrośną i....

— Wzbronić mi przystępu do tego zakątka.

— To nie, lecz zmuszona do podziału..... zrzec się już wszystkiego.

— O, tego nie chcę, to mi przykrość sprawi.

— Czy pan zawsze i wszędzie tak dzielnie broni swoich tylko przyjemności, lub unika dla siebie tylko przykrości? Panie hrabio, żegnam, bo oto Staś już siedzi w sankach.

I przy tych słowach szybko puściła się przez śnieg ku chatce, z której podczas rozmowy, jaką prowadzili, wyszedł Staś w towarzystwie starego Onufrego, on to bowiem zamieszkiwał tę odległą chatkę.

Jerzy już nie miał czasu na odpowiedź, bo Staś, poznawszy go z daleka, pobiegł z głośnem wesołem powitaniem na ich spotkanie i w dalszej drodze w całości opanował rozmowę, sam mówiąc za wszystkich.

Siedli do sanek oboje, Staś serdecznie zapraszał w imieniu matki i swojem, lecz Marya ani jednem słowem nie poparła próśb brata.

Jerzy z czapką w ręku, mając wierzchowca i Madziara przy swym boku, ostatnim ukłonem pożegnał ich, gdy ruszyli, i w zamyśleniu zwrócił się do oczekującego Onufrego.

— Czy często miewasz tu gości, kochany Onufry!

— A przyjeżdżają ot ci sami, byli tu już kilka razy, latem to prawie codzień panienka, nawet sama, tu, bywało, wpadnie, posiedzi z książką, z moją starą pogada, i jedzie przez Bug w niewielkiej łódce z powrotem.

— Jakto tak sama jedna przez rzekę, w łódce?

— A sama, jaśnie hrabio, dzielna to, panie, dziewczyna,—zaśmiał się stary Onufry, ogarniając wąsy.

Widocznie chlubił się nią, bo oczy i usta śmiały mu się wesoło.

— Niedaleko to ztąd do Ostrówka, ot tam za zakrętem, będzie trochę więcej, niż pół wiorsty, wirów nie masz tu u nas na rzece, a moja panienka dobrze umie robić wiosłami, to i spokojny jestem tak jak i sama pani Brońska.

— Któż tę ławeczkę tam oto na wzgórzu ustawił?

— A to już ja, z przeproszeniem łaski p. hrabiego, umyśliłem sobie zrobić panience niespodziankę i, jak umiałem, ławczynę zrobiłem jaką taką. Nasz pan nadleśny to tu także często zajrzy, to się i spotkają w lecie, i posiedzą sobie we dwoje jaką godzinę. Niech im Pan Bóg da wszystko dobre, bo i warci są tego oboje.

Jerzy wskoczył na konia i zerwał go cuglami gwałtownie. Czuły arabczyk aż przysiadł na zadzie i ruszył w gwałtownych podskokach.

— Do widzenia, Onufry,—pojutrze polowanie,— rzucił z konia Jerzy na pożegnanie.

Przed gankiem domu wszyscy troje stanęli potem i pianą okryci.

Jakaś myśl ciężka, dręcząca musiała gnać Jerzego w tym szalonym biegu. Więc pędził bez tchu prawie, lecz myśl ta sama biegła z nim razem, budząc w mózgu czarne, bolesne obrazy, a w sercu niecąc to rzewną tęskliwość, to bólu niezrozumiałego ukryte zarzewie.

O myśli lotna, któż cię prześcignie, któż się ciebie pozbyć zdoła, kiedy raz się zagnieździesz w mózgu człowieka!

Tak, pozbyć się jej nie można, lecz można ją, do czasu aż osłabnie, zasklepić gdzie w ukrytej mózgowia komórce, wprowadzając inne liczne, silniejsze i żywotniejsze jej siostry na pole

działań mózgu. Po upływie pewnego czasu, więzień, nawet wolno puszczony z zamknięcia, tylko jakby echem odległem wspomni pierwotną swą siłę natarcia na istotę duchową człowieka.

Jerzy ze zdwojoną gorliwością oddał się pracy administracyjno - organizacyjnej, szybko zdobywając potrzebną znajomość szczegółów i ogólny pogląd na całokształt podjętego zadania.

Zapowiedziane polowanie z udziałem Stasia udało się pomyślnie i Staś uszczęśliwiony wrócił do domu z bogatym materyałem do opowiadania i częścią zdobyczy na niego w podziale przypadłą.

W dzień Nowego Roku Jerzy wybrał się do Ostrówka. Zastał w domu tylko Brońskę i Anielcię, siostry zaś z bratem wyjechały na spacer.

Powitany radośnie złożył życzenia serdeczne.

— Szczerze dziękuję, a to tembardziej, że nie miałyśmy prawa liczyć na tę uprzejmość ze strony hrabiego.

— Było to dla mnie miłym obowiązkiem, już choćby dla tego, że mam swój własny w tem interes: tak bym rad zmusić panią niejako do zaliczenia mnie w poczet przyjaciół, radbym się nawet choćby jak wąż wcisnąć między gościnne i tak miłe ściany domu tego.

— Och, to rzecz najłatwiejsza, szczególniej gdy i my tego gorąco pragniemy—mówiła Brońska z

uczuciem—lecz czy to warto na czas już tak krótki?

— Dlaczego na krótki?—zapytał zdumiony Jerzy.

— Czyż p. hrabia nie wie? mieszkam w Ostrówku tylko do 1-go kwietnia, a potem, któż zgadnie, jak daleko i w którą stronę, zwrócić się będę zmuszona.

— Ach! więc i to jest przyczyną mej bytności dzisiejszej, o czem zrazu zapomniałem. Dowiedziałem się od p. Purchały o jego zbyt pośpiesznem żądaniu, by pani ustąpiła z Ostrówka; żałuję, że tak się stało, i chętnie korzystam z prawa mi przysługującego, by cofnąć i uznać za niebyłe żądanie p. Purchały. Jest to dla mnie koniecznym do spełnienia obowiązkiem poszanowania woli i pamięci zmarłego stryja.

— O ile mi wiadomo, stryj pański nie zostawił żadnych tego dotyczących rozporządzeń—z pewnem pomięszaniem wtrąciła Brońska.

— Tak, lecz stryj mój przez lat 29 chciał, by Ostrówek był w ręku ojca pani, a następnie pani, i ten lat długi szereg, niezachwianie niezmiennych w tej sprawie, dla mnie mówi więcej, niż dokument prawny. Błagam panią, jako o łaskę, by czyn p. Purchały uległ zapomnieniu, by wszystko i nadal zostało tak, jak dotąd było. Ja z mojej strony na przyszłość również żadnego nie chcę kłaść terminu.

— Dziękuję panu z serca, nie umiem panu wypowiedzieć jak bolesną była mi myśl opuszczenia Ostrówka, gdzie na każdym kroku dotąd istnieją pamiątki pracy mego ojca i męża, gdzie wciągu lat tylu co dnia, co godzina w życiu mem od lat tak młodych, kreśliłam znaki złej i dobrej doli....— z rzewnym płaczem zakończyła Brońska.

— Pani, nie płacz, nie powiększaj tem żalu mojego, skoro widmo nieporozumienia już usuniętem zostało na zawsze. Jam szczęśliwy w tej chwili, gdy mogę wraz z uściskiem dłoni odjechać w przekonaniu, że miłe i dobre, najbliższe i najpierw poznane sąsiedztwo mam na czas dłuższy zapewnione.

Brońska z uczuciem żywej wdzięczności wyciągnęła rękę do Jerzego.

W tej chwili do pokoju wbiegł Staś, a za nim obie siostry, wszyscy rozrumienieni chłodem powietrza podczas przejażdżki, z której wracali.

Marya podbiegła do matki i tkliwie ją wpół obejmując, pytała:

— Matuchno, tyś płakała? co tobie?

— Teraz nic już, drogie dziecko, jestem nawet wesoła—mówiła, usiłując uśmiechem twarz rozjaśnić—a jeśli taką jestem i może długo jeszcze będę, zawdzięczam uprzejmej życzliwości p. hrabiego.

Marya spojrzała na Jerzego, lecz bez słowa jednego, przywitała go głowy skinieniem, i wyszła z pokoju. Jerzy, zapraszany i zatrzymywany na wieczór, przemocą niemal wyrwał się z Ostrówka, bo kiedy wszyscy prosili, by został, Marya w milczeniu podała mu dłoń do uścisku.

Zdawało mu się, że ten uścisk był cieplejszy i żywszy, zdawało mu się, że w oczach Maryi czytał prośbę niemą, że tam na chwilę błysnął ognik gorętszego uczucia....

Ubrał się i pojechał. Czy by nie wrócić, by te oczy lepiej rozpatrzeć? A może lepiej zapomnieć o tej drodze do Ostrówka, która mu już dziś po tygodniu, ciernie wbijać zaczyna, wstrząsając jego duchową istotą.

VI.

Czy Jerzy Maryą kochał? Nie.

Taką dawał sobie odpowiedź i sam Jerzy, ilekroć przed wzrokiem jego wyobraźni stawała ta czysta i piękna postać dziewicza, zmuszając go do snucia marzeń o czemś nieokreślonem, a jednak tak miłem, tak tkliwem, że nietylko tych marzeń nie usiłował rozpraszać, lecz owszem wszelkiemi siłami starał się je podsycać. I nie poznawał sam

siebie. On i marzenia, były to dotąd antypody, tak trzeźwo, tak zwyczajnie zapełnione było jego życie dotychczasowe. Od miesiąca bogaty spadkobierca, od dni tylko dziesięciu wchodzący w prawa znacznego posiadacza, zaledwie po chwilowym przedsmaku dostępnego dla siebie użycia, czuł się już nasyconym, bo napróżno skupiał uwagę i myśl wytężał w pościgu za własnemi pragnieniami. Inwentarze, regestry, Purchała i Rogalski nic mu nie mogli dać takiego, coby mu radość sprawiło, a jednak nie był smutny i zadrżałby boleśnie na myśl o jakiejkolwiek odmianie.

Już wnet po przyjeździe, od Purchały i innych, usłyszał Jerzy, że druga córka Brońskiej jest zaręczona z Rogalskim, tak bowiem głosiła opinja ogólna, choć zgadzano się i na to, że Brońska a tem mniej młodzi zakochani, ani jednem słowem wypowiedzianem głośno i publicznie nie uświęcili tego wyroku.

Wskazywano na częste odwiedziny Rogalskiego w Ostrówku już od lat kilku, na wysoki stopień zażyłości, na to wreszcie, że tak mieszkańcy Ostrówka, jak i Rogalski stale unikali szerszych stosunków z sąsiadami, ograniczając się tylko na koniecznych, niejako urzędowych z najbliższymi.

Jerzy nie czuł się w prawie pytać którąkolwiek ze stron o jakieśkolwiek wyjaśnienie, choć takie

pytanie gwałtem cisnęło mu się na język, dusiło w gardle, ile razy spotykał się z Rogalskim, lub z kimkolwiek z Ostrówka.

A więc już kochał? Jeszcze nie.

Czuł teraz na własnej swej istocie, ten chaotyczny kłam wpierany w ludzkość przez tłumy poetów i romansopisarzy, przez bardów i rycerzy tej miłości, która rodzi się w jednej chwili, od jednego spojrzenia, spontaneicznie, bez udziału dwóch istności duchowych odrębnej płci.

I oto rzucał regestry, listy i raporty, a całymi dniami zagłębiał się w filozofją miłości, zapominając o wszystkiem i wszystkich. I było mu z tem dobrze.

W pierwszej chwili rodzi się tylko pociąg, który rzadko tylko może być początkiem miłości, lecz gdy raz już miłość istnieje—jej praojcem najstarszym i najpierwszym tylko i zawsze pociąg być musi.

Dwie istoty, przedstawicielki dwu płci różnych, o ile są młode i zdrowe, odrazu, w jednej chwili, mogą uczuć pociąg do siebie, gdy się znajdą w warunkach sprzyjających, lecz tylko w następstwie, po bliższem poznaniu się wzajemnem, muszą powolnie, cegiełka po cegiełce, budować wielki i wspaniały gmach miłości, jedynie odpowiedni uszlachetnionej naturze ludzkiej. Im wszechstronna kultura jednostek jest wyższą, tem miłość przychodzi

krokiem wolniejszym, i na odwrót, jednostki krańcowe w szeregu zstępującym pod względem cywilizacyi, bardzo często poprzestają li tylko na dostrzeganiu pociągu. Im bogatszemi są jednostki na drodze umysłowo-etycznego rozwoju, tem oględniej, tem powolniej ulegają one porywom sprawdzonego pociągu w celu pozyskania miłości za jedyną cenę— takiejże miłości. Zwyciężyć więc pociąg może z łatwością każdy, korzystając z pomocy czasu i oddalenia wzbudzającej pociąg istoty, wyzbyć się miłości zdoła ten tylko, kto zdoła zwyciężyć sam siebie: swoją ambicyę, swoje przekonania i swoje pragnienia. To ostatnie zadanie nie zawsze leży w granicach sił osobniczych, i dla tego miłość może łamać nieraz życia, sypać groby wsród żyjących istot.

Bo kochać—to wierzyć i wszystkiemi siłami pragnąć. Lecz wierzyć nie tej jednej czarnookiej lub błękitnookiej kobiecie i pragnąć nie tej jednej upatrzonej kochać, to—wierzyć w drogę szczęścia świetlaną, a tak trudną do odszukania, to pragnąć wszystkiego, co może usłać drogę do pozyskania tak upragnionego szczęścia.

Jeśli więc są jednostki, które nigdy miłości nie zaznały, są to zwyrodniałe osobniki ludzkie, które albo niemoc osobnicza, albo braki ustrojowe wyłamują z pod ogólnych praw.

Takie mniej więcej ostateczne wyniki skrystalizowały się w umyśle Jerzego po wielu godzinach samobadania, choć musiał przyznać się przed sobą samym, że ten rezultat ani trochę nie wyjaśniał jego osobistego położenia. Skądinąd zaś sam fakt, że mógł myśleć i rozmyślać, zdawało mu się, świadczył najwymowniej, że uczucie, jakie budziło się w nim dla Maryi Brońskiej, było nader jeszcze dalekiem od miłości.

Czemże więc było? Dlaczego tak ochoczo chwytał każdą sposobność ratującą pozory jego odwiedzin w Ostrówku, dla czego tak próżnym i pustym zdawał mu się ten dom cały, to jego tak świeże dziedzictwo, którego, on gospodarz przecie, dotąd nie miał czasu ani poznać, ani ocenić? dlaczego wreszcie tak wstrętnym mu się stał Purchała od chwili, kiedy z ust jego wybiegły pierwsze słowa tłumionej niechęci dla mieszkańców Ostrówka?

Podczas podobnych rozmyslań, które budziły go ze snu rano, a długo w noc każdą sen z powiek spędzały, jak widmo jakie nieznane a groźne stawała postać wyniosła Rogalskiego, który sięgał po rękę Maryi Brońskiej. Co z tem było robić? na jakiej drodze szukać przyśpieszenia w rozwiązaniu tej kwestyi palącej; bo za taką ją w końcu uznać musiał, po dokładniejszem zbadaniu samego siebie.

Czy on, dzięki otrzymanej sukcesyi, bogaty i niezależny, a zatem korzystający bez żadnej ze swej strony zasługi, z olbrzymich przywilejów, mógł spokojnie stawać na drodze współzawodnictwa z Rogalskim, który w pracy jedynie znajdował podstawy swego skromnego bytu.

Zrazu, gdy poraz pierwszy myśl taka zrodziła się w jego mózgu, zakrzyknął energicznie: «nigdy i nie», lecz ta energja z każdym ponownym myśli powrotem słabła coraz bardziej, i Jerzy czuł to dobrze, że słabła nie dla braku jego odporności, lecz dla słabych podstaw, na których się wspierała.

Jeśli Rogalski kocha Maryą Brońskę i jest przez nią kochany, to należy uznać w tem fakt niewzruszony i, jako taki, przyznać za obowiązujący dla siebie. Lecz jeśli tylko Rogalski kocha i pragnie to choćby to nawet mogło kiedykolwiek oddziałać na Maryą i pociągnąć ją siłą oddziaływania, nikt, a więc i on, Jerzy, nie ma potrzeby i obowiązku z tem się liczyć.

Zdawało mu się, że każdy układ pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, bez względu na pobudki jego i charakter układających się, mający na celu regulowanie lub ułatwianie drogi utrzymania ręki upatrzonej kobiety, jest zawsze aktem sprzecznym z pojęciami szlachetności wogóle, a bezwarunkowem przestępstwem przeciw tej trzeciej osobie—kobiecie,

gdyż każdy taki układ jest zawsze pogwałceniem jej praw, a ona to przecie chyba największy głos w nimby mieć winna. Czuł więc Jerzy to dobrze, że jego stanowisko odnośnie do Rogalskiego jest w tym wypadku bez zarzutu, o ile zechce nawet wyraźnie starać się o pozyskanie serca Maryi, niemniej jednak drętwiał cały na myśl, że Rogalski ją kocha i że gdyby nie on, Jerzy Hołodaj, właściciel Ługolasów, Rogalski mógłby prawdopodobnie Maryą dla siebie pozyskać. Tu już rwała się nić najsilniejszego rozumowania, bladły wszystkie argumenta, ale niemniej szept cichy, niezmienny i trwożny budził go co chwila bolesnem pytaniem «dla czego?»

Jerzy rozumiał dobrze, że rozporządzał stokroć większemi środkami dla pozyskania miłości od Rogalskiego, po wykluczeniu ich osobistych zalet i przymiotów. Tak, miał on te przywileje, lecz były one takiemi tylko w wypadku, gdyby obaj jednocześnie wyszli z punktu potrzeby i pragnienia zawarcia małżeństwa. Jerzy czuł się najzupełniej dalekim od tego, i mógł przypuszczać o Rogalskim, że i z nim to samo ma miejsce.

A jeśli obaj w przygodnej życia chwili zetknęli się na drodze odczucia i pragnienia miłości, niczem tu przywileje, bo one nie były świadomie zestawione z ubóstwem lub słabością, niczem tu pierwszeń-

stwo, bo ten będzie pierwszym i takim być powinien, kto lepiej kochać i pragnąć potrafi, niczem tu względy altruistyczne, bo one są już obrazą dla osoby trzeciej i to tej właśnie, której imię coraz droższem się staje.

Na tym punkcie Jerzy się zatrzymał i rad był, że przecie znalazł dla siebie jakiś drobny szmat ziemi stałej, jak mniemał, w ogólnej powodzi zwątpień i niepewności. Wszystkie zaś inne kwestye, które go dręczyły, postanowił do czasu zupełnie odsunąć od siebie, oczekując by zwyczajny bieg wypadków rozwiązanie ich przyśpieszył.

Dla skuteczniejszego przeciwdziałania ponownie oddał się pracy i żmudnej kontroli administracyjnej.

Obok tego postanowił niezwłocznie zająć się wykonaniem włożonych na siebie zobowiązań przez zmarłego stryja, a więc wypłacić Cesi 40,000 rubli, których w kasie nie było. Należało więc wyszukać zródło bez zbytecznego obciążenia bieżących dochodów majątku, które miały służyć dla dalszego rozwoju gospodarstwa rolnego i przemysłu w Ługolasach.

Najłatwiejszym środkiem zdobycia tak znacznej stosunkowo sumy była sprzedaż leśna lub zaciągnięcie pożyczki w Towarzystwie Kredytowem.

Jerzy jednak po dłuższym namyśle oba te źródła odrzucił.

Sprzedaż leśna pociągnęłaby za sobą dewastacyjne gospodarstwo nabywcy w lasach przez czas dłuższy, a z tą myślą, i jako gospodarz i jako myśliwy, Jerzy nie mógł się pogodzić; co zaś do pożyczki długoletniej i krępującej silnie swobodę ruchów właściciela, Jerzy uważał, że jest dlań zbyteczną, a bardziej jeszcze kłopotliwą ze względu na cały szereg obowiązujących formalności. Hr. Szymon po objęciu dóbr żony na swoje imię w lat kilkanaście spłacił dług Towarzystwu Kredytowemu, i odtąd Ługolasy były tym rzadkim białym krukiem w szeregu dóbr ziemskich kraju całego z hypoteką niczem niepokalaną. I ten wzgląd nie mało wpłynął na postanowienie Jerzego, który uważał za swój obowiązek uszanować drogi postępowania swojego stryja, o ile naturalnie one nie dotykały zbyt ważnych dla niego kwestyj. Poradził sobie jednak przy współudziale Rogalskiego i po uprzedniem porozumieniu z Cesią bardzo dobrze.

W lesie można było, a nawet jak słusznie dowiódł Rogalski, było to koniecznym aktem dobrego gospodarstwa, wybrać około pięciu tysięcy wyborowych wyrosłych zupełnie sosen, których dalszy wzrost nie obiecywał już być dobrym i korzystnym, i te we właściwym czasie ściąć i wywieść nad brzeg Bugu. O znalezienie chętnych nabywców było bardzo łatwo, jak również i o dobrą

cenę sprzedażną przy tak dobrych warunkach spławu.

Strona więc finansowa przedsięwzięcia była skutecznie obroniona, a pod względem gospodarskim osiągały się nieobliczone korzyści już choćby tylko w zupełnem niemal usunięciu strat i zniszczenia.

Rogalski łatwo obliczył, że w ciągu lat czterech wszystko da się dobrze ukończyć, i Jerzy był najzupełniej zadowolony z tak zakończonych pomyślnie kłopotów.

Podczas kilku tygodni, które spędzał z Rogalskim w lesie na oględzinach i przygodnych polowaniach, zdołał cokolwiek zapomnieć o mieszkańcach Ostrówka, a to tembardziej, że Rogalski chętnie mówiący o wszystkiem, milczał uparcie, ile razy Jerzy choć jednem słowem usiłował nawiązać rozmowę na temat tak dla niego pożądany.

Mimowoli więc Jerzemu nasuwały się wnioski po każdej takiej próbie nieudanej, że Rogalski jest prawdopodobnie bardzo poważnie i daleko posunięty w stosunku do mieszkańców Ostrówka, skoro rozmowę o nich z obcym uważa za niemiłą dla siebie, lub może tylko nieuprawnioną w tych granicach, jakichby on pragnął.

Nie wiedział więc nic o Ostrówku. Raz jeden tylko przez cały ten czas przyjechał Staś i po krótkiej bytności ze łzami go pożegnał, oświadczając,

że nazajutrz wyjeżdża z Zosią i Anielcią z powrotem do Warszawy.

— Proszę pana, czyż to sprawiedliwie, bym ja nie mógł wziąć z sobą rzeczy do mnie należących? mama kazała mi w Ostrówku zostawić rewolwer, który dostałem od pana—użalał się chłopczyk ze łzami w oczach.

A tak był podobny w tej chwili do Maryi, że Jerzy uniesiony nieudanem współczuciem, uścisnął go długo i tkliwie, w serdecznych słowach starając się wytłómaczyć całą niestosowność zabierania rewolweru do miasta, gdzie ani bawićby się nim nie mógł, a co gorsza, mógłby być nawet narażonym na jego utratę, jako nie mający prawa używania broni palnej. Ten ostatni argument widocznie przekonał Stasia, bo oczka prędko rozjaśniły się w uśmiech.

— Czemu pan do nas nie przyjeżdżał tak długo, czy się pan na nas zagniewał?

— O, nie, Stasiu, lecz byłem bardzo zajęty, trudno więc mi było przed ukończeniem powziętego zajęcia oddalić się z domu—skłamał heroicznie Jerzy.

— To szkoda, bo ja już nieprędko przyjadę do Ostrówka—kiwając głową, ciągnął sentencyonalnie malec.

— Wszak na Wielkanoc chyba, a toż przecie nie tak odległy termin?

— Wątpię, bo mama nie chce, bym ja podczas pierwszych wiosennych wylewów przyjeżdżał na wieś, bo doktór powiedział, że po przeszłorocznem zapaleniu pluc, które przeniosłem, może być to dla mnie szkodliwe, ponieważ dokoła Ostrówka całe pola i łąki przez kilka tygodni stoją pod wodą.

— No, to ja w takim razie przyjadę do ciebie, do Warszawy—obiecał Jerzy z uśmiechem.

— Ach, jak to dobrze; proszę tylko pamiętać i dotrzymać. To może pan razem z Manią przyedzie?

— Czy i panna Marya obiecała cię odwiedzić?

— Nie, ona nie chce, lecz mama już zapowiedziała, że i ją do Zosi pośle przed wielkanocnemi świętami.

Jerzy w myśli postanowił sobie, że nic go nie zdoła powstrzymać od wycieczki dla pocieszenia Stasia tylko zapowiedzianej.

Ponieważ Staś śpieszył do domu, Jerzy postanowił go odprowadzić i pożegnać zarazem odjeżdżającą Zofję.

Obydwaj siedli do sanek Jerzego, uprzężonych w dwa śliczne bieguny, i Jerzy chcąc zrobić Stasiowi prawdziwą przyjemność, polecił staremu Janowi powierzyć lejce i bat zarumienionemu z

radości chłopcu, a przesiąść się na sanki z Ostrówka.

W jednej chwili Staś siedział już na koźle i ruszył z pośpiechem, jakby obawiając się, że stary Jan może powrócić na swoje miejsce.

Konie biegły zrazu spokojnie i młody woźnica, coraz to zwracał się z uśmiechem tryumfu do Jerzego, wskazując mu na coraz bardziej zwiększającą się odległość pomiędzy dwojgiem sań.

Lecz zwolna rącze araby, nie czując nad sobą łagodnej lecz silnej dłoni zwyczajnej, raz i drugi rzuciły łbami do góry, szeroko rozwartemi nozdrzami wciągnęły prąd swobody pól i lasów, które mijały w biegu, i zgodnie zaczęły iść coraz większym, przyśpieszonym pędem. Staś obejrzał się na Jerzego, lecz już bez uśmiechu na twarzy, i całemi siłami zaczął ściągać lejce, usiłując opanować zapał koni, lecz łatwo się przekonał, że jego siły są zbyt słabe, bo konie już wnet wpadły w gwałtowny galop. Chłopczyna zbladł z przerażenia i puścił lejce zupełnie. W tej chwili uczuł dwoje ramion silnie go opasujących i głowę Jerzego nad sobą, który ujmując lejce rzucone przemówił doń uspakajająco:

— Bądź spokojny, Stasiu, nic nam nie grozi.

Biedne araby przez krótką chwilę kosztując ze względnej swobody, która biła w nich w ukrytem gdzieś tajemnie wewnątrz wspomnieniu, naraz uczuły że-

laźną dłoń pogromcy i zimną stal do krwi niemal chłodzącą ich zapał chwilowy. W gwałtownych kilku podskokach szukały zrazu ratunku, lecz wnet posłusznie łby spuściły i poszły biegiem równym i spokojnym.

— Siądź teraz, Stasiu, tu obok mnie, to będziemy razem powozili,—a może będzie się nam wiodło szczęśliwiej,—śmiał się Jerzy, widząc zakłopotanie Stasia, który pośpiesznie zajął miejsce wskazane.

Staś był i przez resztę drogi i już po przybyciu do Ostrówka niepocieszony i milczący. Wkrótce nadjechał Rogalski i wtedy dopiero chłopiec w długiej a cichej rozmowie opowiedział mu swoją, jak mniemał, wielką kompromitacyę.

Rogalski śmiał się serdecznie i pół żartem robił wymówki Jerzemu za to, że ma tak niesforne konie w swej stajni. Rzecz się powoli wyjaśniła dla wszystkich, żartom nie było końca ze strony obu sióstr, które tak często powierzały siebie Stasiowi podczas wycieczek sankami.

— To już ja teraz wolę jeździć sama podczas świąt przyszłego Bożego Narodzenia—odgrażała się Marya.

— To mama ciebie nie puści, bo ty nie będziesz miała przy sobie pana Jerzego, który jest taki silny—odciął się Staś.

Marya spłonęła, jak piwonia, ciemnym rumieńcem, kiedy po chwili mimowoli spojrzała na Jerzego i zobaczyła wzrok jego w sobie utkwiony, który mówił tak wymownie: «o! jakżebym chciał być wtedy przy tobie!» Jakiś strach ją w tej chwili ogarnął, czy nawet ból choć rzewny i miły, a lica zaraz zbladły, choć oczy jeszcze przez chwilę patrzyły na Jerzego, który tam czytał z zachwytem tajemnicze „tak", kiedy usta spokojnie mówiły:

— Pan hrabia tylko dla ciebie jest koniecznym opiekunem i to w wypadku, kiedy, jak dziś, będziesz miał pretensyę jeździć jego końmi.

Rozmowa stała się ogólną, wszyscy bowiem jak okazało się byli wielkimi amatorami koni, nie wykluczając nawet samej Brońskiej.

— Sądzę jednak, że w uczuciach sympatyi dla koni wszystkich nas przenosi pan Rogalski, bo my, jak mniemam, wszyscy lubimy konie bardziej dla ich użyteczności często tak miłej, a pan Rogalski raczej dla nich samych—zrobiła uwagę Marya.

— Zgoda, zgoda, ustępujemy bez walki!—pośpieszyły z oświadczeniem Brońska i Zofia, spojrzeniem przyjaźnem darząc Rogalskiego.

— Niema zgody!—zawołał Jerzy—nie może być zgody z mej strony, o ile nie będę przekonany o mojej niższości w tym względzie choćby tylko za

pomocą szerzej i dokładniej określonych podstaw takiego wniosku przez panie sądzące.

— Ależ, panie,—wtrąciła Zofia—to pan chyba nie zna gospodarstwa kawalerskiego pana Juljana! tam znajdzie pan chyba wszystkich przedstawicieli fauny z naszego zakątka, przynajmniej najgłówiejszych, które jak świta dobrana otaczają swego władcę, nieraz broniąc ludziom przystępu. Dość będzie, gdy powiem, że wilk spełnia rolę lokaja, rozbierając swego pana, a niedźwiedź, jak czuła piastunka, mruczeniem go usypia.

Śmiech powstał ogólny, a Rogalski brał w nim udział nie najmniejszy.

— Zaklęty królewicz, zaklęty królewicz pan Juljan!—wołał Staś, podskakując z uciechy i figlów. Jerzy niemało zdziwiony zwrócił się do Rogalskiego.

— Nie wiem istotnie nic dotychczas o pańskiem wyjątkowem zamiłowaniu.

— Bo też i nie jest ono czemś nadzwyczajnem, chyba tylko w oczach pani Zofii, która mię zawsze prześladować lubi—bronił się, niby ze skargą na ustach, a z uśmiechem zadowolenia na twarzy, Rogalski.

— Prawda, mam u siebie niedźwiedzia i wilka, lecz trzymam je nie dla tego, bym lubił niedźwiedzie i wilki, choć przyznaję że wogóle lubię zwie-

rzęta, lecz że mi ich hodowla daje cały szereg ciekawych spostrzeżeń i doświadczeń, które przyjemnością wypełniają mi wolne godziny samotności.

— A oprócz niedźwiedzia i wilka, jeszcze cztery taksy, dwa gończe, podobno były dwa lisy, borsuk, dwie sowy, kilka jeżów, tuzin węży;.... wyliczała Zofja....

— Pięć żołwi, dwa pawie i cała kolonja królików—dodała Marya.

— A jeszcze, Zosiu, sarna, jastrząb, a gołębie, a świnki morskie.....—przypominał Staś.

— Jakto, czyżby te wszystkie zwierzęta i ptaki pan u siebie hodował?—spytał Jerzy coraz bardziej zdumiony.

— Prawie, choć niejednocześnie, lecz w różnych czasach w ciągu sześciu lat mojego tutaj pobytu.

— Wracając jednak do orzeczenia postawionego przez pannę Maryą, prosimy pana o szczerą odpowiedź, czy wszystkie te zwierzęta hodował pan lub hoduje dla nich samych jedynie, czy też z pobudek osobistej korzyści w najszerszem tego słowa znaczenia, a więc i za włączeniem przyjemności jak mniemam, główną tu rolę grającej?

— Ależ naturalnie, że robię to tylko dla siebie. Powiem nawet szczerze, że życie i śmierć w otaczającym nas świecie przyrody uważam za równie silne i równie normalne zjawiska, i dla tego sądzę,

że jestem w zgodzie z sobą samym, kiedy celnym strzałem zabijam zwierzę, jak niemniej i wtedy gdy przedłużam może jego istnienie, dając mu swoją opiekę.

— Zgadzam się z panem najzupełniej—ciągnął Jerzy—chociaż nigdy dotąd nie zajmowałem się hodowlą zwierząt z amatorstwa, śmiem więc teraz prosić, by panie cofnęły swoj wyrok o specyalnej wyższości pana w tym względzie.

— Niema zgody, i nie może być zgody—śmiało z ogniem w oczach protestowała Marya,—gdyż taki pogląd jest tylko dalszem rozwinięciem zdania, że świat jest stworzony dla pana—człowieka, a chyba pan się zgodzi, że to zdanie już dawno zostało przez naukę pogrzebane.

— Tak, ani słowa, lecz jednocześnie z tym pogrzebem odbyły się narodziny nowej idei o prawie silnego i o bezwzględnej konieczności całego szeregu nieskończonych walk na świecie nie ustających ani na jedną sekundę, i walk absolutnie i nigdy nie możliwych do zakończenia, gdyż one to właśnie stanowią główną podstawę samego życia w tak różnych i bogatych odmianach, jakie spotykamy. W całym szeregu objawów ewolucyjnych życie i śmierć wzajemnie po sobie następują, w niczem nie kłócąc ogólnego piękna i harmonii; tygrys rozdziera człowieka, swego pana rzekomo, a sam bywa

często deptany przez potężne łapy słonia, my wszyscy zabijamy wołu, lub korzystamy z usług konia ujarzmionego, a sami często giniemy od jednego uderzenia rogiem tegoż wołu lub kopyta końskiego, ja hoduję i władam niepodzielnie moim Madziarem, a sam w każdej chwili mogę zginąć od ukąszenia psa wściekłego. We wszystkich tych zjawiskach niemasz miejsca dla zasługi równie dobrze jak i upodlenia.

— A więc okrucieństwo względem zwierząt jest w oczach pańskich równie usprawiedliwione, jako objaw naturalny prawa silnego?—rzuciła Marya, płonąca z oburzenia—a może w dalszym rozwoju pańskich poglądów stosunki tak naturalne ze świata zwierzęcego dadzą się przenieść i między ludzi, usprawiedliwiając całe szeregi gwałtów pojedyńczych i zbiorowych? Ha! teraz muszę już przyznać, że p. Purchała, jako silny plenipotent p. hrabiego, był w swojem prawie, robienia mojej matce największych przykrości i szykan:—bo on działał, instyktownie odczuwając poparcie teoretyczne swojego mocodawcy.

Przy ostatnich słowach powstała gwałtownie i śpiesząc ukryć łzy przepełniające jej oczy pośpiesznie wyszła z pokoju.

Jerzy oniemiał pod wrażeniem słów usłyszanych Nie czuł się winnym ani trochę, lecz jednocześnie

rozumiał, że wybuch Maryi był spowodowany całym szeregiem ciężkich do zniesienia, choć może drobnych w rozmiarach czynów Purchały.

Brońska z Zofją pośpieszyły ze słowami serdecznego usprawiedliwienia tak niemiłego zajścia, składając wszystko na karb wyjątkowego rozdrażnienia Maryi w ostatnich czasach.

Jerzy po niejakimś czasie zdobył się nawet na uśmiech, lecz niemniej czuł, że nie zdoła dłużej tu wysiedzieć, gdzie go tak nagle i niezasłużenie spotkał cios podobny. Szalał w głębi duszy na myśl, że Marya mogła go posądzić o wspólnictwo z czynami Purchały, podjętemi dla wykazania swojej siły, a w następstwie tego, jakże nizkiem, jak wyrafinowanie podłem byłoby jego późniejsze wspaniałomyślne wystąpienie, w celu dalszego utrzymania Brońskiej w Ostrówku.

Rogalski zbliżył się jakby nieświadomie do Jerzego, wiedziony szczerem współczuciem, i zcicha pomrukując coś pod nosem, gwałtownie zaciskał swoje ogromne dłonie. Staś niespokojnie rzucał oczyma po zebranych, nie bardzo rozumiejąc co się stało, a w końcu uznał za najlepsze uścisnąć po kolei wszystkich obecnych. Brońska wyszła niezwłocznie z pokoju, a po jej wyjściu, Jerzy zbliżył się do Zofii z pożegnaniem.

— Żegnam panią, chwila miłego poznania pani będzie mi zawsze wdzięcznem wspomnieniem.

A kiedy go probowała zatrzymać prośbą gorącą— Nie mogę.... pani!—zaledwie zdołał wyjąknąć, i jeszcze raz ukłon składając, pośpiesznie opuścił pokój, a prawie zaraz i Ostrówek.

Powracając do domu Jerzy postanowił jaknajśpieszniej rozstać się z Purchałą, którego postępowanie napiętnowane tak wyraźną i nizką chęcią szkodzenia dzierżawczyni Ostrówka, już tyle razy było dla niego przyczyną przykrości, a dziś—tego gwałtownego wybuchu Maryi, który oparł się najboleśniej, choć najniezasłużeniej, na nim. W tym celu zaraz po powrocie, polecając podanie herbaty do gabinetu, zasiadł przy wielkiem stryjowskiem biurku, by w papierach tam nagromadzonych jeszcze raz uprzytomnić przed sobą cały obraz nieudolnych i pełnych złej woli rządów Purchały. Nie chciał bowiem, by Purchała przypuszczał iż jedynie obrona mieszkańców Ostrówka stała się główną przyczyną jego upadku. O dowody w papierach różnorodnych było nie trudno, i Jerzy już wkrótce na obok leżącym arkuszu spisał cały szereg bardzo poważnych zarzutów.

Podczas przebierania papierów Jerzy spostrzegł jak z jednego zeszytu wypadł list pożółkły i silnie zgnieciony. Z konieczności, nieraz wypadało mu czytać i listy pisane do stryja, a nic nie mające wspólnego ani ze sprawami familijnemi, ani majątkowemi; robił to jednak zawsze niechętnie, jakby z obawy nieuszanowania tajemnic zmarłego.

I teraz podniósł list niechętnie i rzucił na niego okiem, lecz w tej chwili aż drgnął cały zdumiony i treścią i podpisem piszącego. Był to przed dwudziestu kilku laty pisany list przez Anusię Płużycką, która w nim z taką szlachetną dumą przesłała odmowę na propozycyę hr. Szymona wzięcia ją za żonę.

U spodu listu było dopisane ręką hr. Szymona: «zostawić Ostrówek Płużyckiemu tak długo, jak sam zechce», a niżej trochę, był drugi nadpis widocznie znacznie późniejszy: «tenże Ostrówek zostawić w dzierżawie Anny Brońskiej i jej potomstwa na prawach i warunkach dotychczasowych».

Jakże był rad z siebie Jerzy, że nieświadomie jeszcze przed poznaniem tej tajemnej woli zmarłego stryja, wiedziony własnemi pojęciami, postąpił w myśl tej woli, którą uważał za święcie obowiązującą dla siebie.

Jednocześnie w myśli odtworzył sobie ten smutny obraz dotkliwego upokorzenia, jakiego doświadczył

ten jego biedny stryj - magnat, i z najgłębszem współczuciem o tem rozmyślał. Tak, musiał się uczuć dotkniętym ten dumny i zimny magnat taką odmową córki swojego dzierżawcy, a bardziej jeszcze upokorzony wiadomością, że sięgał po rękę panny jednocześnie ze swoim sługą, który jego barwy musiał nosić!

A jednak hr. Szymon zdołał i ból ten i obrażoną dumę ukryć tak szczelnie przed światem, że nikt nigdy o tem się nie dowiedział, a w poczuciu bezwzględnej sprawiedliwości zdołał jeszcze szukać ukojenia dla siebie; Płużyckiego i jego jedyną córkę jeszcze po śmierci starał się otoczyć swoją opieką, a Purchałę, tego równie nieszczęśliwego rywala, znosił przez lat tyle przy swoim boku, co dzień dobrowolnie drapiąc zastarzałe rany.

Jerzy bolał za tego swojego mało znanego stryja i byłby zdolny do wszelkich wysiłków i poświęceń dziś już choćby dla uczczenia tylko jego pamięci i uszanowania woli w jakiejkolwiek bądź formie wyrażonej.

Usunięcie natychmiastowe Purchały wydało mu się aktem słusznej i obowiązującej ekspiacyi; nie potrzebował już teraz wertować dłużej regestry, bo zdobył moralne przeświadczenie o słuszności zamierzonego kroku.

Nazajutrz już rano Purchała został wezwany do gabinetu.

— Panie Purchała,—przemówił wolno i poważnie Jerzy;—nie możemy być dłużej razem w Ługolasach, radbym oszczędzić i sobie i panu przykrości i nie być zmuszonym tłómaczyć się przed panem, co mię skłania do powzięcia takiego postanowienia. Wolę raczej pana zawiadomić, że polecę panu wypłacić roczną pensyę, a oprócz tego jednorazowe wynagrodzenie, którego wysokość będzie już tylko od pana zależną. Jest w tej chwili godzina 9, daję panu dwadzieścia cztery godziny czasu na wyjazd z Ługolasów i jednocześnie zobowiązuję się wypłacić panu za każdą godzinę wcześniejszych wyborów sto rubli. Konie podadzą za dziesięć minut, sześciu mojej służby stanie panu w pomocy przy zebraniu rzeczy, mam więc nadzieję, że będę mógł panu wypłacić za całe dwadzieścia trzy godziny i dla tego żegnam pana, nie chcąc zabierać mu drogiego rzeczywiście czasu.

Purchała stał jak osłupiały, już od pierwszych słów przemowy Jerzego, na twarzy kolejno występował to strach, to jakaś złość skryta, a wreszcie nawet rozradowanie. Przy takich warunkach uwolnienie nie wydało mu się tak smutnem i dotkliwem, jakiemby być mogło przy innych warunkach, a on, sam czuł to dobrze, zasługiwał na te

inne warunki, już choćby za te dwadzieścia z górą tysięcy rubli, które miał rozpożyczone, a które tylko w małej cząstce były owocem oszczędności, a niemal całe—świadectwem niecenzuralnego sprytu i zabiegliwości.

— Wolna wola jaśnie pana, którą ja sługa pośpieszę wykonać niezwłocznie—szepnął pokornie i pośpieszył do swojej oficynki wolno przez pokoje pałacu, a prawie biegiem przez podwórze przedpałacowe.

Wyjechał po upływie niespełna trzech kwadransy i Jerzy uszczęśliwiony swoim dobrym pomysłem, już siedzącemu w bryczce, posłał przez służącego kopertę, w której się mieściło wynagrodzenie—za całe dwadzieśca cztery godziny.

Jerzy powziął myśl zrobiena Rogalskiego głównym swym pomocnikiem i zastępcą zupełnym na przewidywany czas nieobecności, i już zawczasu cieszył się, że będzie miał go blizko siebie, gdyż coraz więcej nabierał dla niego szacunku i przychylności.

Postanowił nie zwlekać z urzeczywistnieniem swego zamiaru i zaraz po obiedzie udać się osobiście do Rogalskiego dla omówienia wzajemnych warunków, gdyż dziś nie oczekiwał przyjazdu jego w służbowym interesie.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy Rogalski, po wysłuchaniu jego propozycyi, stanowczo i bez chwili namysłu ją odrzucił.

— Nie śmiem nalegać na pana, panie Juljanie, ale gdyby się pan zgodził, stanowisko pańskie sądzę byłoby nie gorszem od obecnego, a wynagrodzenie o wiele lepsze.

— Być może, lecz ja, o ile moje zamiary się urzeczywistnią, prawdopodobnie będę zmuszony i moje obowiązki dotychczasowe porzucić, p. hrabio!— bronił się Rogalski.

— A to już mię na seryo zasmuca!—zawołał Jerzy z nieudanem zmartwieniem w głosie i całej postawie—w ciągu tego miesiąca naszej znajomości nauczyłem się cenić pana i łudziłem się, że praca jaką zamierzyłem dla siebie w Ługolasach padnie na nas obydwóch i już tem sam wydawała mi się ona i przyjemniejszą natychmiast i o wiele lepszą w skutkach przyszłych. Dziś zaś pan mi odbierasz swoją pomoc, odbierasz mi zatem w trzech czwartych i ochotę do zamierzonej pracy.

— Proszę wierzyć, że stąd, od pana, nie pójdę nigdzie szukać lepszych warunków—tu było mi i jest bardzo dobrze, lecz..... będę usiłował zacząć pracować na swoim warsztacie czyli, ściślej mówiąc, na cudzym, lecz na własne ryzyko strat i korzyści.

— Ma pan zamiar wziąć dzierżawę?

— Istotnie.

— Czy pan sądzi, że jakaś niewielka dzierżawa będzie w możności zapewnić panu za jego pracę stale tak wysokie wynagrodzenie, jak to, któreby pan mógł otrzymać na stanowisku, jakie mu proponowałem.

— Prawdopodobnie nie; nie łudzę się i pod tym względem, że przy mniejszym dochodzie nieraz trzeba będzie i silniej pracować i więcej się nakłopotać, lecz to wszystko..... już tak być musi.

— A obok tego, p. Juljanie, jest jeszcze jedna przeszkoda i nawet bardzo poważna jak dla przyszłego dzierżawcy,—ciągnął Jerzy z uśmiechem— że pan jest kawalerem; w Ługolasach pocieszalibyśmy się wzajemnie, a tam gdzieś na dzierżawie będzie panu smutno i ciężko nieraz.

— To, co jest dziś, może jutro nie być, i na odwrót—przemówił sentencyonalnie Rogalski.

— To prawda, o tem nie pomyślałem.

Rozmowa się urwała i przez długą chwilę zapanowało milczenie. Obadwaj czuli, że coś ich dzieli w tej chwili, że jest coś ważnego a niedomówionego, co mrozi ich stosunek i robi go nienaturalnym, a jednak żaden nie mógł się zdobyć na pierwszy krok serdecznej otwartości.

Milczenie stawało się męczące.

— Czy nie zechciałby pan mię poznać z częścią swej świty obecnej?—zaproponował Jerzy.

— Chyba ze Swenem tylko, bo reszty nawet i trudnoby znaleźć w tej chwili—uśmiechnął się Rogalski, powstając.

Obejrzał się na olbrzymiego Madziara, który leżał spokojnie u nóg swojego pana.

— Czy pan jest pewny, że Madziar nie zechce być napastnikiem?

— Odpowiadam za niego.

— A więc dobrze, gdyż sądzę że i Sweno będzie mi posłuszny.

Wyszedł, a wkrótce już wracał z towarzyszeniem głośnego radosnego mruku niedźwiedzia, który mu towarzyszył.

Madziar w jednej chwili powstał, groźne kły szczerząc i stając w pozycyi obronnej, lecz niedźwiedź obojętnie zniósł widok i jego i obcego człowieka. Było to młode jeszcze, lecz już zupełnie wyrosłe zwierzę, o burej, równej sierci i śmiesznie niezgrabnych ruchach. Ujęty przed rokiem po zabiciu matki, doskonale hodował się w niewoli, nigdy nie zdradzając swych dzikich, krwiożerczych instynktów; Rogalskiego ruchy i głos zdawał się wybornie rozumieć i był zupełnie posłuszny jego najlżejszemu skinieniu.

— Moj Madziar jest ładniejszy, lecz pański Sweno ma zaletę oryginalności i prawdopodobnie góruje nad Madziarem siłą.

— O tak, zapewne, ile razy ja się z nim borykam, rzadko tylko udaje mi się go wywrócić i zawsze go przytem posądzam, że tak robi tylko przez uczucie grzeczności lub łaskawej względności dla mnie, a ja przecie nie należę do najsłabszych— śmiał się Rogalski.

— No, Sweno, chodź, poprobujemy się!—zwrócił się do niedźwiedzia.

Niedźwiedź mruknął radośnie i stanąwszy na tylnych łapach, niezgrabnie zbliżył się do Rogalskiego; ujęli się wpół i długi czas usiłowali się zmódz we wzajemnym uścisku. Rogalski był o wiele wyższy od niedźwiedzia, i dla tego borykanie się było dla niego trudniejsze, Sweno zaś zawsze mrucząc, jakby ze śmiechem w małych oczach, stał jednak silnie na swych niezgrabnych łapach i rad był zabawę przeciągnąć jak najdłużej.

Lecz trzeba ją było zakończyć ze względu na Madziara, którego Jerzy zaledwie zdołał powstrzymać od rzucenia się na niedźwiedzia, kiedy ten objął łapami Rogalskiego.

Szlachetne zwierzę drżało jak w febrze, i z głuchem, wściekłem warczeniem i ognistym oczu połyskiem śledziło ruchy niedźwiedzia.

— Dość już Sweno, dość na dziś, ruszaj na kanapę!—zakomenderował Rogalski, a niedźwiedź posłusznie rozciągnął się na kanapie, okrytej wilczemi skórami,—ani trochę nie urażony nietaktownem zachowaniem się Madziara.

— Dzielnego masz pan obrońcę, lecz czy pan się nie obawia jakiegokolwiek wypadku?

— Z sobą—stanowczo nie, bo Sweno mię lubi, a co ważniejsza słucha mię nieograniczenie, z obcymi również jestem spokojny, o ile Sweno widzi ich przy mnie, a w każdym innym razie bywa on zamknięty w oddzielnej izdebce, jak teraz w zimie, lub przykuty na mocnym łańcuchu w lecie, ot tam, pod tym klonem. Jest on u mnie już przeszło rok, i nie było dotąd żadnego najmniejszego wypadku; z mojemi psami żyje nawet w doskonałej przyjaźni, sądzę że wkrótce polubią się i z pańskim Madziarem.

Istotnie Madziar, zwolna zbliżył się do kanapy, i ostrożnie obwąchiwał niedźwiedzia. Rogalski z Jerzym podeszli również, Jerzy pogłaskał Swena, który potarł swoj nos o jego rękę, a Rogalski zbliżył łeb Madziara do niedźwiedzia: rekomendacya udała się doskonale i Sweno po chwili, opuścił kanapę, by umieścić się obok nowego znajomego na ziemi. Po kwadransie, kiedy Jerzy z Rogalskim byli zajęci rozmową i zapomnieli o nich na chwilę,

przypomniał im o tem hałas niezwykły. Madziar ze Swenem tażali się po podłodze, figlując z sobą, jak dwa młode psiaki.

— Tak, to w części ratuje moję miłość własną, że muszę pana ustąpić narzeczonej, a raczej jeśli ustąpić ostatecznie to żonie, boć tylko żona zabierze już pana nieodwołalnie—ciągnął Jerzy przerwaną rozmowę;—lecz czy pozwoli pan być mi trochę domyślnym na ten temat?

— Nawet zupełnie, co sądzę i trudnem nie będzie dla pana.

— A więc to panna Marya staje na drodze moich pokrzyżowanych nadziei i planów?

— Chciałbym by tak było, choć pewności jeszcze nie mam; co do mnie jednak, nie sądzę, by panna Marya chciała być w czemkolwiek panu hrabiemu przeszkodą.

— O, niewątpliwie, chęć tu trudno przypuszczać, ale musisz się pan zgodzić, że ma tu miejsce oryginalny tylko zbieg wypadków dla mnie i dla pana wprost przeciwnych. To co jest złem dla mnie, może się stać bardzo pożądanem dla pana.

— Albo też i naodwrót—wtrącił Rogalski.

Jerzy spłonął gwałtownie.

— A to jakim sposobem?

— Cios jaki by mnie mógł uderzyć, może byłby tylko radością dla pana—zrobił uwagę Rogalski,

mówiąc głosem jakimś dziwnie smutnym i jakby złamanym.

— O, to się nigdy nie stanie!—gorąco upewniał Jerzy, i choć na razie czuł, że mówi szczerze, słowa te wkrótce potem wydały mu się głupiemi, a co gorsza i obłudnemi.

— W każdym razie przyjmij pan moje najserdeczniejsze życzenia we wszystkich swych zamysłach i planach powziętych; ja prawdopodobnie wkrótce wyjadę na parę miesięcy z kraju i nie zdążę być w Ostrówku, niech pan moje życzenia przyjmie i dla oddania paniom z Ostrówka. Wszystko, cokolwiek znajdę nowego, po powrocie do Ługolasów, znajdzie we mnie—życzliwą pamięć tego wspólnie i przyjemnie przeżytego miesiąca.

Rogalski oddawał gorący uścisk dłoni i patrzył długo swojemi dużemi, wilgotnemi oczyma, lecz ani jedno słowo nie wyszło mu na usta, które drżały nerwowo. Jerzy czuł aż nadto dobrze doniosłość tej chwili. Czuł dobrze, że teraz tu, przed tym szlachetnym i prawym współzawodnikiem dobrowolnie złożył zobowiązanie usunięcia się z pola walki i zabiegów, że już tem samem uśpił lub odwrócił jego czujność i że w rezultacie tego wszystkiego najlepiej będzie, gdy zapomni przynajmniej na czas jakiś o Ostrówku i.... Maryi. Tak, on doskonale pojmował te swoje nowe zobowią-

zania, lecz obok tego odczuwał przejmującą siebie całego jakąś nową wielką i bolesną pewność, a tą było—uczucie prawdziwej i jasno już uświadomionej miłości dla Maryi.

Tak, teraz, gdy zdobył pewność, że Marya dla niego już nie istnieje, jednocześnie uczuł, że ją kocha i że kochać będzie jeszcze bardzo długo, bez względu na to czem będzie ta Marya dla niego, bez względu na swoją wolę, zamiary i postanowienia.

I to uczucie, które dotąd, gdy miało dla siebie wszystkie drogi otworem, nie zdolne było wyjść ze stanu bierności i nieuświadomienia, teraz gdy na nie i on sam i okoliczności, założyli hamulce i uzdy, gwałtownie przeobraziło się w rwący potok, który gotów był szaleć i burzyć wszystko, cokolwiekby spotkał na swej drodze.

Nieubłagana więc fatalność, dając mu w ręce spadkowy majątek po stryju, dawała i resztę mniej pożądanych darów, bo oto już w pierwszej chwili rzuciła mu na drogę uczucie, które, jak stryjowi jego ostatnią nadzieję podtrzymania gasnącego rodu, tak jemu możność dobrego może urządzenia życia odrazu przecinało.

W domu znalazł dwa listy. Jeden był od ciotki Joanny Nowomiejskiej, w którym mu nadzwyczaj czule przypominała obowiązek częstszego, niż dotąd,

komunikowania się z nią, jedyną krewną najbliższą, dalej starała się pozyskać jego życzliwość dla kilku filantropijnych przedsięwzięć, którym teraz się poświęca, a wreszcie po wielu krętych manewrach pytała nareszcie, czy nie wie, co się dzieje z lokajem ś. p. hr. stryja, niejakim Ludwikiem Neuburgiem, którego ona zna z dobrej strony i dla którego ma bardzo dobre miejsce w arystokratycznej rodzinie. Jerzy gorzko się uśmiechnął po odczytaniu tego niby bardzo dyplomatycznego listu i ciocia Joasia wydała mu się wstrętniejszą, niżli to kiedykolwiek dotąd miało miejsce.

Drugi list był od Ludwika. Donosił on, że grobowiec zamówiony przez Jerzego w Leoninie już jest na ukończeniu, że on sam aż dotąd mieszka w Leoninie, lecz radby jaknajrychlej doczekać się Jerzego, by po zakończeniu z nim rachunków i spełnionych poleceń, niezwłocznie pomyśleć o dalszem urządzeniu swojej przyszłości.

Jerzy odpisał Ludwikowi, że w ciągu dwóch tygodni najpóźniej będzie w Leoninie, a pannie Joannie, że w filantropię może bawić się u siebie na wsi, ile zechce, że więc dla tego nie potrzebuje jeździć do Warszawy i że Ludwik Neuburg, który jest jego szkolnym kolegą, mieszka w tej chwili nad Riviera di Ponente, a następnie jako rentjer

zamieszka sobie gdziekolwiek i sam będzie potrzebował służących, a nie służby.

Ten ostatni dodatek Jerzy już skłamał na prędce, gdyż wiedząc od Ludwika, jakie mu polecenie zostawił zmarły hr. Szymon względem przeszukania tajemniczej szafki w Leoninie, nie wiedział nic jeszcze, czy i o ile to przeszukanie się opłaciło.

Rogalski, wspominając przed Jerzym o zmianie swoich planów i rozstaniu się w jesieni, był najzupełniej szczery, a co ważniejsza miał już pewne prawa do robienia planów na przyszłość, biorąc w rachubę i swój stosunek z Maryą Brońską.

Od sześciu już lat był on stałym i dobrze widzianym gościem w Ostrówku. Poznał Maryą jako bardzo urocze dziecko, które odtąd wzrastało na jego oczach, biorąc z każdym rokiem nowe wdzięki i powaby na swą bujnie wzrastającą postać. Rozwój umysłowo-etyczny Maryi szedł równolegle z jej dojrzewaniem fizycznem, i Rogalski ani się spostrzegł, kiedy panna Mania, jak ją zwykł nazywać, stanęła przed nim jako dojrzała panna Marya w całej potędze i krasie swoich lat dziewiętnastu i doskonale wykształconych zdolności wrodzonych. Odtąd role się między nimi zmieniły i nie ona, jak dotąd, lecz on zaczął grzeszyć nieśmiałością i tak to trwało już lat dwa: widywali się bardzo często, kochali jako rodzeństwo, lecz ani kroku

stosunek się nie posuwał naprzód. Z Brońską mógł Rogalski uważać sprawę tak jakby za załatwioną, gdyż o tem była już mowa niejednokrotnie i kwestye omawiały się nadzwyczaj szczerze i otwarcie, bo dla matki miłość Rogalskiego była aż nadto widoczną, a jego charakter zupełnie wystarczającą rękojmią dla szczęścia ukochanej córki. Marya prawdopodobnie również dobrze wiedziała o tem i milczeniem niejako dawała swoje przyznanie układom, które szeptem zawierane słyszała dokoła siebie.

Lubiła ona Rogalskiego i bardzo przywykła do uścisku jego poczciwej, silnej dłoni i do spojrzenia jego wielkich, melancholijnych oczu. Od lat kilku ta dłoń i te oczy tak się splotły z jej codziennem życiem, ze wszystkiemi uroczystościami i ważniejszemi chwilami skromnego życia w Ostrówku, że spokojnie nieraz myślała o Juljanie, jako o przyszłym miłym towarzyszu wspólnej doli.

Lecz nagle oto zaszła zmiana w usposobieniu dziewczęcia, a oto od owej pamiętnej podróży ze stacyi kolei w powozie hrabiego Hołodaja. Zmianę tę dostrzegła najprzód matka, potem siostra, a wreszcie i sama Marya. W ogólnem jej usposobieniu zapanowała głęboka i częsta zaduma, którą napróżno usiłowała rozproszyć, lub też przyczynę jej zbadać. Aż wkońcu na wszelkie pytania matki

i nawet na swoje własne, które sobie w myśli stawiała musiała dawać jednę, jedyną odpowiedź:— ot przyszło tak sobie skądś, jak chmura wsród pięknego dnia słonecznego, i takąż drogą odejdzie i zniknie wkrótce bez śladu. A jednak miesiąc cały upłynął, i nie odeszło i nie znikło, a owszem to coś wzięło sobie dziewczynę w zupełną i niepodzielną władzę, tak na jawie, jak i w rojeniach snów dziewiczych.

Biedna Marya wpadła w stan zupełnego odosobnienia od swojego otoczenia, nie czując potrzeby ani ochoty do szukania wyjaśnienia swojego stanu nawet wśród najbliższego otoczenia. Jedno tylko uderzyło ją odrazu i odtąd budziło ją ze snu tak dobrze, jak i ostatniem wrażeniem na jawie zostawało: nie kochała Juljana, i wszelka myśl o wspólnej z nim doli poiła ją goryczą niezmierną.

Pobyt siostry i brata podczas świąt i wszystkie połączone z tem rozrywki na chwilę stłumiły ból dotkliwy, lecz niezdolne go były nawet złagodzić. Łagodna zwykle Marya, ku najwyższemu zdumieniu otoczenia, chwilami stawała się kapryśną, a zawsze więcej niż kiedykolwiek skrytą.

Matka patrzała na to z pobłażaniem i za każdą bytnością Rogalskiego dodawała mu energii i odwagi, Zofja nieraz żartem wspomniała o Jerzym, a biedna Marya płaciła te niewinne napaści pło-

miennym rumieńcem i łzami rzewnemi..... w samotności.

Ta walka wewnętrzna nie została bez śladów i na powierzchowności dziewczęcia, które zbladło i spoważniało nad miarę zwykłą. Z wyjazdem Zofii i Stasia życie w Ostrówku zapadło w ciszę zwyczajną, i systematyczną pracę, przerywaną niemal li tylko odwiedzinami Rogalskiego, z którym Marya bywała coraz więcej milcząca i jakby onieśmielona. Rzecz prosta, że takie usposobienie Maryi oddziaływało i na nieśmiałego Rogalskiego, który nieraz godziny całe siedział w zadumie i niemej kontemplacyi. Biedny Juljan czuł coś groźnego dla siebie w tej ciszy i pozornym spokoju, lecz próżno się biedził z poznaniem i wykryciem grożącego nieprzyjaciela.

Marya nareszcie postanowiła wyjść z tego przykrego położenia, które groziło, że przeciągnie się aż do nieskończoności.

Było to przed wieczorem, coś w dziesięć dni po rozmowie Jerzego z Rogalskim na leśniczówce. Rogalski przyjechał do Ostrówka wcześniej niż zwykle i zastał Maryą przy fortepjanie w salonie, grającą bez nut o szarej godzinie.

Przyjazd jego nie zwrócił niczyjej uwagi i nie oderwał Brońskiej od rachunków, jakiemi była za-

jęta w stołowym pokoju przy spółudziale ekonoma i gorzelanego.

Marya nie przerwała również jakiejś smutnej canzonetty, która, w dość monotonnych motywach kilkakroć powtarzając się, zdawała się raczej zajmować palce tylko, a nie duszę grającej.

Przestała grać i powstała od fortepjanu, przechodząc ku niewielkiej kanapce, w rogu pokoju stojącej.

— Potrzebuję pomówić z panem, panie Juljanie, i w moim i w pańskim, blizko nas oboje dotyczącym, interesie.

— Jestem gotów wysłuchać panią.

Marya chwilę milczała, jakby szukając w sobie sił i układając zarysy zamierzonej rozmowy.

— Nie potrzebuję bawić się w skromność i nie wiedzieć o pańskich planach i projektach, jakie pan łączy z dotychczasowem swem bywaniem u nas w Ostrówku, bo kłamałabym i przed panem i przed sobą samą. Przyzwyczajono mię już zdawna do tej myśli, że ja i pan będziemy kiedyś należeć do siebie, i ja..... ja choć milcząca tylko, choć niepytana nigdy oto przez pana.....

— Właśnie pragnąłem w tych dniach oddać wszystko pod ostateczne pani roztrzygnięcie,— wtrącił półgłosem Rogalski.....

— Ja dotąd niejako stwierdzałam mojem zachowaniem się pańskie projekty, dając im prawo bytu i nadzieję urzeczywistnienia. Nie robiłam, jak sądzę, ani źle, ani dobrze.

— Och, nie mów pani, to był nadmiar łaski z twej strony!

— Ani trochę, panie Juljanie, nie może być łaską to, co staje się źródłem uszczęśliwienia dla obojga stron. Kochając pana i godząc się na jego plany, zarówno, jeśli pan chcesz, uszczęśliwiałam pana, jak i siebie samą. Lecz, panie Juljanie, tak widać między nami nie było: czy ja pana nie kochałam, czy też kochałam źle, dość na tem, że dziś z całą szczerością zeznaję, a z bólem prawdziwym zdobywam się na tę otwartość konieczną— ja pana nie kocham i nie czuję się zdolną pokochać kiedykolwiek. Winnam tu jeszcze dodać i to, że żaden czyn pański, żaden pański postępek ze mną, nie są powodem takiego mojego stanu, owszem zdaje mi się nawet, że jestem dziś jeszcze z większą przyjaźnią dla pana, niźli to wprzód miało miejsce, sama myśl o tem, że mogłabym pana nie widzieć, przejmuje mię przykrością niekłamaną, a jednak..... jednak ja pana nie kocham i kochać nigdy nie będę.

Biedna Marya, wymawiając ostatnie wyrazy, niemal wykrzyknęła je i łzami zalała się rze-

wnemi, napróżno usiłując je stłumić od kilku minut.

— Nie płacz że pani, nie płacz, panno Maryo, cóżes ty winna temu, takie już widać przeznaczenie dla mnie!—pocieszał Rogalski głosem zdławionym i ledwie dosłyszalnym, puszczając się w nieskończoną bezładną wędrówkę po półciemnym salonie.

Aż wreszcie przystanął, ujął obie dłonie płaczącej dziewczyny, i tuląc je w swoich olbrzymich rękach serdecznym uściskiem, pocieszał strapioną.

— Nie winnaś nic pani, to dola moja winna, dla mnie dość już i tego, że tyle lat twój obraz pieściłem w sercu i myśli, i dziś poniosę go wiernie tam wyrytym i na zawsze jedynym, a to mi musi już wystarczyć na całe życie, a pani bądź szczęśliwą, jak na to zasługujesz.

Gwałtowne łkanie Maryi nie ustawało, owszem zdawało się zwiększać od bólu głębokiego tych kilku słów prostych.

— Czy pan mi zdoła ten cios, który panu zadaję, kiedykolwiek przebaczyć?—pytała Marya.

— O przebaczeniu nie może być mowy, tam gdzie niema złej woli i winy; nie może być mowy o przebaczeniu, gdy jedna ze stron kochać przestaje, bo nikt być za to odpowiedzialnym nie może, jak mniej jeszcze i za niedotrzymanie jakichkolwiek bądź zobowiązań tej natury, tembardziej, tak

idealnie domyślnych tylko, a nie rzeczywistych, jak to miało miejsce między nami. Panno Maryo, jesteś pani wolna, w myśl i moc najświętszych i niczem nie skażonych praw ci przysługujących. Ja pani, tu klęcząc, jeszcze raz dziękuję za przeszłość i proszę o kartkę pamięci choćby na krótką przyszłość.

I ten biedny olbrzym, istotnie ze czcią niekłamaną, uchylił kolano i ucałował ręce dziewczęcia, które w płaczu tylko mogło szukać ulgi dla siebie.

Nie spostrzegła nawet, kiedy odszedł, nie słyszała jego odjazdu, aż głos matki dał się słyszeć w ciemności.

— Manieczko, gdzieżeś? dla czego siedzicie państwo w ciemności?

— Mamo, to ja sama, tu więcej niema nikogo.

— A gdzież pan Juljan?

— Odjechał, matuchno,—i chyba już nigdy nie wróci—żaliło się dziewczę, zarzucając w ciemności ręce na szyję matki.

— Dla czego, dziecko? dla czego nie wróci, on cię tak przecie kocha?

— Ale ja go kochać nie mogę, i właśnie powiedziałem mu to przed chwilą.

— Dziecko drogie, czy nie pożałujesz tego nigdy?—pytała Brońska oddając uścisk.

— Nie, mamo, płaczę już dziś, lecz żałować nigdy nie będę.

— Więc któż zajął serduszko mojej córeczki? któż jest powodem nieszczęścia pana Juljana, którego ja bardzo serdecznie żałuję?

— Jeszcze nikt, mamo, i może..... nigdy nie zajmie, ale dla mojego spokoju, dla moich nawet pojęć o uczciwości tego było potrzeba, bym była wolna zupełnie, kiedy go znowu zobaczę.

— Kogoż to?

— Pana Jerzego, matuchno,—szepnęła dziewczyna.

Brońska boleśnie westchnęła i długą chwilę milczała.

— Nic ci nie powiem, drogie dziecko, lecz i ja z tobą płakać będę, że pan Juljan odjechał na zawsze.

— Stryj pana Jerzego zrządził mi wielką obelgę przed laty, która mi i dziś żywo stoi w pamięci, prawda że pan Jerzy jest do niego zupełnie niepodobny, lecz dziecię, pan Jerzy i ty—to źle podług świata dobrana para, a tego świata od głosu odsądzić nikt nie zdoła. Ale nie myślmy o tem, wszystko to przyszłość okaże, może i pan Jerzy ciebie już kocha, bo dla czegożby i nie miał cię pokochać, moja ty dziecino droga!

— Ale, ale! mam tu list przecie od niego, który tu niosłam w nadziei, że znajdę światło; chodźmyż go więc przeczytać w stołowym pokoju.

I obie pośpieszyły do oświetlonego pokoju.

Jerzy przesyłał tylko kilkanaście wyrazów, jako ceremonialne pożegnanie, przed wyjazdem za granicę.

— «Za godzinę wyjeżdżam za granicę, nie wiem jak długo zabawię; raczy pani w interesach Ostrówka porozumiewać się z p. Rogalskim, który czasowo zastąpi i mnie i usuniętego p. Purchałę. Powrót moj do kraju w znacznej mierze będzie zależnym od odzyskania równowagi, którą straciłem w ostatnich czasach na nowem dziedzictwie. Mam honor e. t. c.».

Marya blada, jak papier tego listu, który odczytała, stała nieruchoma przed matką.

— Mamo, może już on tu do nas nigdy nie wróci?

— Wróci, dziecino, wróci, jak skoro tylko zapomni o tych twoich przyostrych cokolwiek słowach, jakie mu najniesłuszniej powiedziałaś wtedy, pamiętasz?

— Na nieszczęście, pamiętam—szepnęła Marya, ale teraz już oczy miała suche, choć gorącym blaskiem płonące.

— Lecz mamo, czy ty mnie rozumiesz?—ciągnęła głosem, w który zdawała się wlewać całą siłę

swojego przekonania,—czy wierzysz, że, starając się o wyjaśnienie mojego stosunku z panem Juljanem, ja ani na jednę chwilę nie miałam jakichkolwiek nadziei i widoków? czułam, że go nie kocham, tak jak on może i miałby słuszne prawo się spodziewać, i ta okoliczność wskazała mi tę smutną, lecz konieczną drogę obowiązku; o panu Jerzym, o hrabi Hołodaju nawet nie pomyślałam wtedy ani na chwilę. Mamo, ty musisz wierzyć twojej córce, bo ona musi być godną ciebie;—czy prawda? odpowiedz jedyna!

— Wierzę ci, moje dziecko, a nawet powiem więcej, boleję wraz z tobą, gdyż rozmowa taka z panem Juljanem musi cię boleć nie mało, lecz dziecię, zrobiłaś, jak byłaś powinna, a bóle i troski czas wkrótce zagoi i wróci mi moję Marychnę taką, jaką była mi dotąd na moję pociechę.

Marya przytuliła się do matki w serdecznym i tkliwym uścisku, i tak się trzymały długą chwilę w milczeniu, świecąc oczyma, z których łzy lada moment miały wytrysnąć.

— Co się zaś tycze pana Jerzego, nie powiem, bym go nie szanowała i nie miała dlań życzliwości, lecz, dziecię, pamiętaj, że jego majątek i nazwisko, jakkolwiek nam one nie imponują i sam on nie zdaje się cenić je po nad miarę istotnej wartości, dają mu jednak ogromne prawa i przywileje

w społeczeństwie; któż zaręczy, że one go nie złudzą i nie poprowadzą na drogi, na których niema miejsca dla biednej, choć dobrej, inteligentnej i ładnej panienki?

— Matuchno droga!—ja nigdy i żadnych planów nie tworzyłam na przyszłość ze współudziałem hrabiego Hołodaja, choć.... muszę wyznać ci otwarcie, że pan Jerzy podobał mi się tak, jak nikt dotąd; lecz matko, przysięgam ci, że nawet sercu milczeć każę, dopóty..... dopóki ty sama mi nie powiesz, że ono przemówić będzie mogło.

— Dziękuję ci, Marychno, na tymczasem proszę cię o jedno, nie wiąż tego imienia do twoich marzeń dziewiczych, a co tam później będzie, to będzie, a dziś ja boję się o złudzenia i zawody dla ciebie, którebyś boleśnie później musiała opłacić, może całemi latami goryczy.

— Dobrze, mamo, zapomnieć nawet się postaram o istnieniu tego pana na świecie, nie będzie to trudnem, gdyż zapewne nie prędko wróci do kraju.

I na tem rozmowa pomiędzy matką i córką skończyła się i skończyła na zawsze. Obie zgodnie, choć bez uprzedniego porozumienia się omijały odtąd starannie wszystko, cokolwiekby im mogło nasuwać drażliwe wspomnienia.

Juljan wrócił do swojej samotnej leśniczówki pozornie spokojny, po rozmowie z Maryą, odtąd czuł jednak straszną, bezgraniczną próżnię dokoła siebie; której ani obowiązki ani żadne rozumowania na chwilę zapełnić nie zdołały. Machinalnie codzień dwukrotnie wyruszał do lasu, wydawał rozporządzenia straży leśnej, dozorował cięć leśnych, energicznie przez kupców prowadzonych, i znowu wracał do siebie, do swojej samotności i bólu, który go szarpał choć nie gwałtownie, ale w ciągłem i bezwzględnem władaniu, jakie nad całą jego istnością rozpostarł.

Jako przeciwdziałanie nie przybywał mu w pomoc ani jeden zarzut, któryby mógł zrobić tej tak silnie ukochanej dziewczynie, ani jedna chwila doznanej goryczy z całego z nią stosunku; może by wtedy gniew nim wstrząsnął silny, a w jego wybuchach stopiły się te żary, które odczuwał, możeby wtedy na drodze refleksyi myślowej mógł skuteczniej walczyć z własnem uczuciem. Nic a nic zgoła z tego wszystkiego. Kochał Maryą ani trochę nie mniej, niż przedtem, owszem uczucie to przybrało właśnie tem silniejsze i wyraźniej zakreślone linje z chwilą, gdy się dowiedział, że Maryą musi uważać za straconą. Znał ją dobrze i nie łudził się w tłómaczeniu tego «na zawsze»,—było ono aż nazbyt pewnem i niewzruszonem.

W kilka dni później przyszło mu na myśl, że ból jego nie uwalnia go jednak od obowiązków uczciwości względem Jerzego. Domyślał się on już od czasu wilii wspólnie spędzonej w Ostrówku, że Marya zrobiła silne wrażenie na Jerzym, a rozmowa, jaką z sobą prowadzili tu na leśniczówce, utwierdziła go w tych domysłach. Czuł również, że Jerzy dobrowolnie i świadomie zszedł mu z drogi i myśl ta drażniła jego miłość własną niemało, lecz zwyciężył się i przyjął tę ofiarę, bo wierzył, że dla hrabiego Hołodaja Marya Brońska mogła być za małą partją. Nie miał prawa posądzać Jerzego tylko o chęć igraszki bezmyślnej, a co ważniejsza nie mógł na chwilę zwątpić o Maryi, by ona mogła stać się ofiarą igraszki, lecz mimo to wszystko rad był, gdy Jerzy dał mu do zrozumienia, że wizyty swoje w Ostrówku zmniejszy aż do granic koniecznych.

Dziś jednak, kiedy jego stosunek do Maryi już na zawsze został, niestety, zbyt jasno i smutnie określony, czuł się zobowiązanym natychmiast zawiadomić o tem Jerzego, by tem spłacić dług szlachetnej delikatności względem niego. Żadne wątpliwości ani rozumowania, które mu gwałtem rodziły się w myśli w coraz to nowej postaci, nie zdołały go przekonać, że taki czyn z jego strony nie jest konieczny, niemniej jednak nie czuł w so-

bie dość sił i energii dla rozmowy z Jerzym o tej sprawie.

I tak schodziły dni za dniami, aż wreszcie stary Onufry przyniósł mu raz wieść o wyjeździe Jerzego.

Biedny Rogalski uczuł się tą wieścią nad wyraz dotkniętym. Pojechał natychmiast do dworu i tam dowiedział się, że hrabia wyjechał na czas dłuższy i prawdopodobnie za granicę, i że z Warszawy przysłał jakieś papiery pod jego adresem.

Oddano mu też pakiet niezwłocznie. Była to obszerna i bezterminowa plenipotencya do zarządu Ługolasami a obok tego długi list, w którego kilkunastu oddzielnych pozycyach hrabia obowiązująco go prosił o zarządzenie wskazanych robót i urządzeń administracyjnych. Adres dla porozumiewania się w interesach był wskazany do Monte-Carlo.

Rogalskiemu nic nie pozostawało, jak przyjąć to nowe brzemię na siebie, i dzięki temu na czas jakiś był on zmuszony wyjść ze stanu zasklepionego, osobniczego bólu i odrętwiałości.

VII.

W drugiej połowie lutego Jerzy już był w Leoninie.

Z owiniętych w śnieżne spowicia lasów Podlasia w ciągu trzech dni wjechał w kraj wiecznej wiosny, która w tej porze kwitła tu najpiękniej, jakby się dostrajając do karnawału, jak wszędzie, tak i tu nad Rivierą, szumnie obchodzonego przez setki rozprózniaczonych przybyszów, zbiegających się z całej Europy. Jakże dziwnym i gorzkim wydał się Jerzemu w pierwszych chwilach ten pobyt wsród rozbawionego i ukwieconego tłumu! Ta olbrzymia zieloność, te tysiące kwiatów, które widział dokoła siebie, wydały mu się aż banalnemi, gdy na nie patrzał, myślą i wspomnieniem biegnąc do swych Ługolasów. Wieczna zieloność życiodrzewów, oliwek i wawrzynów jakże gorzką były igraszką dla jego zbolałej duszy, na dnie której były już pogrzebane niedawne złudzenia, a szał ostatnich dni karnawału—dziką orgią, którą sobie sprawiały setki dla urągowiska miljonom całym. Ten sam tłum, który biegł wieczorem do sal gry i tam trawił się gorączką złota i żądz najbrudniejszych, teraz w godzinach popołudniowych bawił się po dziecinnemu, ze swawolą i ożywieniem, tonąc wśród gradu kwiecia i cukierków. Bezzębny starzec, anemiczna kokotka, grający o ostatnią życia stawkę przeżyty młodzieniec, byli tu razem, wszyscy zgodnie składając hołd zwyczajowi i. ... może wewnętrznemu swojemu usposobieniu, bardzo zbliżonemu do uspo-

sobienia skazańców. Zawsze i wszędzie uczta przed skonem!—to hasło wieku przecie.

A w Leoninie za tym małym nagrobkiem z białego marmuru, poświęconym pamięci dziecięcia, stanął wspaniały grobowiec z czarnego marmuru z białemi obrzeżkami i płaskorzeźbą hr. Szymona; obadwa były spowite w tysiączne sploty bluszczów rozmaitych odcieni.

Cicho i poważnie płynęło życie mieszkańców willi. Ludwik i stary kozak, jedyni jej mieszkańcy, rzadko tylko zstępowali z góry, by na chwilę z konieczności utonąć w wirze gwaru ludzkiego, snującego się u podnoża, na wybrzeżu morza. Przyjazd Jerzego w niczem nie wpłynął na zmianę trybu życia. Ludwik, ciągle w jakiemś ponurem i melancholicznem usposobieniu pogrążony od śmierci hr. Szymona, nadawał się doskonale do towarzystwa Jerzego.

Całemi też godzinami siadywali na najwyższym punkcie tarasami wznoszących się wzgórz posiadłości Leonińskiej, gdzie spiętrzone głazy to czerwone, to szare, świeciły obnażone na tle najbliższej, bogatej roślinności.

Jerzy napróżno od przyjazdu zaraz rozpoczął pracę nawracania Ludwika, niczem nie zdołał go przekonać o konieczności powrotu do kraju i roz-

poczęciu tam nowego życia, nic nie mającego wspólnego z przeszłością.

Zadanie stawało się tem łatwiejszem, że hr. Szymon we wskazanej kryjówce pod rogiem obfitości zostawił Ludwikowi przeszło sześć tysięcy luidorów w złocie.

W ciągu kilkunastoletniej gry swojej stary hrabia aż tyle zdołał wygrać, starannie zachowując wygrane pieniądze w oddzielnej kryjówce.

Lecz czy zadanie podjęte było nad siły Jerzego, czy też apatja w jakiej był pogrążony Ludwik, była zbyt silną, dość że wszystkie starania nie obiecywały jakichkolwiek bądź rezultatów.

Zarówno w usposobieniu jak i w powierzchowności nawet Ludwika od śmierci hrabiego Szymona zaszły ogromne zmiany. Przez te kilka miesięcy życia niezależnego i niemal zupełnie odosobnionego w Leoninie, żył on sam z sobą, a ściślej mówiąc, z całym rojem nowych uczuć i myśli, które powstały w skutek ostatnich wypadków. Dni całe spędzał on w rozważaniu swojego położenia, które dając mu pewne ułatwienia życiowe, jednocześnie zrodziło rany i bóle, które dotąd były dla niego obce. I snadź długie i smutne były te godziny samobadania, snadź i w rozpatrzeniu stosunku swojego do otoczenia nie znalazł on żadnego oparcia dla siebie, bo w całej powierzchowności nosił na

sobie ślady mocnego znużenia, jakby otrętwienia, a na twarzy, z której znikły resztki przeszłej służalczej układności, jako gość stały rozsiadł się bolesny i ironiczny uśmiech.

W dni kilka po przyjeździe Jerzego siedzieli obaj o zmierzchu na głazach granitowych, w jednem miejscu o jakie trzysta kroków od domu spiętrzonych w masie bezładnej, a pięknej zarówno swoją dziką martwotą, jak zwojami mirtów i bluszczów, któremi były otoczone ze wszystkich stron.

Wieczór był cichy i ciepły. Przed sobą mieli wielką taflę morza, na którą wschodzący księżyc rzucał słabe jeszcze blaski srebrzyste.

Lecz morze tu nie przerażało i nie imponowało swą bezbrzeżnością na horyzoncie, gdyż i z prawej i z lewej strony wzrok spotykał liczne światła, to grupami całemi, to pojedyńczo, rozsiane; były to ognie Nizzy i Monte-Carlo z jednej, a Ventimiglii i Mentony z drugiej strony. Nawet na morzu samem liczne świeciły lampjony, któremi były przystrojone łodzie lubiących wieczorne spacery.

— Ładnie tu, ani słowa,—przerwał milczenie Jerzy,—lecz czy uwierzysz, że cały ten raj tutejszy wydaje mi się jakimś dusznym i ciężkim, zdaje mi się, że nawet roku nie zdołałbym tu wytrzymać i uciekłbym do swoich lasów, łąk, a nawet błót, bo i na tych wspomnienie jakaś tęsknota mię ogarnia.

— Wierzę wam, kolego, lecz szczerze wyznać muszę, że takiego stanu ani pojąć ani odczuć nie mogę.

— Jakto, więc w twojej piersi nie żyje miłość rodzinnych, ojczystych zagonów, które nawet szare i ubogie powinny być nam droższe nad wszystkie czary Riviery? Czyż serce twoje nie ścisnęło się jakąś tajemną tęsknotą, gdyś te zagony opuszczał, a czyż znowu nie zabije goręcej na ich widok?

— Nie, nie i nie—oto macie trzy odpowiedzi jednakie na wszystkie trzy wasze pytania, lecz muszę tu dodać jeszcze kilka słów objaśnienia.

Wszak wiecie dobrze, że urodziłem się w Szwajcaryi i tam mieszkałem do dziesiątego roku życia, a potem już zabrano mnie do Warszawy.

Powiedźcie mi tedy, który z dwóch tych krajów, Szwajcarję czy Królestwo Polskie mam uważać za swoją ojczyznę dziś, kiedy mam czas o tem pomyśleć już samodzielnie, bo dotąd nikt mi o tem nigdy nie wspomniał, a ja sam ani będąc dzieckiem-uczniem, ani później gdy lata całe chodziłem w liberyi, myśleć ani umiałem, ani mogłem.

Jerzy na razie nie wiedział co odpowiedzieć, gdyż z poczucia delikatności obawiał się dotknąć jakiegoś miejsca drażliwego, a nawet bolesnego.

Ludwik ciągnął dalej:

— Ojczyzną dla każdego z nas nie jest jakiś szmat ziemi, gdzie się rodzimy, lub gdzie przygodny chleb znajdujemy, lecz ten kąt, z imieniem którego łączą nas tradycye, ludzie, radości, smutki, a nawet i groby. Mnie nic podobnego ani ze Szwajcaryą ani z Królestwem Polskiem nie wiąże. Bez rodziny, bez przyjaciół byłem i tu i tam, zawsze wśród obcych, którzy przez pierwsze lat kilkanaście wprawdzie mię karmili, ubierali a nawet i uczyli, lecz jednocześnie każdą godzinę tych lat dzieciństwa goryczą zatruli, a w następstwie brali mą pracę za pieniądze, których żądałem, zawsze jednak przydając pogardę i szyderstwo w dodatku, choć ich o to nie prosiłem. Nigdzie więc nie zaciągnąłem żadnych obowiązków, bo nigdzie mi nie przyznano tych praw, których posiadaniem cieszy się każdy najuboższy wyrobnik obu krajów. Czy prawda?

— Muszę ją przyznać, niestety, z tem jednak zastrzeżeniem, że taki stan trwał dotąd, lecz teraz kiedy dzięki pewnym środkom masz już względną swobodę i niezależność, powinieneś rozpocząć życie na nowo.

— Zapóźno to trochę co prawda, lecz będę próbował; nie oto mi jednak idzie w tej chwili, powiedźcie mi raczej, jaka jest rozumna przyczyna bym wśród was, polaków, szukał ojczyzny dla siebie?

— Już choćby w pamięci na mojego stryja leżeć ona powinna, który, jak sam powiadasz, w ostatniej chwili życia wiele uczucia dla ciebie okazał.

— A więc jego prochy mam tu, w Leoninie, i moję wdzięczność najlepiej wyrażę, gdy zostanę tu i od czasu do czasu przyjdę je uczcić łzą szczerego żalu, nie potrzebuję więc jechać razem z wami, jakkolwiek tak życzliwie i serdecznie mnie zachęcacie.

— A więc, Ludwiku, daruj mi proszę, lecz muszę tu wspomnieć o ostatnim i zdaje mi się decydująco silnym argumencie—ty masz przecie matkę, która jest polką i mieszka w Warszawie. Czyż cię nic do niej nie ciągnie i czyż jej ojczyzna nie powinna zostać i twoją?

Jerzy powiedział te słowa głosem silnie wzruszonym i zamilkł w oczekiwaniu odpowiedzi, lecz tej przez czas długi nie było. Ludwik siedział z twarzą w dłonie ukrytą i zdawał się nawet nie słyszeć jego pytania. Płakał.

Dopiero po upływie kilkunastu minut przemówił głosem zbolałym, w którym jednak coraz bardziej przebijał się gniew silny i dotkliwa ironja.

— Tak, hr. Szymon wskazał mi matkę, lecz mi jej nie dał, a ja.... ja..... myślałem czas jakiś, że ją

sam odnajdę i..... chorowałem poprostu, tej chwili czekając.

Mówiłem wam już, że tą matką jest znana w Warszawie hr. Joanna Nowomiejska i dla tego to ja otrzymałem w Szwajcaryi nazwisko Neuburg. Był to jej pierwszy i jedyny dar dla mnie, za który jednak nie czuję żadnej wdzięczności. Kiedy zostałem sam w Leoninie po pogrzebie hr. Szymona i dokładnie poznałem treść zostawionych mi przez niego papierów, zwróciłem się listownie do tej mojej matki, uważałem to za lepsze i, jak się okazało, bardzo słusznie. Rrzecz prosta, w moim liście nie mogła ona znaleść tego głosu miłości i przywiązania, jakim tchnie list dobrego syna, bo zkądże taki głos miał się wziąć u mnie, lecz to pewna, że powinna tam była widzieć gorącą i silną chęć z mojej strony, bym głos taki w przyszłości mógł z siebie wydobyć. Powołałem się na papiery, które mam w ręku, doniosłem, że jestem od niedawna dość zamożny, by niczego, prócz serca, od niej nie potrzebować, a owszem ofiarowałem cały mój majątek do jej rozporządzenia, a w końcu błagałem o telegraficzną odpowiedź na moj list. Czekałem cały miesiąc i..... otrzymałem jej własnoręczny list.

Czy wiecie z jakim nagłówkiem był ten list?— «Kochany panie Ludwiku!» Pisała mi, jak jest jej przykro, że zła wola innych lub też osłabienie

umysłowe w ostatnich latach życia hr. Hołodaja, spowodowały tak przykre i ubliżające dla niej nieporozumienie, rzucające plamę na jej pięćdziesiąt lat nieskalanego dziewictwa. A ja jestem w posiadaniu mojej metryki chrztu, gdzie jest wspomniana jako moja matka panna Neuburg, a obok tego notarjalnego świadectwa, w którem trzech, do dziś żyjących świadków poważnych stwierdza, że ta panna Neuburg była w rzeczywistości hrabianką Joanną Nowomiejską, przyjezdną z Austryi.

Pisała mi dalej, że ona współczuje mojej doli sierocej, że już kilkakrotnie modliła się na intencyą jej poprawy i mnie to samo robić jak najczęściej zaleca, że ma nawet dla mnie wiele życzliwości, którą gotowa stwierdzić w każdej chwili, o ilebym kiedykolwiek potrzebował jej protekcyi, ze mi nie radzi jednak wracać do Warszawy, gdziebym się potrzebował na każdym kroku wstydzić mojej przeszłości. W końcu wyraziła swą radość z powodu dobrego stanu moich interesów, nadmieniając, że powinienem wyrazić swą wdzięczność za tak łaskawą opiekę opatrzności nademną i przeznaczyć dla biednych jednorazowo lub corocznie pewną kwotę, której rozporządzenie ona może przyjąć na siebie, jako stale poświęcająca się sprawom miłosierdzia.

Ludwik po tych słowach zamilkł.

— Biednyś ty, biedny!—z serca wykrzyknął Jerzy, który kilkakrotnie zrywał się gwałtownie z miejsca, na którem siedział podczas całego tego opowiadania.

— A więc teraz się pewno zgodzicie ze mną, że jak nie miałem, tak nie mam matki, i że jej ojczyzna nie może być moją ojczyzną, a chyba raczej—ciężkiem wygnaniem.

— Nie pytaj mię już, Ludwiku, gdyż czuję, że w tej chwili nie zdolny już jestem nawet myśleć o tem. Pomówmy raczej o tem, co z sobą robić zamierzasz i czy nie mogę ci być w czem pomocnym; zrobiłoby mi to wielką ulgę, a jest moim najświętszym obowiązkiem.

— Dziękuję wam i skorzystam z waszej dobroci.

— Służę ci wszystkiem, co mam do rozporządzenia.

— Pozwólcie mi mieszkać w Leoninie, a raczej oddajcie mi tę posiadłość w dzierżawę.

— Na pierwsze zgadzam się jaknajchętniej, o drugiem nie powinno być i mowy; możesz tu uważać się za gospodarza tak długo, jak tylko sam tego chcieć będziesz. Lecz powiedź mi proszę, co zamierzasz.

— Zostać ogrodnikiem. W Leoninie jest tu niemal cały hektar przestrzeni, stryj wasz nabył tę posiadłość głównie dla jej wyjątkowego odosobnie-

nia i nabył nie drogo dzięki temu, że leży ona przy samym pasie granicznym, wskutek czego bardzo często przez jej granice prowadzi droga dla kontrabandzistów i ścigających ich żandarmów. To odstraszało wszystkich, lecz nie odstrasza mnie. Ja sądzę, a sąd mój opieram na kilkomiesięcznych spostrzeżeniach, że te przejścia kontrabandzistów nie wiele mogą być szkodliwe dla jakichkolwiek plantacyj tu założonych, a wcale nic dla ich założyciela, o ile ten nie zechce być ich wyraźnym nieprzyjacielem.

— Choćby nawet i tak było, lecz cóż ty tu mozesz uprawiać na tym małym kawałku, w połowie pokrytym skałami?

— Mówi przez wasze usta właściciel kilkunastu tysięcy morgów ziemi, a tu jednostką miarodajną dla tutejszych stosunków nie jest ani mórg, ani nawet sążeń kwadratowy, ale każda stopa tej żyznej i korzystającej z tak świetnych warunków klimatu i położenia handlowego ziemi A tu wśród tych skał takich stóp znajdzie się bardzo wiele, a wszystkie bez wyjątku zdatne pod uprawę oliwek, róż, konwalij i fijołków, i dla mnie to wystarczy najzupełniej.

— Ależ bierz to wszystko, mój drogi, bierz i korzystaj, a ja ci tylko wdzięczność winien za to będę.

Niech Maksym jak dotąd i nadal będzie ci pomocnym.

— O nie, tego nie róbcie, owszem Maksyma uwolnić proszę natychmiast, wszak on dla was, ze względu na groby, niepotrzebny, gdyż ja o nich staranie mieć będę, a gdyby został przez was zmuszony cierpielibyśmy tylko obadwaj: on z tęsknoty, do tej nowej sadyby, którą mu przeznaczyliście tam w Ługolasach, a ja—zazdroszcząc jemu tej tęsknoty. Lepiej mi tu będzie samemu z mojem piętnem paryi.

— Wstydź się, Ludwiku, jesteś jeszcze młody i całe życie masz przed sobą, czyż godzi się tak słabo ufać samemu sobie?

— To smutna konieczność; czyż nie uznał tego i wasz stryj, który chcąc mię obdarzyć, użył w tym celu pieniędzy z tej jaskini gry i rozpusty zaczerpniętych?

— O, co do tego, to już stajesz się nawet niesprawiedliwym. Jestem przekonany, że stryj mój te pieniądze uważał za tak dobre, jak i każde inne, a że obdarzył cię w ten, a nie inny sposób, łatwo zrozumieć, jeśli się weźmie na uwagę, jak bardzo on przez całe swoje życie zwracał uwagę na poszanowanie dla herbownej tarczy Hołodajów, której on jeden czuł się silnym filarem. On przewidywał, że hr. Joanna Nowomiejska może się ciebie zaprzeć przed światem, więc gdyby ci coś przeznaczył w testamencie, świat ten możeby na jego pamięć rzu-

cił niecne posądzenie, a na myśl podobną jego duma magnacka musiała ścierpnąć boleśnie i taką drogę wskazać mu jedynie.

— Ha! może i macie słuszność, gdyż łatwiej wam odczuć i odgadnąć postępowanie człowieka ze sfery, do której jeśli nie uczuciem i poglądami, to warunkami życia należycie.

I ostatecznie wszystko ułożyło się tak, jak chciał Ludwik. Stary Maksym rozpłakał się, jak dziecko, na wiadomość, że wróci z panem do Ługolasów i osiądzie w nowo dźwigniętym Szymonowie. Kiedy mu Ludwik żartem zaproponował dość wysokie wynagrodzenie, aby został i nadal w Leoninie, starzec zrazu rozgniewał się okropnie, a później śmiał się długo i szczerze, powtarzając:

— Moje wnuki będą mię ciągały za wąsy, a kości moje złożą w świętej ziemi rodzinnej—to trochę więcej dostanę, niźli pańskie pięćset franków rocznie.

Po tym układzie z Ludwikiem, Jerzy zamierzał natychmiast opuścić Leonin i na ten raz udać się na czas jakiś do Anglii w celu poznania tamtejszych gospodarstw wzorowych, lecz zatrzymała go wiadomość podana przez Ludwika, że Görgöly już od miesiąca bawi w Monte-Carlo i kilkakrotnie przed jego przyjazdem przychodził do Leonina, by się dowiedzieć, kiedy on jest oczekiwany.

To zatrzymało Jerzego, który zawsze czuł przyjaźń prawdziwą i wdzięczność dla niego. Postanowił też niezwłocznie odszukać przyjaciela, a to tem bardziej, że w głębi ducha żywił niejaką nadzieję, że łatwo dający się namówić Andrzej w tym wypadku najniespodziewaniej mógłby zostać jego towarzyszem w zamierzonej wycieczce do Anglii.

Lecz odnalezienie Görgöly'ego okazało się trudniejszem, jak to Jerzy przypuszczał. Szukał go wszędzie, gdziekolwiek mógł przypuszczać, że jego bogaty przyjaciel zwykł bywać, i wszędzie obecność jego nad Rivierą stwierdzano, lecz nikt nie umiał wskazać miejsca zamieszkania. Tak samą Nizzę, jak i Monte-Carlo, z całym szeregiem will i hoteli objechał po kolei, kilkakrotnie w różnych porach dnia wychodził na miejsca ulubionych i modnych przechadzek, aż wreszcie, choć z wstrętem zajrzał kilka razy do salonów gry,—nigdzie Andrzeja nie znalazł. Nakoniec już w trzecim dniu tych poszukiwań wypadkiem młoda kwieciarka, z którą wdał się w rozmowę, wskazała mu niewielki domek, leżący samotnie wśród wzgórz i gajów, przy drodze wiodącej z Monte-Carlo do Mentony, mniej więcej w kilometrowej odległości od Leonina.

Jerzy był niesłychanie zdziwiony tem nowem dziwactwem przyjaciela, bo tak musiał uważać to

odosobnienie się tego typowego hulaki i światowca w tak skromnem zaciszu.

Ponieważ ranek był piękny i ciepły, postanowił niezwłocznie odwiedzić Andrzeja. Domek łatwo poznał z opisu kwieciarki. Obecność na ganku domu olbrzymiego doga tybetańskiego utwierdziła go w mniemaniu, że dobrze trafił: pies już na pierwszy rzut oka zdradzał swoje blizkie pokrewieństwo z jego Madziarem.

Wspaniałe zwierzę nie ruszyło się z miejsca na jego widok, ale bacznie obserwowało przybysza, podczas gdy ujął za klamkę. Wybiegł służący, huzar, w narodowym dolmanie i oświadczył Jerzemu, że pan jeszcze śpi, lecz zaraz wstanie, gdyż nigdy dłużej nie sypia, o ile nie spędza całej nocy po za domem.

Na takie zapewnienie Jerzy wszedł do domu i rozgościł się w skromnym saloniku. Czekał niedługo, wnet usłyszał głośne okrzyki przyjaciela, a za chwilę wpadł do pokoju Görgöly, w szlafroku na prędce narzuconym.

Powitanie przyjaciół było zobopólnie gorące i radosne.

— Nie prawdaż, dobrze się ukryłem?—zapytał Andrzej po wymianie uścisków.

— Nieźle, choć, jak widzisz, ja umiałem cię i tu odnaleść.

— Ale cóż za powód tego życia pustelniczego, czy też nawet ukrywania się?

— Dziesięć, nie jeden, ale o tem później, siadaj oto, lub kładź się tu na otomanie, jak ci wygodniej, wnet nam dadzą kawę i cygara, a ty mi opowiadaj szeroko i długo o swem nowem dziedzictwie, swoich zamiarach i wielu innych skutkach, które muszą nastąpić albo już nastąpiły po usadowieniu się w dziedzictwie.

— Bardzo niewiele mam ci do opowiadania. Dobra objąłem, jestem tak bogaty, jak o tem nigdy mi się nawet we śnie nie marzyło, choć mój dochód roczny wynosi niemal dziesiątą tylko część twojego. Dziś jestem tu wypadkowo z powodu potrzeby uregulowania sprawy grobowca dla stryja i urządzenia stałego dozoru w Leoninie. Ztąd zaś wybieram się do Anglii, a następnie wracam do kraju, by tam w majątku zasiąść na stałe, bo na całe życie pewno.

— I w dalszym ciągu prowadzić dzieło przodków, a choćby tylko swojego spadkodawcy. Jak to dobrze, że mój spadkodawca handlował trzodą chlewną i wołami, ja przynajmniej nie potrzebuję wstępować w jego ślady, bo już setki innych dobrowolnych ochotników mnie zastąpiło—mówił niby poważnie Andrzej.

— Masz słuszność, czuję się zobowiązanym do kroczenia po tej samej drodze, po której szedł mój stryj, gdyż droga ta i mnie się wydaje w ogólnym zarysie dobrą i dla ogółu pożyteczną, mam jednak nadzieję, że zdołam się uchronić od ciosów, jakie życie stryjowi zgotowało, bo środków użyję innych i nie dam się unieść złudnym podszeptom dumy względem otoczenia. Stryj mój był bardzo nieszczęśliwy a ja całemi siłami będę się bronić od takiego po nim spadku.

— To dobrze powiedziane, każdy z nas mniej więcej tak formuluje swój program życiowy, lecz prądy życia drwią sobie ze wszystkich postanowień i usiłowań człowieka. Oto masz przed sobą człowieka, który jeszcze przed dwoma tygodniami tonął w wirze karnawałowym Florencyi i Nizzy, a dziś mieszkam tu wśród nadbrzeżnych chat rybackich, i szczerze mówiąc, bawiłem się dotąd przez te dwa tygodnie lepiej, niż na owych karnawałach.

— Łatwo zrozumieć, po nadmiarze szału i roztargnienia smakuje ci samotność i spokojne niejako skupianie się w sobie przez czas pewien już choćby dla nabrania sił.

— Eh, nie, nie to wcale! oto poprostu wtenczas prowadziłem badania kobiet ubierających się w jedwab', a dziś trudnię się przeważnie bawełną.

Wiesz, że tamte wszystkie tak mię już znudziły, że myślałem o samobójstwie lub ożenieniu się, na szczęście podczas tych rozpamiętywań, spotkałem raz piękną dziewczynę z koszem ryb na głowie. To mnie ocaliło: na drugi już dzień z moim służącym i dogiem zasiadłem w tej pustelni i wyszedłem o wschodzie słońca nad brzeg morski. Lekarze mi zalecili pobyt w górach i kąpiele w morzu Północnem, a ja natomiast przepisałem sobie tutejsze rybaczki, w trzech dozach codzień naczczo. O wschodzie słońca wracają z połowu nocnego na pełnem morze łodzie rybackie, a na ich spotkanie wychodzą na brzeg dziesiątki żon, sióstr i córek, ażeby dopomódz w rozwieszaniu sieci i zabrać zdobycz z połowu. Ja przed wyjściem biorę w kieszeń garść srebrnych pięciofrankówek,—dobieram najnowsze,—i idę kupować ryby. Lecz ryb nigdy do domu nie przynoszę, ale za to bawię się godzinę lub więcej doskonale i wracam śpiesznie do domu, by za pomocą szczoteczek i wody pachnącej usunąć z ust i rąk zapach niemiły i brud. Och, bo te rybaczki tak serdecznie całują i to za marne pięć franków!

— I to cię nie znudziło po dwóch tygodniach praktyki?—pytał się Jerzy, śmiejąc się głośno.

— Trochę, lecz nie dla tego zapachu i brudu, gdyż z tem się łatwiej pogodzić, ale zniechęcają mię

moje rybaczki tem raczej, że najładniejsze z nich nie kontentują się już teraz całusami i pięciofrankówkami rano, nad morzem, ale przychodzą tu do domu pod jakimkolwiek pozorem. Stefan i dog płoszą je ztąd, choć Stefan, jak domyślam się, mniej gorliwie od doga, a ja coraz mniej zabieram pięciofrankówek na wycieczki, a jak dziś, wcale już nie wyszedłem.

— To wybornie, więc witam już koniec sielanki, a zatem możesz ze mną jutro lub pojutrze jechać do Anglii—przerwał uradowany Jerzy.

— Co, ja do Anglii?—przenigdy; Anglicy to jedyna narodowość, z którą mój madziarski temperament nie umie się pogodzić; z pięciu pojedynków trzy odbyłem z Anglikami, jako mistrz w boksowaniu, podbiłem im niezliczoną liczbę oczu i rozbiłem masę nosów, a dziś nie mogę się nawet boksować, gdyż przed kilku dniami cokolwiek nadwyrężyłem sobie prawe ramię i dotąd czuję ból.

— Moje towarzystwo będzie cię chronić od awantur.

— Raczej moje i ciebie w nie pociągnie.

— Mamże stracić w tobie miłego towarzysza, na którego liczyłem od czasu, kiedy dowiedziałem się o twoim tu pobycie?

— Ani trochę: nie mogę ja z tobą, więc pojedziesz ty ze mną—puścimy się pod Arad bić dziki

i łosie, bo tu nad Rivierą już nie mam co dłużej popasać.

— Dobrze, zgadzam się od razu, lecz z pod Aradu ruszymy dalej przez Warszawę do Ługolasów, by tam w dalszym ciągu, bijąc dziki i łosie, módz zrobić porównanie pomiędzy tą zwierzyną u was i u nas.

Görgöly aż podskoczył z otomany.

— Szampański pomysł! a więc jedziemy!

Skoczył do biurka i przyniósł Jerzemu dwa listy.

— Patrz, tu jest list rządcy, który mię zawiadamia o większej niż kiedykolwiek ilości zwierza w puszczach i lasach, a tu jest bilecik mojej Żanetki z Paryża, w którym pisze, że tęskni do mnie i nudzi się w stolicy, postanowiła więc zrobić mi miłą niespodziankę i odwiedzić w Monte-Carlo. To lepiej ja jej zrobię niespodziankę i drapnę ztąd zawczasu, zyskam na tem jakie sto tysięcy franków, gdyż tyle mniej więcej ma ona zwyczaj przegrywać w ruletę.

Biedaczka! ha, poślę jej adres tego samego złotonośnego peruwiańczyka, z którym przed rokiem pojedynkowałem się skutkiem współubiegania się o względy tej samej Żanetki.

Wtedy ja zwyciężyłem i w pojedynku i u Żanetki, a dziś mu ją oddam bez walki.

— Zupełnie i w całości—dorzucił Jerzy.

Zaśmieli się obaj.

— Obawiam się, że wkrótce będziesz myślał już o klasztorze, skoro już gotów jesteś stracić tę swoją perłę, o której mi takie cuda wypisywałeś.

— Jestem bliższym tego, niźli przypuszczasz. Czy wiesz, co robiłem w Monte-Carlo przez cały styczeń? badałem naturę ludzką w jej zupełnym negliżu, bo w salonach gry, i to mię natchnęło niekoniecznie dobrem o niej mniemaniem

— Grając sam, nie mogłeś być i odpowiednym i bezstronnym sędzią.

— W tym roku już nie gram zupełnie, bo gra już mi nie daje żadnych wrażeń: z równym, lodowatym spokojem, a raczej apatją, zgarniam tysiące i znowu w podwójnej liczbie rzucam je w paszczę rulety. Ja sobie wynalazłem lepszy sport, jak się łudziłem przez miesiąc cały, lecz i ten w końcu dał mi zbyt małe rezultaty.

Jako stały gość Monte-Carlo ze dwa razy na rok już od lat ośmiu, dotąd mniej więcej dobrze poznałem tutejszą publiczność grającą. Dzieli się ona na trzy bardzo nierówne grupy. Pierwszą stanowią nieliczni, istotnie bogaci ludzie, którzy zwykle grają wysoko, lecz się nie zgrywają i to są jedyni gracze prawdziwi—dla wrażeń gry samej jej się oddający.

Drugą, najliczniejszą—stanowią przygodni turyści, którzy li tylko przez chęć małpowania nawiedzają Monte-Carlo i tu popisują się krócej lub dłużej, a to w miarę zasobów podróżnej kasy.

Do składu trzeciej nakoniec, dość licznej, wchodzą przeważnie ludzie biedni, awanturnicy lub desperaci ze wszystkich końców świata, którzy tu się zbiegają dla tej gry..... często o życie, a zawsze—żądzą złota spowodowani. Ja byłem dotąd, lecz teraz już nie jestem, przekonany, że w tej grupie ostatniej znajduje się spora liczba jednostek, które wygrana znaczniejsza mogłoby uratować od moralnego upadku i wrócić na właściwą drogę pracy i obowiązków.

Lecz takie wygrane bywają zbyt rzadkie. Sam nie mając już ochoty grać, postanowiłem stworzyć pięć wygranych, po dwadzieścia tysięcy franków każda. I oto kolejno wypatrywałem osobniki biedne i szlachetniejsze, naturalnie tylko z pozornych spostrzeżeń, i każdemu posełałem bezimiennie taką wygranę z listem tej treści: «Panie! szukasz fortuny, by los twój polepszyć—niech ja będę tą fortuną bezimienną dla ciebie, więc załączam przy niniejszem dwadzieścia tysięcy franków w formie wieczystej darowizny, okrytej wiecznem zapomnieniem». Zdawałoby się, że taki biedak, desperat, który rzucał ostatni grosz na tarczę rulety, po otrzymaniu

takiej sumy mógłby się czuć zadowolonym i na niej poprzestać. W ciągu dwóch lat rozdałem w ten sposób dziesięć takich wygranych, lecz żaden z obranych osobników nie uciekł od rulety: wszyscy bez wyjątku siedzieli przy niej tak długo, aż przegrali całe dwadzieścia tysięcy.

Nie, prawda, był jeden taki, którego już nie spotkałem w salonach gry po przesłaniu mu pieniędzy, lecz później się dowiedziałem, że złapany został przez policyą właśnie przed domem gry; był to zbiegły poborca podatkowy któregoś z południowych departamentów Francyi, który na drogę i grę zabrał kasę rządową. Temu jednemu chyba przydały się moje pieniądze. W rezultacie za cenę dwustu tysięcy franków dowiedziałem się o tej prawdzie etyczno-socjalnej, że pieniądz otrzymany drogą loteryi, gry lub darowizny prawie nigdy nie uszczęśliwia człowieka. Może to trochę za mało za te pieniądze, lecz nie żałuję, bo na tem zarobię na czysto: odtąd nie zobaczę się już z ruletą przez całe moje życie, a taki skutek kosztuje mię znów bardzo tanio.

— Wstydź się, Andreas, wszak w ten sposób świadomie przykładałeś ręki do upodlenia tej ludzkiej natury, którą nibyto studjowałeś.

— Jakto, chcąc tych dziesięciu ludzi ratować może od śmierci?

— Czyż ich uratowałeś choćby od podłości?

— No, nie, jak się okazało, ale miałem niezłe zamiary.

— Raczej chyba zaspokajałeś swoją fantastyczną i nie tuzinkową ciekawość kosztem tych dziesięciu biedaków.

— Ba, i ja dziś wiem o tem, lecz przedtem wierz mi, łudziłem się nadzieją nawet pewnej zasługi.

— Wierzę ci najzupełniej, a najbardziej rad jestem, że wziąłeś rozbrat z ruletą. A więc precz z ruletą, precz z rybaczkami z zapachem i brudem, precz z Żanetą!—jedziemy jutro na dziki i łosie!

— Tyś rzekł, przyjacielu—zakończył Görgöly z poważnem z turecka głowy skinieniem.

VIII.

Jerzy dopiął więc celu założonego, skłaniając Andrzeja do wspólnej wycieczki, lecz jednocześnie sam był zmuszony zaniechać podróży do Anglii, która miała mu przynieść raczej korzyść, niż przyjemność. W tej chwili jednak zobojętniał już on dla sprawy organizacyjnej własnych dóbr, gdyż każda myśl o Ługolasach mimowoli łączyła się ze wspomnieniem tych pięknych, czarnych oczu, które

z takim niewzruszonym, lodowatym spokojem darzyły go obojętnością lub nawet niechęcią w Ostrówku.

Filozofja Görgöly'ego, zaprawiona potężną dozą cynizmu i sybarytyzmu, jakkolwiek nie pozyskała w nim wiernego adepta, wywarła jednak wpływ znaczny. A uwidoczniło się to najbardziej w Peszcie i na miejscu w dobrach Andrzeja, kiedy Jerzy z dobrze wypchanym pugilaresem znalazł się w otoczeniu wesołej, hulaszczej młodzieży węgierskiej.

Zbudził się do życia hr. Hołodaj, magnat z majątku i urodzenia, a ubogi—w wyszukaniu pięknych stron życia.

Wesołe towarzystwo rano najczęściej wyruszało na łowy, i zmęczone, lecz syte bogatej zdobyczy i myśliwskich roskoszy, wracało do domu, aby zasiąść do wieczerzy i zielonego stolika. Przy takich warunkach życie płynęło szybko, a to tembardziej, że bogaty w pomysły Görgöly, co kilka dni robił przyjaciołom niespodzianki, z okrzykiem zachwytu przez wszystkich witane.

To najniespodziewaniej, w tajemnicy przez gospodarza depeszą wezwana, zjeżdżała trupa śpiewaków w komplecie operetkowym i z możliwie skromnym współudziałem mężczyzn, to bandę cyganów gdzieś chwytała służba Görgöly'ego i naprędce ubrana w malownicze czyste ubiory na jego koszt,

skocznym i namiętnym czardaszem witała strudzonych myśliwych. Dni i nocy upływały na hucznych biesiadach, połączonych z wybrykami hulaszczej fantazyi młodych węgrów. Rozpasana młodzież co dzień, co godzina robiąca najhazardowniejsze zakłady przy obławach na dziki i niedźwiedzie, po powrocie do domu z kielichami w ręku łatwo wpadała w szał użycia na dziś, i pałac Andrzeja niejednokrotnie rozbrzmiewał wrzaskami orgii i bachanalij.

Przy popisach w kniei Jerzy nie ustępował pięciu swym towarzyszom, a łatwo mu to przychodziło, gdyż szczęście mu bardzo sprzyjało przy losowaniu stanowisk w lasach. Nie zdarzyło mu się też ani razu, by wrócił do domu bez nowego tryumfu, i to budziło zazdrość w namiętnych węgrach, która jakkolwiek wolna od jakiejkolwiekbądź niechęci, narażała Jerzego na ciągłe próby i hazardy, które, mając sobie proponowane po kilkunastu kielichach, był zmuszony przyjmować.

Jednem z takich szaleństw było wyzwanie, by na dziki zapolować konno, lecz bez żadnej innej broni, oprócz pistoletu z jednym nabojem i krótkiego kordelasa.

Naturalnie ucieczka z placu, wobec napastującego dzika, byłaby uznana za zupełną porażkę. Że takie polowanie było istotnem szaleństwem, dowód w

tem najlepszy, że zgodził się na nie tylko Jerzy, któremu to zaproponowano, i naturalnie sam proponujący, młodziuchny huzar węgierski, któremu tryumfy Jerzego najbardziej były ciężkie do zniesienia z powodu kilku znacznych, przegranych zakładów.

Postanowiono, by przy najpierwszej sposobności, kiedy straż leśna odszuka pewne legowiska dzików, odbyło się owe polowanie z konia, na którem wszyscy inni mieli asystować także konno, lecz tylko ze szpicrutami w ręku, a to dla tego, by uniemożebnić danie pomocy w razie niebezpieczeństwa.

Dziki wytropiono bardzo łatwo, i wieczorem, przy obfitych jak zawsze libacjach, ułożono ostateczne warunki polowania na dzień następny. Mimowoli młodzież była poważniejsza i mniej wesoła, i, choć Andrzej, jako gospodarz, najlepsze wina kazał na stół podawać, uczta przeciągnęła się znacznie krócej, niż zwykle. Każdemu wyobraźnia podsuwała przed oczy tragiczne momenta zapowiedzianego polowania, które dla jednego z ich grona, a może i obu myśliwych, mogło zakończyć się kalectwem lub śmiercią.

O świcie ruszono do lasu. Jerzy był spokojny, lecz poważniejszy, młody zaś huzar bawił całe towarzystwo opowiadaniem najweselszych anegdotek.

Obadwaj myśliwi konie pod sobą mieli wyborowe ze stajni Görgöly'ego, który kazał spędzić całą swą stadninę dla wyboru, dobrze rozumiejąc, że dobór koni może w znacznej mierze zapewnić bezpieczeństwo szaleńcom.

Huzar siedział na gniadym, a Jerzy na złotokasztanowatym, prześlicznym arabczyku: obydwa konie były doskonale ujeżdżone i najzupełniej posłuszne mundsztukom.

Na szczęście ostęp, w którym były dziki, był niezbyt gęsty, dość suchy, a więc równy, i obficie zarosły młodemi drzewkami, które były pomieszane ze starymi olbrzymami. Wszystkie te warunki znacznie mogły ułatwić manewry na koniu.

Dziki ruszono nie psami, lecz przy pomocy obławników, a to by uniknąć możliwego wypadku, że jeden myśliwy mógł walczyć z dzikiem, obsaczonym przez psy, a drugi—z wolnym od nich, a więc groźniejszym; zwycięzcą mógł zostać ten tylko, który zabije dzika, maciorę lub odyńca. Rzecz prosta, że wszyscy byli przekonani, że tego nie można inaczej dokonać, jak tylko zsiadając z konia i kordelasem; pistolet w najlepszym razie mógł służyć dla zadania rany dzikowi i ewentualnego osłabienia jego ruchów. Czterej konni świadkowie powinni byli wykonywaniem odpowiednich ruchów zawracać dziki na myśliwych.

Trąbka nadleśnego dała znać o ruszeniu naganiaczy, a w kwadrans później o dostrzeżeniu dzików, lecz sygnał ten był już zbyteczny, gdyż obadwaj myśliwi jednocześnie posłyszeli to ruszenie zwierza z legowisk, połączone ze znacznym hałasem i groźnem chrząkaniem.

Obadwaj stanęli w odległości dwustu kroków od siebie, lecz na czystej, przeciętej linii, tak że mogli się widzieć wzajemnie. Każdy z nich przegrywał, o ile mogąc napastować dzika, uniknąłby tego, a koniec walki obowiązany był natychmiast obwieścić trąbką.

Hałas przybliżającego się zwierza stawał się coraz wyraźniejszy, i wkrótce obadwaj myśliwi dojrzeli cztery dziki, odyńca, maciorę i dwa małe warchlaki, sunące środkiem przestrzeni ich oddzielającej. Niezwłocznie obaj przyskoczyli do dzików z dwóch stron i, wykonywając szereg ataków fałszywych, usiłowali rozbić stadko. Długo się to nie udawało, dziki trzymały się razem i nie zdradzały napastniczych zamiarów, a myśliwi zapomnieli o ostrych grotach, któremi podniecają do walki byków hiszpańscy toreadorzy. Dziki umiejętnie obsaczane przez jeźdźców, to zatrzymywały się w miejscu, a wtedy odyniec groźnie sapał, rozbijając pyskiem śnieg dokoła, albo też usiłowały uchodzić w stronę otwartą, lecz tu znów spotykały któregoś z jeźdźców. Tru-

dno było przewidzieć, kiedy nastąpi koniec tych manewrów, w których i jeźdźcy i konie składali dowody niesłychanej zręczności. Aż wreszcie udało się Jerzemu stratować jednego z warchlaków, który się dostał pod kopyta arabczyka. Warchlak żałośnym kwikiem napełnił leśne obszary, budząc wściekłość w maciorze, która niezwłocznie zaatakowała huzara; Jerzemu więc dostał się w udziale odyniec, który łatwo dał się pociągnąć o parę set kroków dalej na bardziej otwarty teren.

Zaledwie dziesięć minut upłynęło od czasu, kiedy było dane hasło o dostrzeżeniu dzików, gdy pozostali w ukryciu czterej świadkowie posłyszeli strzał w stronie huzara, a wślad za nim sygnał zwycięztwa. Kiedy przybyli na miejsce, znaleźli huzara dumnie z nogą wspartą na cielsku maciory stojącego na ziemi, warchlak zaś przebity kordelasem leżał o kilka kroków dalej.

Dla zabicia maciory wystarczył strzał z pistoletu, mistrzowsko skierowany w ucho zwierzęcia.

Młodziutki huzar tryumfował, zarumieniony od szczęścia z płonącemi czarnemi oczyma: towarzysze podziwiali pewność oka i bystrość strzału i winszowali zwycięztwa.

Jeden Görgöly zaprotestował.

— Poczekajcie do końca, jeszcze nie wiemy, jak popisze się Jerzy!

— Trudno zdobyć się na coś lepszego!—wzruszając ramionami, odparł kolega i najbliższy przyjaciel huzara.

— Bywają czasem i niepodobieństwa—rzucił sentencyonalnie gospodarz, w głębi ducha przekonany prawie o niemożliwości, by Jerzy mógł wygrać zakład, i dziwna rzecz, zmartwiony tem nie mało, choć zwycięztwo miało pozostać nie przy huzarze, lecz przy węgrach, jak to chciał mieć młody huzar.

Nie należało jednak tracić czasu, a co ważniejsza trzeba się było mieć na baczności z powodu, że odyniec napastujący Jerzego, mógł uchodzić w ich stronę.

Wsiedli więc wszyscy na konie i w cichości zbliżali się w stronę, zkąd dochodził hałas i dziki świst połączony z chrząkaniem.

Podjechali tak blizko, że mogli widzieć dokładnie cały przebieg walki. Jerzy dotąd nie strzelał i nikt nie mógł zrozumieć, dla czego przedłużał walkę, nużąc siebie i konia. Lecz wkrótce plan Jerzego stał się jasnym dla patrzących. Dzik napastował ciągle i coraz wścieklej, a Jerzy z okiem utkwionym w zwierzę, chwytał jego szybkie i gwałtowne ruchy i odpowiednim skokiem konia unikał ciosów. Był to popis i dla konia i dla jeźdźca. Jerzy był blady, a arabczyk rzucał pianą dokoła, gdy oczy jego

jak węgle tlejące, pałały udziałem w tej walce. Jerzy trzymał w prawej ręce nie pistolet, lecz kordelas.

I oto wkrótce spostrzegli świadkowie, że Jerzy zaczyna próbować skoków nie w bok, lecz wprost przez dzika i za każdym razem z błyskawiczną szybkością pochyla się w siodle, spuszczając ramię uzbrojone kordelasem.

Rzuty odyńca były coraz to wścieklejsze, a śnieg dookoła obficie posoką został zafarbowany. Kordelas Jerzego już kilkakroć dosięgnął zwierzę, raniąc je w grzbiet. Wszyscy świadkowie tej walki, w milczeniu, zatrzymując niemal oddech w sobie, oczekiwali co chwila nieszczęścia. Jedno potknięcie się arabczyka, o co było nietrudno, przy gwałtownych rzutach jeźdźca z jednej strony siodła, lub jedno z rozmachem puste uderzenie Jerzego, a śmierć zuchwałego myśliwca była nieuniknioną.

Lecz oto dzik chrapnął głośniej i boleśniej, a krew całą strugą bluznęła po śniegu: to cios Jerzego silniejszy trafił go w łopatkę, zadając szeroką ranę.

Zwierzę robi jeszcze wścieklejsze rzuty, lecz już widocznie jedną przednią nogą nie włada. Jerzy dla próby odskakuje na kilkadziesiąt kroków, odyniec chrapie i rzuca się w pogoń, lecz ją dokonywa w szeregu nieudolnych rzutów całego cielska, które chwilami ze łbem zanurza się i szamoce w śniegu.

Myśliwy już stoi na ziemi i, puszczając cugle koniowi, idzie z kordelasem na spotkanie.

Dzik pada po kilku skokach trafiony prosto w serce.

Jeden głośny i radośny okrzyk szczerej radości wydziera się z gardeł wszystkich widzów, a najgłośniej krzyczy i najpierwszy przybiega młody węgier, niosąc najprzód uścisk serdeczny, a zaraz potem sięgając do pugilaresu, dla wydobycia tysiąca guldenów, który stanowił zakład.

Jerzy przyjmuje uścisk, lecz odsuwa pieniądze; odsuwa je tembardziej, kiedy się dowiaduje o przebiegu walki huzara.

— Zakład więc nierozegrany.

— Ani trochę, hrabio, tyś niewątpliwym zwycięzcą—protestuje huzar, a wszyscy milczeniem to stwierdzają.

— Tak jest niewątpliwie, Jerzy, i możesz spokojnie zabrać Janowi tysiąc guldenów, gdyż celem dzisiejszego polowania miało być głównie wykazanie odwagi, a nie zręczności. Jan użył pistoletu bez narażenia siebie, a ty tylko kordelasa, jakby szukając kłów dzika, Jan wątpię czy w życiu jeszcze taki strzał powtórzy, który był w znacznej mierze dziełem przypadku, ty zaś podjąłeś i skończyłeś walkę świadomie o jej wytężonem do ostateczności niebezpieczeństwie. Jesteś więc zwycięzcą—eljen!

— Eljen!—huknęli towarzysze zgodnie.

— A ja dla was obu pomyślałem o nagrodzie— z tajemniczym uśmiechem rzucił Görgöly, żwawo ruszając koniem ku domowi.

Cała kawalkata pośpieszyła wślad za nim, i mknęli wszyscy jak duchy, w białe mgły śnieżnej kurzawy okryci, w pełnym galopie wyborowych koni arabskich.

Czekał ich już stół obficie do obiadu nakryty i zastawiony, lecz nikt na razie nie zwrócił uwagi na większą liczbę nakryć i wyjątkową elegancyę zastawy, do której użyte były i świeże, kwitnące rośliny w przepysznych wazonach.

Po szybkiej zmianie kostjumów myśliwskich ochoczo zasiadła młodzież do stołu. Wtedy spostrzeżono, że trzy nakrycia są wolne i tak zastawione, że jedno było pomiędzy Jerzym i huzarem, a dwa pozostałe z dwu stron ich obydwóch.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na gospodarza w oczekiwaniu wyjaśnienia tej nowej niespodzianki.

Görgöly chwilę dręczył przyjaciół milczeniem, a wreszcie na dany znak, z przyległej sali weszły trzy młode i ładne kobiety w strojach baletnic i z bogatym wieńcem z róż zbliżyły się do stołu.

Görgöly wskazał na Jerzego. Córki Terpsyhory otoczyły go niezwłocznie i włożyły na niego wieniec z okrzykiem: «eljen!»

— Eljen!—zawtórowała młodzież, wychylając spore kielichy prastarej śliwowicy.

Przybyłe zajęły wolne miejsca tak, że obaj zapaśnicy mieli z każdej strony po sąsiadce, wówczas gdy dwaj inni ich towarzysze byli zupełnie pozbawieni tego sąsiedztwa, lecz nikt nie protestował, uważając, że tym razem to wyróżnienie jest słuszne.

Były to trzy solistki, woltyżerki z cyrku goszczącego czasowo w Aradzie, które Görgöly zdołał skłonić do przyjazdu na trzy dni, telegraficznie zapewniając każdej po pięćset guldenów dziennie, oprócz..... wolnej praktyki.

Sąsiadki Jerzego zajęły się nim bardzo, gdyż Jerzy blondyn, bardzo przystojny, korzystnie się wyróżniał na tem tle typów czystych brunetów, został więc pod koniec obiadu już po raz drugi dnia tego zupełnym zwycięzcą. Lecz on w tej chwili nie miał miny tryumfatora, ale owszem raz po raz ukazywał się na jego twarzy jakiś gorzki uśmiech, po którym sięgał ręką po szklankę, którą usłużny hajduk napełniał szampanem, i wychylał pośpiesznie. Ale ani humor, ani nawet alkoholowe podniecenie nie przybywały na pomoc dla ratowania tej smutnej

miny, która już groziła stać się śmieszną w podobnem towarzystwie.

I nic naturalniejszego. On tryumfator, który przed kilku godzinami narażał życie dla zadowolenia próżności, teraz myślał o tych wyrazach Maryi, które ona wypowiedziała w Ostrówku, podczas rozmowy o polowaniu; on, tryumfator, który ściągał na siebie spójrzenia ogniste tych trzech ładnych kobiet, z goryczą wspominał, jakim chłodem i jaką obojętnością darzyła go Marya! I było mu coraz ciężej w tem hulaszczem towarzystwie, i było mu coraz pilniej wyrwać się z pośród niego.

To znowu brały go w uścisk żałośny i gniew i żal bezsilny, budził się w nim już nie hrabia, nie magnat, ale zdrowy, silny i młody mężczyzna, który kocha..... o, nie! nie kocha,—który pragnie być kochanym, i znowu szklanki wychylał jednę po drugiej, spójrzeniem obejmował którą z kokietujących go sąsiadek, a w duszy było mu coraz smutniej i czarniej, choć twarz i oczy ogniem pałały.

Po wetach, kiedy całe towarzystwo rozsiadło się wygodnie na otomanach w pokoju do palenia, gdzie zostały podane kawa, likiery i cygara, Görgöly wrzucił do marmurowej urny sześć biletów wizytowych zwiniętych w rurki i zaproponował damom, by każda wyciągnęła jeden. Najpiękniejsza i najmłodsza, niebieskooka Elza, wyciągnęła z urny bi-

let Jerzego i na mocy ogólnego wyroku, usiadła z nim na jednej otomanie. Tego było już nadto, to było już nadmierne, niesłychane szczęście, zdaniem młodzieży, a Jerzy, ten szczęśliwiec, wybrany przez los, w tej chwili powstał z otomany i pożegnał towarzystwo, uskarżając się na silny ból głowy.

Istotnie był to silny ból, ale i głowy, która napróżno usiłowała rozwiązać to po tysiąc razy powstające pytanie «dla czego?» i serca, które było szarpane w bolesnych skurczach.

Dla czego ta *jedna* nie ma dla niego uśmiechu? I oto przypomniał w tej chwili, że dziś jest sobota, że jutrzejsza niedziela, jest niedzielą kwietnią, że zatem od jutra zaczynają się ferye wielkanocne Stasia, któremu on obiecał swój przyjazd do Warszawy, że wreszcie..... Maryą na ten czas matka wysyła do Kańskich, aby uniknęła możliwej na wsi febry, i ból gdzieś zginął bez śladu, a miejsce jego zajęła nadzieja, która głośno i energicznie zażądała czynów natychmiastowych.

W pół godziny później dobrze pijane towarzystwo młodzieży z kielichami w ręku i damami pod rękę, w asystencyi hajduków zbrojnych w kandelabry, pukało do drzwi Jerzego, z cicha nucąc chórem jakąś piosnkę miłośną, pod przewodnictwem czystego soprano uroczej Elzy. Na pukanie nikt nie odpo-

wiadał. Görgöly nacisnął drzwi, które okazały się nie zamknięte.

Na stole leżał krótki list, zaadresowany do gospodarza.

«Kochany Andreas! Jest mi tu u ciebie tak dobrze, że aż mi się zachciało czegoś o wiele lepszego, co mię prawdopodobnie ominie. Przybywaj więc, o ile możesz najprędzej do Ługolasów, aby mnie pocieszać i ze mną zapłakać. Jerzy».

Łatwiej było jednak dla Jerzego zdobyć się na jednorazowy wysiłek woli i huknąć na lokaja w pałacu Görgöly'ego, by mu natychmiast rzeczy spakował i polecił zaprządz konie: służba cała wiedziała o tem, że powinna święcie spełniać rozkazy pańskich gości. Konie więc były już po upływie dziesięciu minut przed gankiem, i Jerzy natychmiast wyjechał nie zatrzymany przez kogokolwiekbądź z towarzystwa, zbyt zajętego w salonie do palenia. Nieobecność jego spostrzeżono dopiero w parę godzin, a to dzięki temu, że służba nie przywoływana nie ośmielała się wchodzić do pokoju, gdzie panowie siedzieli z damami. Ta okoliczność uwolniła Jerzego od niechybnej pogoni, którąby pod wodzą Andrzeja niezawodnie za nim ruszyła, gdyby się dość wcześnie spostrzeżono. Trudniejszą o wiele

rzeczą było jechać do Warszawy niemal całe trzy doby, kiedy myśl, podbudzona uczuciem, zostawiała o wiele za sobą nawet błyskawiczny pociąg idący z Wiednia. Jak zawsze tak i w tym wypadku gorączkowy pośpiech okazał się znaczną stratą czasu; dzięki temu Jerzy źle powiadomiony stracił w Wiedniu nie cztery, jak chciał, lecz całych osiemnaście godzin. Te cztery godziny były dlań potrzebne, by w olbrzymich magazynach nowości wybrać kilka drobiazgów dla Stasia i małej córeczki pani Kańskiej. Nigdy Wiedeń, tak zawsze czarujący w kwietniu, nie wydał się Jerzemu bardziej nieznośnym. Probował spać w hotelu, następnie włóczyć się bez celu wśród tłumów na Ringstrasse, a nawet, narkotyzować się przepysznym koniakiem u Sachera, lecz wszystko to się nie na wiele zdało. Jak skazaniec otwarcia kaźni wyczekiwał on chwili, ruszenia ku granicy.

Dopiero więc we Środę mógł w godzinach popołudniowych udać się do Kańskich.

— Pani wyszła, jest tylko siostra pani, — zawiadomiła uprzejma pokojówka, jakby zachęcając Jerzego do wejścia.

Wahał się chwilę, lecz wszelkie względy przemogła nieprzeparta chęć ujrzenia Maryi, polecił więc, by go zameldowano.

Został przyjęty i po chwili znalazł się w skromnym, lecz gustownie umeblowanym saloniku państwa Kańskich, do którego jednocześnie weszła Marya z przyległego pokoju.

Przywitała go nadspodziewanie serdecznie i uprzejmie.

— Siostra, a bardziej jeszcze Staś, będą bardzo zmartwieni tracąc możność zobaczenia się z p. hrabią w tej chwili. Mówiliśmy kilkakrotnie już o panu od czasu mojego przyjazdu do miasta.

Nawet najzwyklejszy frazes salonowej grzeczności nie wyszedł z ust Jerzego: cały był on tylko wzrokiem i zachwycał się tem naturalnem i radośnem ożywieniem Maryi, którą dotąd podziwiał z całkiem odmiennej strony usposobienia, przynajmniej dla siebie.

Dopiero po chwili zdobył się na pytanie o panią Brońską, Rogalskiego i inne wieści ze wsi.

— Mateczka jest zdrowa, lecz nie dobra, bo mi kazała jechać do Warszawy i to teraz, kiedy sama ma tyle pracy, jak zwykle na wiosnę, kiedy moja pomoc jest najpotrzebniejsza. Pan Rogalski rzadkie swe odwiedziny w Ostrówku usprawiedliwia ogromem pracy z powodu podjętych obowiązków ogólnej administracyi dóbr.

— To moja wina i tem większa, że względem pań popełniona, nie umiem dziś siebie usprawiedliwiać, a radbym to uczynił przed panią.

— Niech się pan nie trudzi, bo wina tu pańska żadna: pan Rogalski, o ile go znam, umiałby się usunąć od nowych obowiązków, gdyby tego istotnie chciał, a z drugiej strony i ja i mama przywykłyśmy wystarczać sobie najzupełniej.

— Wierzę co do pani, że tak, lecz tylko w granicach codziennych zajęć i obowiązków, lecz śmiem wątpić o tem, o ile przejdziemy w granice przyjemności i rozrywek... — rzucił śmiało Jerzy.

— Nie śmiałabym od nikogo przyjmować nawet skromnego daru umilenia naszej samotności w Ostrówku, o ilebym nie miała przekonania, że odwiedzający bywa sam krzywdzony w tym względzie za każdą bytnością.

— Ma pani słuszność najzupełniejszą, o ile stosunek znajomości jest już dokładnie uregulowany, czyli innemi słowami, o ile obydwie strony są doskonale świadome, czego szukają i pragną wzajemnie od siebie, a w wypadku, o którym mówimy, nie śmiem przesądzać, lecz...

— Bardziej niż w każdym innym obydwie strony są świadome.

— W których stronach Europy bawił pan w ostatniej swej podróży, z której pana witam obecnie?

Właśnie więc w chwili, kiedy się spodziewał dowiedzieć się czegoś na pewno o stosunku Maryi do Rogalskiego, rozmowa została zręcznie przecięta

i na inne tory zwrócona. Jerzy odtąd już mógł mniej patrzeć i badać, gdyż był raczej mówiącym, niż słuchaczem.

Nic też dziwnego, że opowiadał o swojej podróży jak można najmniej, boć zresztą i z konieczności o wielu jej epizodach musiał zamilczeć.

— Czy węgierskie niedźwiedzie i dziki były łaskawszemi dla pana, jako myśliwego? — pytała z uśmiechem Marya.

— O, nie o wiele, o ile dobrze panią rozumiem i łaskawością ich tłómaczę całość mojej osoby, lecz za to ludzie są tam jacyś cieplejsi i serdeczniejsi.

— Jakto, czyżby i pan do pokrzywdzonych tu wśród nas należał?

— Do pokrzywdzonych — nie, bo moja miłość własna nigdy mi na takie wyznanie nie pozwoli, lecz do — uprzedzonych.

— To nic dziwnego, panie hrabio, żyjemy w wieku pary i elektryczności.

— Lecz i w wieku nigdy niezaspokojonych marzeń i pragnień.

— Trzeba je więc z konieczności ograniczać i trzymać na wodzy.

— W które teraz pan strony wyruszy, po krótkiej jak mniemam, wizycie w Ługolasach?

— Najprzód do Leśniczówki, a później do Ostrówka.

— To jest objęte granicami Ługolasów; w Ostrówku, o ile wiem, woły opasowe na pański rachunek utrzymywane przy gorzelni, tuczą się, jak nigdy.

Jerzy przy tych słowach zerwał się z krzesła gwałtownie i, nie mogąc na razie zapanować nad sobą, przeszedł salonik wzdłuż i z powrotem. A kiedy usiadł na swem miejscu, mrucząc coś niewyraźnie o nerwowym bólu głowy wyniesionym z podróży koleją, ujrzał na twarzy Maryi ostatnie fale ginących rumieńców, które zwolna niknęły jak ostatnie odbicia kryjącej się na zachodzie tarczy słońca promiennej.

— Kiedy będę mógł złożyć moje uszanowanie pani Kańskiej i jej mężowi, jak również uścisnąć Stasia?

— Oboje bywają w domu zawsze od 4 do 7, co się zaś tyczy Stasia, ten prawdopodobnie jeszcze dziś pana odszuka w hotelu.

— Nie wyjdę więc już dziś zupełnie, aby się go napewno doczekać.

Poczem powstał, składając ukłon pożegnalny, na który Marya odpowiedziała serdecznem ręki uściśnieniem.

— Proszę nie psuć mi Stasia pieszczotami, gdyż będę o niego zazdrośną, — upomniała z uśmiechem.

— Niech pani będzie spokojna, prawdopodobnie

będę z nim odbywał poważne posiedzenia, których celem będzie obznajomienie go z korzyściami tuczenia wołów opasowych, — odciął się i zapóźno i niezręcznie Jerzy, udanym uśmiechem nie zdolny ukryć głębokiego wzruszenia.

— Nawet tem go pan nie zniechęci do siebie, jeśli panu o to chodzi, gdyż on pana nazbyt serdecznie kocha, aby to miało go zrazić.

— Ha, więc nie! będę go więc prosił, by się za mną wstawił do swej siostrzyczki, która mię gwałtem z uprzedzonego chce zmienić w krzywdzonego — mówił głosem drżącym Jerzy.

— Więc będę musiała uciekać do Ostrówka.

— Który jednak leży w granicach Ługolasów?

— Lecz tam nie będzie Stasia, — i po tych słowach Marya miłym uśmiechem pożegnała Jerzego.

Zaledwie Jerzy zdążył zjeść obiad w hotelu, kiedy już wpadł do jego apartamentu rozrumieniony z radości Staś. Wśród potoku pytań, odpowiedzi i całych opowiadań, zaledwie zdołał Jerzy pochwycić, że «Mania w Warszawie zabawi jeszcze cały tydzień po Świętach, że na pana Juljana ona za coś się gniewa i że wreszcie szwagier Józef przez cały obiad dziś dokuczał Mani, śmiejąc się z niej, że sama została w domu przez cały poranek.»

Podczas tych wynurzeń Jerzy rozłożył przed zdumionym malcem wiedeńskie upominki, które

uszczęśliwiły go nad wyraz. Był tam i aparat fotograficzny ze wszystkimi przyborami, i mały drogomiar dla pieszo idącego, w kształcie eleganckiego zegarka i inne nieznane jeszcze Stasiowi figle zagranicznego przemysłu.

Zachwyty chłopca zostały przerwane wejściem Kańskiego, który śpieszył z oddaniem Jerzemu wizyty, przynosząc od swej żony zaproszenie na obiad na dzień następny.

— Niech pan hrabia nas przyjmie do grona sobie życzliwych takimi, jacy jesteśmy, t. j. ludzi lepszych uczuć i chęci, niżli form i wyrazów. Proszę dom nasz uważać za zawsze dla siebie otwarty, w którym pan znajdzie serdecznie sobie życzliwych gospodarzów.

— Uprzedza pan łaskawie moje zasługi i prośby, tem bardziej umiem to ocenić, tem goręcej pragnąłbym wyrazić moję wdzięczność.

— Panie hrabio, ostrożnie ze zobowiązaniami, gdyż ma pan przed sobą prawnika, który może wyzyskać pana najniespodziewaniej; lecz do tego jeszcze daleko, a dziś i ja wraz z drugą moją matką, panią Brońską, jestem dłużnikiem pańskim z tytułu stosunków Ostrówka do Ługlasów.

— Więc może już lepiej wszystkie nasze rachunki umórzmy dla braku dowodów, a pracujmy raczej na zawiązanie nowych na drodze przyjaźnego stosun-

ku — zaproponował jeszcze Jerzy, serdecznie ściskając podaną sobie dłoń Kańskiego, który w całej swej powierzchowności zdradzał niezwykłe w prawniku: szczerość i przyjazne wylanie.

— Jaknajchętniej i jaknajprędzej, choćby od chwili tego pierwszego poznania się, które jutro już powinno być starą przyjaźnią, — odpowiedział Kański, a w jego słowach i całem zachowaniu się Jerzy od razu odczuł ten zupełny brak uprzejmości dla tytułu i majątku, na który może sobie pozwolić tylko prawdziwa inteligencya, połączona z wrodzoną szlachetnością danej jednostki.

Kiedy nazajutrz Jerzy stawił się w domu Kańskich o naznaczonej godzinie, znalazł się odrazu jakby w kółku dobrych dawnych przyjaciół, i to znacznie zbliżyło go do Maryi, która chętnie zgodziła się na to zbliżenie.

— Liczyłyśmy bardzo na pana i mamy z Manią swoje plany na dzień jutrzejszy, — zapowiedziała pani Zofia podczas obiadu.

— Usuwam się od tej wspólki, — protestowała Marya.

— Pilnuj się, p. hrabio, bo niebezpieczeństwo groźne i bliskie, — ostrzegł Kański.

— Chętnie służę paniom w czemkolwiek i o ile tylko będę mógł.

— Gubisz się pan dobrowolnie—żartował Kański.

— Józiu, proszę mi nie psuć interesu! Niech pan jego nie słucha, nic panu tak strasznego nie grozi.

— O cóż tedy idzie?

— Jutro my kwestujemy w jednym z kościołów, na boku, przy skromnym stoliku «in partibus,» na przytulisko dla przepracowanych nauczycielek, więc może pan zechce tam nam złożyć wizytę...

Jerzy uśmiechnął się i pokiwał głową przecząco.

— Nie śmiałbym niepokoić tam pań, a co ważniejsza rozchwiać powzięte nadzieje: ja, jako podróżny, wracający z zagranicy, mógłbym służyć kwotą tak marną, że jej przybytek nie zadowolniłby pań.

— Jakto, więc pan odmawia? Maniu, pomóż mi przecie, bo cóż będzie z naszą pustą tacą jutro?

— Ja mogę pożyczyć parę storublówek, ale z warunkiem, że mi bezwarunkowo będą zwrócone po ukończeniu czasu wystawy,—zaproponował Kański.

— Dziękujemy ci za taką ofiarę.

— Pomoc moja nie na wiele się przyda, o ile pan hrabia ma ustalone przekonania.

— Lub pustą kieszeń — dodał Jerzy.

Zofia z udanym smutkiem zwróciła się do niego.

— Czyż do przekonań pańskich nie trafia przytulisko dla biednych istot, które wszystkie swoje siły oddają ludzkości w ofierze, zyskując na starość tylko bóle, tylko opuszczenie i nędzę najczęściej.

— Ależ najogromniej.

— A więc, pan jutro nas odwiedzi?

— Niestety, nie.

— A pańskie współczucie, p. hrabio?

Jerzy nie mówiąc nic, wydobył z pugilaresu zwitek papierków.

— Oto jest tysiąc rubli, które bezimiennie na ręce pani składam dla przytuliska, — zwrócił się do Kańskiej, — a tu jest tysiąc guldenów, które składam do rozporządzenia panny Maryi, podług jej uznania, jako skruchę za dziki i niedźwiedzie na Węgrzech pobite.

— Czy pan hrabia polował w niewłaściwym czasie czy też może w zabronionej kniei? — śmiał się Kański.

— I jedno i drugie; pani raczy przyjąć i datek i moję skruchę.

— Biorę jedno i drugie z podziękowaniem, — odrzekła Marya z jakimś radośnym oczu blaskiem.

— I proszę o częstsze takie grzechy wraz z podobną skruchą na korzyść przytuliska nauczycielek, — dodał Kański.

— Najchętniej, co rok tę sumę tysiąca guldenów na ten cel przeznaczam, wycofując się jednak z drogi grzechów. Zakończył Jerzy, wymownem spojrzeniem dając silniejsze od słów zobowiązania.

— Panie hrabio, widzę ze smutkiem — zwrócił się Kański do gościa, kiedy przechodzili od stołu do saloniku, — że nasza miła znajomość nie tylko nie stanie się przyjaźnią, ale grozi zerwaniem dzięki temu, że tak pana bez litości dziś moje panie oskubały.

— Albo zakończy się jeszcze czemś lepszem od przyjaźni — dodała cichutko pani Zofia, a Jerzy kilkakrotnie ucałował piękną rękę młodej gospodyni, oczyma mimowolnie biegnąc za Maryą, która poszła naprzód ze Stasiem.

Od tego dnia przez cały przeciąg dni dziesięciu Jerzy bywał codziennym gościem u Kańskich. Pani Zofia otwarcie wyrażała mu swoją przyjaźń, a zdaje się, że pod sekretem i w porozumieniu z mężem, obiecała i swą pomoc życzliwą. Na pozór stosunek Jerzego do Maryi nie uległ żadnej widocznej zmianie. Spotykali się codzień, zawsze z uśmiechem, zawsze z radością, lecz o uczuciu nie było nigdy już mowy między nimi. Jerzy zrozumiał, że Marya należy do tych wyjątkowych i rzadkich natur, które się nie dadzą uwikłać w sieci salonowych półsłówek i niedomówień, które zawsze i wszędzie są świadome swych uczuć i słów, i które nakoniec, gdy raz pokochają, można przyjść i wziąć bez słowa w uścisk gorący, a które bez uświadomionego tego uczucia na drodze usiłowań samodzielnych,

nie dadzą się porwać ani pozą, ani zapałem nawet istotnym, ani wymową najgorętszą.

Miłość takich kobiet to nie sztuczna fontana, którą lada przechodzień puści lub zamknie, lada wiatr lub wypadek w grubsze strugi lub drobny pył kropelek zamieni. Ta miłość to potok czysty, rwący i silny, który zwycięża zawsze i wszędzie wszystkie przeszkody, szerząc dokoła życie, ruch, czasem i ruinę; to potok, który zawsze znajdzie ujście w wielkich zadaniach życia ludzkości, zajmując wyznaczone sobie podniosłe stanowisko.

Rozumiał to dobrze Jerzy, więc się nie śpieszył, więc nieraz gwałtem połykał słowa, które z ust mu wybiegnąć chciały, miarkował spojrzenia, skracał rozmowę i bytność swoję. A za to nocy całe i wolne dnia godziny badał siebie, rozbierając swoje «ja» na atomy, aby ze swojej strony stanąć na gruncie niewzruszonych i możliwie pewnych danych w zrozumieniu swoich własnych uczuć. I takie samobadanie wypadło najpomyślniej. Kiedy na dwa dni przed Maryą ruszył do Ługolasów z Warszawy, był już ostatecznie zdecydowany. Co do Rogalskiego był zupełnie spokojny. Tej sprawy nie badał, wiedział jednak od pani Zofii o zerwanym stosunku. Był również przekonany, że Marya w żadnym razie nie zostawiłaby go w niewiadomości, gdyby ją cokolwiek łączyło z losami Rogalskiego.

Jej doskonale wykończona strona etyczna nie zniosłaby nigdy żadnej dwulicowości w wypadku podobnym, kiedy ją wzrok nie mógł mylić, ile razy go zatrzymała na wpatrzonym w siebie Jerzym.

Słusznie domyślał się Jerzy, że rozwiązanie wątpliwości z Rogalskim niewątpliwie wpłynęło dodatnio na Maryą odnośnie do niego, lecz był jeszcze dalekim do poznania bodaj że jeszcze ważniejszej przyczyny, którą było oddalenie się od Ostrówka i Ługolasów. Tam ona, córka dzierżawczyni, która płaciła, jak powszechnie mówiono, bardzo niską cenę dzierżawną, widziała w Jerzym zawsze i wszędzie przedewszystkiem tego dobroczyńcę, właściciela Ostrówka.

Nikt nie domyślał się, nawet matka, ile biedne dziewczę cierpiało nad tem, nie będąc w możności żadnej rady znaleść na ten trochę urojony ból.

Tu zaś w Warszawie, na gruncie neutralnym, spotykali się jak równi: inteligentnej i szlachetnej Maryi nawet na chwilę nie imponowały ród i bogactwo Jerzego, ona w nim widziała przedewszystkiem człowieka i tego człowieka pokochała z całą siłą w tej samej chwili, kiedy w tajemnej naradzie z sobą samą uznała go godnym swojej miłości.

Źle myślą ci wszyscy, którzy przypuszczają, że takie uczucia mogą uledz sile perswazyi, namowy lub jakimkolwiekbądź postronnym wpływom; ow-

szem raczej to wszystko je potęguje, kreśląc drogi dla szalu i wybuchów, kopiąc jamy dla upadku i upodlenia.

Takie dwa uczucia, skrzyżowane wzajemnie, mogą zginąć tylko we własnej bezsilności, zgasnąć tylko we własnych popiołach. Języki ludzkie, zła lub dobra dola, suma usiłowań uwieńczonych, mogą tylko sprowadzić czasową oscylacyę, która wkrótce ginie przechodząc w stan właściwy — w stan wzajemnego zadowolenia.

Przeszkody więc do pewnego stopnia są tylko pożądanym probierzem, który, rzecz prosta, w trzech czwartych wypadków przeklinają zakochani pod czujnem okiem rozumnych ojców, matek i t. d. zostający.

W ostatni wieczór, kiedy Jerzy przyszedł z pożegnaniem do Kańskich i zapytywał Maryą o zlecenia do Ostrówka, chmura zadumy okryła jej czoło, i długo milczała.

— Niczem pana nie będę utrudzać dla przesłania do Ostrówka, oprócz prośby o konie na pojutrze do kolei. Muszę to wytłómaczyć mateczce, że źle robi wysyłając mnie na tak długo z Ostrówka, — dodała z nieznacznem westchnieniem, — tak łatwo się traci z trudnością zdobyty jakiś punkt oparcia... nieraz w ważnej sprawie.

— Co się łatwo traci, może nie wartem jest odzyskiwania, a nawet żalu—ośmielił się dodać Jerzy.

— Zawsze się trzeba bronić przed upadkiem, choćby ten tylko małą cząstkę nas całych dotykał, w dziedzinie choćby jednego tylko z naszych przekonań.

— «Nasze przekonania żyją i kształcą się wraz z nami»—odpowiadam aforyzmem i obiecuję..... za dni kilka zajrzeć do gorzelni w Ostrówku.

IX.

Zaraz na drugi dzień po powrocie do Ługolasów, Jerzy wybrał się do Ostrówka, miał on jednak cokolwiek ważniejszy cel przed sobą, jak uwiadomienie pani Brońskiej o powrocie córki.

Postanowił bowiem nie zwlekając już dłużej, jasno i szczerze wyspowiadać się przed matką Maryi, ze swoich uczuć i zamiarów, uważał to za obowiązujące dla siebie szczególniej w wypadku, który mógł i matce i córce nasunąć niekorzystne wspomnienia związane z imieniem Hołodajów.

Brońska umiała tak dobrze panować nad sobą, że nigdy i przed nikim, a tembardziej przed Jerzym nie zdradziła się z niczem takiem, coby względem

zmarłego hr. Szymona mogło być tłómaczone, jako objaw żalu lub niechęci; owszem mówiła o nim krótko lecz zawsze z uznaniem tych zalet, jakie były znane powszechnie.

Co się zaś tyczy owych pamiętnych oświadczyn hrabiego, idąc za radą ojca, tak głęboko i starannie ukryła swoje wrażenia w głębi duszy, że nikt przez lat tyle nie domyślał się nawet tego krótkiego, lecz smutnego dramatu.

I Jerzy nie mógł nie czuć dla Brońskiej za to prawdziwej wdzięczności i szacunku, dziś, kiedy każdy zarzut, dotykający stryja, byłby poniekąd pociskiem i na niego wymierzonym. Niemniej przeto, widząc w losach swoich i stryja niejaką wspólność uwarunkowaną zwracaniem się ich obu w jednę i tę samą stronę, choć drogi któremi szli były tak różne, czuł się w obowiązku jeszcze raz tę sprawę w szczerej rozmowie z Brońską poruszyć, i, o ile można będzie, wpłynąć na jej zupełne, korzystne umorzenie.

Brońska, zdaniem jego, nie mogła prawdopodobnie aż dotąd zapomnieć o doznanej krzywdzie i mogła, mimowolnie nawet, oddziałać na Maryą w kierunku najmniej pożądanym dla niego.

Jadąc do Ostrówka wziął z sobą i ten list Brońskiej, pisany przed laty do zmarłego stryja.

Powitany, jak zawsze, uprzejmie, natychmiast przystąpił do sprawy, która go paliła najwyższą niecierpliwością: wszystko inne wydawało się dlań błahem.

— Jeszcze raz jeden, ale to już chyba ostatni, staję przed panią jako spadkobierca mojego stryja, i proszę panią o życzliwą cierpliwość i przychylność sprawie zbyt bliskiej i drogiej dla mnie.

— Zawsze chętnie pana wysłuchać jestem gotowa, a to tembardziej iż z zapowiedzi pańskiej muszę wnosić, iż rozmowa i mnie niemniej będzie dotyczyła z tytułu władania Ostrówkiem, skoro pan hrabia, jako spadkobierca, występuje—odpowiedziała Brońska, cokolwiek zdziwiona słowami Jerzego.

— Bynajmniej, pani, tu o Ostrówek i interesy majątkowe zupełnie nie chodzi, choć nie mniej sprawa i panią bardzo zainteresuje.

— A więc słucham pana, dodając, że i cierpliwość i przychylność ma pan dla siebie zabezpieczone.

Jerzy wydobył z kieszeni pożółkły list i, nie mówiąc ani słowa, podał go pani Brońskiej, która zrazu ujęła papier z wyraźnem zaciekawieniem, lecz już po odczytaniu pierwszych wyrazów, gwałtownie poruszona zwróciła się do Jerzego.

— Skąd i dla czego znalazł się ten list w pańskich rękach?

— Wypadkiem znalazłem go w papierach zmarłego stryja, które byłem zmuszony przejrzeć, nie prostą ciekawością wiedziony, lecz obowiązkami następcy jego w dziedzictwie.

— Tak, to prawda,—wyszeptała Brońska,—zapomniałam w tej chwili, że pan hrabia jest ogólnym spadkobiercą, to sprawa tak dawna, i sądziłam, że ze wstąpieniem do grobu hr. Szymona, zostanie moją jedynie własnością.

— I tak będzie niewątpliwie; przywiozłem ten list, by go pani oddać do rozporządzenia, lecz.....

— Och! dziękuję, stokrotnie dziękuję—mówiła z ożywieniem, kurczowo ściskając list w ręku.

— Lecz jednocześnie proszę panią o prawo powiedzenia tu słów kilku z powodu tego listu, którego treść jest mi dobrze znaną.

— Wolałabym tego uniknąć, ale jeśli to pan uważa za potrzebne.....

— Za konieczne nawet i błagam panią o to—i przy tych słowach kilkakrotnie ucałował rękę Brońskiej, w oczach której łzy zabłysły.

— Tak, ja, jako spadkobierca mojego stryja, nie chcę dzielić z jego pamięcią tych łez żalu i słusznego oburzenia pani, nie chcę, bo ja wystąpienie stryja mojego potępiam. Lecz, pani, on w grobie, po

długich latach cierpień tem większych, że z nikim niepodzielanych, po tylu ciosach przeżytych, tem boleśniejszych, że stryj mój za życia zdawał się być uosobieniem siły i wytrwałości. I on, jak człowiek, popełniał błędy, a z nich ten, którego pani padłaś ofiarą, może najcięższy; mnie jednak nic nie pozostaje, jak po zaznaczeniu mojego sądu o tem, dziś prosić panią o zapomnienie i przebaczenie.

— I na jedno i na drugie dawno się już sama zdobyłam.

— A więc mogę mieć nadzieję, że dziedzictwo żalu i niechęci ze strony pani mię ominęło?

— Nawet pewność zupełną. Od pierwszej chwili poznania pana jestem wolna w mym sądzie o nim od wpływu jakichkolwiek bądź wspomnień i względów.

— I ten jest?

— Tajemnicą — uśmiechnęła się przy tych słowach Brońska.

— Którą ja rozwiążę na swoję korzyść, jeśli pani pozwoli — zwrócił się z prośbą w głosie Jerzy — i na tej podstawie będę miał już odwagę przystąpić do drugiej połowy zamierzonej rozmowy.

Przy tych słowach, na twarzy Brońskiej ukazał się nieznaczny uśmiech, lecz zginął wnet, skoro spostrzegła pomieszanie Jerzego i wyraźne udręczenie, w jakiem zostawał. Jako kobieta uczuła się

tem poruszona, nie zastanawiając się nawet na razie, co mogło być powodem takiego stanu.

— Chętnie się zgadzam i ja na to, tembardziej że to się zgadza z rzeczywistością.

Lecz Jerzy zamilkł i utonął w dręczącej zadumie. Po upływie kilku minut milczenie stało się nad wyraz męczącem dla stron obu.

— Jak się pan bawił za granicą i w Warszawie?

— A, bardzo dobrze, bardzo dobrze, choć nie, nie mogę tego powiedzieć, raczej źle..... a może, nawet pewniej, że dobrze.

Brońska ponownie się uśmiechnęła, a Jerzy, widząc ten uśmiech, zapłonął potężnym rumieńcem.

— Pani, przez litość, choć jedno słowo zachęty, wszak pani już wie chyba o co mi idzie!

Brońska odrazu spoważniała, a nawet niby lekka chmura przemknęła po jej twarzy.

— Może się i domyślam, panie hrabio, lecz..... milczeć muszę, a już to o zachęcie nie może być mowy.

Jerzy zrozumiał swoję niezręczność i to go jeszcze bardziej zbiło z drogi uplanowanej rozmowy. Lecz z całym wysiłkiem woli opanował swoje wzruszenie i zaczął rozmowę na nowo, choć już silnie drżącym głosem.

— Czy panna Marya wie o tym nieszczęśliwym kroku mojego stryja przed laty?

Teraz na Brońską przyszła kolej silnego zakłopotania.

— Wie o tyle, że raz przed nią wspomniałam o wielkiej przykrości, doznanej od zmarłego hrabiego, lecz nic nadto.

— Ale to było dość, by panna Marya poczuła pewną niechęć ku mnie!—wybuchnął Jerzy w zapomnieniu.

— Ani trochę, o niechęci mowy tu być nie może. Wspominając o tem przed nią, miałam na myśli jakiś rodzaj hamulca na.....

— Na co? o, powiedz pani, ulituj się nademną!

— Na uczucie żywsze, które mogło, jak gość niespodziewany, niemile zakłócić spokoj mojego dziecka.

— Cofnij pani swoje wyrazy, o, cofnij je pani, bo ja kocham pannę Maryą uczuciem wielkiem i jedynem, uczuciem, w które włożyłem wszystko co żyje we mnie najlepszego, a nie jakąkolwiekbądź kombinacyą interesu i względów. Przyszedłem, by tu przed panią złożyć to wyznanie, nie proszę cię o nic, boć prośba każda w takim wypadku jest śmieszna conajmniej, lecz czekam wyroku pani, czy mogę odtąd, zwrócić się już wyłącznie do panny Maryi i szukać jej wzajemności, a więc—najwyższego szczęścia dla siebie na ziemi?

— Dziękuję panu za szczerość i za ten krok zaufania i, płacąc tem samem, nie waham się ani chwili, by panu oświadczyć, że mu wierzę najzupełniej i ufam w prawość pańskich uczuć. Co się zaś tyczy tego wyroku, który pan pragnie usłyszeć, ten jest łatwy i krótki: jeśli moja córka pana kocha lub pokocha i zechce zostać pańską żoną, znajdziecie oboje we mnie kochającą matkę, dziś ja panu nic nie obiecuję, ale chętnie zezwalam, na starania pańskie w tym celu skierowane. Czy jest pan zadowolony?

— Najzupełniej, i z całego serca dziękuję pani za te słowa.

— Lecz, panie Jerzy, proszę pamiętać, ja ani jednem słowem nie będę się starała wpłynąć na moję córkę, tak bardzo się obawiam tego wpływu, w wypadkach, kiedy postanowienie ma o całem życiu decydować. Korona hrabiowska i bogactwo— to zbyt ważne czynniki, które wchodzą tu w grę na korzyść pańską, a których urok działa tak dobrze na moję córkę, jak i na wszystkie kobiety, ma więc pan dość sprzymierzeńców.

— A jednak byłbym szczęśliwy, gdybym przed ślubem wolny był od nich—rzucił Jerzy z uśmiechem.

— To prawda, łatwo wierzę panu, pociesz się pan więc, bo o ile znam moję młodszą córkę, bo-

gactwo i tytuły w ogóle mało jej imponują, a jako pańscy sprzymierzeńcy dotąd były nawet szkodliwe.

Jerzy zrazu zdumiony, po chwili zawołał:

— Ha, teraz rozumiem tę niechęć ku mnie, te jakieś cienie tajemnicze, które jak groźne widma, przesłaniały nasz dotychczasowy stosunek. O stryju, jakże i dobrem i ciężkiem jest twoje dziedzictwo!

Stanęło na tem, że Marya nie będzie nic wiedziała o ich rozmowie, prosił o to Jerzy, który nawet w ten sposób nie chciał wprowadzać w swój stosunek z Maryą jakiekolwiekbądź wpływy postronne.

W parę godzin po powrocie do domu Jerzy został uwiadomiony o przyjeździe Rogalskiego i powitał przybywającego z nieudaną radością, na razie zapominając o tem, że to, co jego uszczęśliwiało w zarysach szczęścia przyszłego, było jednocześnie dotkliwym ciosem dla biednego Juljana. To egoizm w zadowoleniu, tak często i powszechnie wsród ludzi spotykany.

Ale już sama powierzchowność Rogalskiego wnet go opamiętała.

Rogalski był mizerniejszy, niż przedtem i dziwnie smutny już na pierwsze wejrzenie nawet dla niewtajemniczonego.

Jerzy zbliżył się doń z serdecznym dłoni uściskiem i wyrażonem we wzroku współczuciem.

Rogalski pośpieszył z raportem czynności dokonanych i rezultatów osiągniętych, lecz Jerzy więcej udawał że słuchał, niźli słuchał istotnie. Zajęło go prawdziwie tylko sprawozdanie o tem, że już wszyscy gracyaliści stryja są na miejscu w Szymonowie, oprócz jednego tylko gajowego Onufrego, który posadził na swej sadybie córkę i zięcia, a sam nadal pozostał na służbie, w nadziei „że jeszcze stary Onufry prochu nie psuje, a i okiem nie zawiedzie", jak mówił uśmiechając się do puszcz leśnych i budząc tym śmiechem echa starego boru.

W ten sposób jeden z legatów hr. Szymona już tak prędko ku zadowoleniu wiernych służących, został przyprowadzony do skutku, i Jerzy z tej strony mógł się już czuć spokojnym.

Zato zmartwiła go wiadomość, że wnet po jego wyjeździe zjawił się u Rogalskiego Purchała i przedstawił mu formalny akt, na mocy którego został on wspólnikiem kupca, który ryczałtowo nabył całą ilość drzewa wskazanego do sprzedaży w ciągu lat pięciu z Ługolasów na pokrycie posagu hrabianki Cecylii. Wypadek podobny nie mógł być przewidziany, a umowa wyraźnie zastrzegała dla kupca takie prawo przybrania wspólnika.

— Ha, to już trudno, panie Juljanie, będziemy się starać, aby jak najmniej mieć do czynienia z tym panem.

Raport nareszcie się skończył i Juljan zamilkł, a wtedy Jerzy jeszcze czegoś jakby czekał od niego, choć sam pytać nie śmiał, nie chcąc go dotknąć niedelikatnością.

Rogalski ze swojej strony czuł to aż nadto dobrze, że po tej rozmowie, która poprzedziła wyjazd Jerzego za granicę, winien on temuż Jerzemu, i to nie dziś, lecz wnet po ostatecznem i smutnem rozstaniu się z Maryą, zawiadomienie o tem, jako zadosyćuczynienie niejako za tę szlachetną chęć usunięcia się, choć Rogalski mógł łatwo odgadnąć, z jaką trudnością było to dla niego połączone.

A jednak milczał, i wtedy i dziś napróżno usiłując dobyć głos z siebie. Napróżno szlachetność walczy w nim z miłością własną: pierwsza niby zwycięża, ale druga coraz silniej usta zamyka. A co będzie, jeśli ten hrabia Hołodaj, jego pracodawca, parsknie mu w oczy śmiechem, kiedy się dowie, że on, nadleśny, zawiadamia go, że po odebranym odkoszu on już nie stoi na drodze hrabiemu do szukania względów u panny Brońskiej?

To nowy cios dla niego, który i tak już upada po brzemieniem poprzednich. Niech sobie będzie, jak będzie!... To osłabienie etyczne, które nadmiarem bólu zawsze bywa spowodowane.

— Czy pan się nie namyślił, panie Juljanie, aby i nadal wspólnie ze mną tu w Ługolasach pracować?

Rogalski spojrzał jakoś badawczo na Jerzego i na jego twarzy dostrzegł ślady nie dającego się ukryć tkliwego współczucia. Odgadł, że Jerzy wie już o zerwaniu z Maryą. Odetchnął więc, jakby jakiś ciężar go tłoczący spadł z niego odrazu, i raczej do siebie, niż do Jerzego zwrócił pytanie.

— A czyż mógłbym już tu w Ługolasach dłużej teraz wysiedzieć?—Jerzy zrozumiał, że wszystko co mógłby na obronę swoich planów powiedzieć, było by tylko brzydkiem samolubstwem z jego strony, lub mogłoby się nawet wydać naigrawaniem się.

— Panie Juljanie, mówmy jak przyjaciele: ja wiem, jak ciężkim mógłby się panu wydać dłuższy tu pobyt i przepraszam pana za moję nieuwagę. Ale powiedz mi otwarcie, czy nie mógłbym być panu w czem użytecznym; i ja, nie dalej jak przed czterma laty, byłem w takiem samem położeniu, choć z innych powodów, i mniej będąc usposobionym do pracy zawodowej, a znalazłem i pracę i zarobek dzięki przyjacielowi, którego los wypadkiem na moję drogę rzucił.

— Dziękuję panu, lecz trudno mi dziś coś na to odpowiedzieć, gdyż sam jeszcze nic nie postanowiłem, a później... może będę korzystał...

— A nawet mam myśl wyborną! — zawołał Jerzy, — czy dla pana nie stanowiłoby różnicy na czas jakiś wyjechać z kraju?

— Dziś, — chyba nawet ulgę.

— A więc pozwala mi pan próbować zapewnić panu odpowiednią posadę na Węgrzech, w tych samych dobrach, które mnie przed czterma laty oddano w zarząd?

— Na taki projekt zgadzam się już dziś bardzo chętnie.

— Niezwłocznie rozpocznę starania.

I istotnie jeszcze tegoż samego dnia napisał list do Görgöly'ego, polecając Rogalskiego z najlepszej strony i prosząc o śpieszną decyzyę.

A tymczasem sam rad nie rad musiał zwolna brać na siebie cały zarząd obszernego majątku, którą to pracę spełniali Purchała z Rogalskim pod doskonałem kierownictwem hr. Szymona. Lecz Jerzy miał już zasób doświadczenia z trzech lat pracy samodzielnej, a obok tego siły i wytrwałość ogromną. A pracował tem chętniej, tem zawzięciej, że mu się zdawało, iż każda kropla jego potu, każda godzina zmęczenia bardziej go zbliżają do celu upragnionego, bardziej zacierają tych nie potrzebnych sprzymierzeńców — herb i bogactwo, które go dotąd przesłaniały jakby zbroją, z poza której trudno mu było się wydostać, jako równemu Maryi człowiekowi mężczyznie, który ją ukochał, któryby ją chciał i mógł otoczyć dobrobytem własną pracą zdobytym, a nie rzeczą przypadku lub

szczęścia będącym, jak to z nim miało miejsce. I w tem się nie mylił. Prawdziwie kochająca kobieta zawsze jest zdolna przenieść rezultaty pracy ukochanego nad szczęście losu lub nieprzewidziany wypadek. Przy całej chęci użycia, zwycięży w niej zawsze uznanie za pracę dla siebie tylko podjętą, choćby nawet takie pojęcie miało ubliżać tej pracy mężczyzny, jako dla społeczeństwa i ludzkości przeznaczonej. Faktem jest niewzruszonym, że włoscy bandyci i kosmopolityczni złodzieje cieszą się wielu względami u swych kochanek, które, oddzielnie brane, są często najuczciwszemi kobietami w swojem otoczeniu. Ci bandyci i złodzieje są kochani właśnie za wielkość wysiłków podjętych dla zadowolenia żądań i potrzeb kochanek. Tem wyraźniej i powszechniej ma to miejsce z pracą uczciwą, za pomocą której ukochany zdobywa środki wyłącznie dla niej: wtedy ta «ona» łatwo traci z oczu celowość pracy i jej pożyteczność dla ogółu.

Do Ostrówka Jerzy nie śpieszył, jakkolwiek wiedział, że Marya już jest w domu, lecz za to niemal codzień robił wycieczki w tę ustroń cichą a piękną, która tak podobała się Maryi. Przeczuwał on, że pierwsze spotkanie się z Maryą tu, w tym zakątku będzie dla niego korzystniejsze, niż gdyby wypadło w Ostrówku. Zrazu miał on zamiar posłać tam

ogrodnika i cieślę z robotnikami dla ozdobienia malowniczej ustroni, lecz łatwo ten zamiar porzucił, słusznie rozumując, że na Maryą mogłoby to wywrzeć niemiłe wrażenie, gdyby ktokolwiek nawet w najlepszym celu targnął się na to, co dla niej było miłem, a może i pełnem wspomnień. W różnych więc porach dnia, to konno, to lekkim kabryoletem, to nawet pieszo, zawsze w towarzystwie Madziara, przybywał tu Jerzy, lecz przez długi czas napróżno.

Spotykał czasem starego Onufrego, lecz ten ograniczał się na powitaniu tylko i, nawet wciągany przez Jerzego w rozmowę, pozostawał mrukliwym i jakby niechętnym, co nie uszło baczności Jerzego, robiąc mu przykrość niemałą.

A wiosna coraz piękniej i obficiej roztaczała swoje powaby i władzę dokoła. Był to już kwiecień. Las z każdym dniem stawał się piękniejszy, kiedy zwolna ustępowały z niego zimowe wody to w drobne strumyki zebrane, to jako opary wiatrem gonione, a wraz z ich ustąpieniem wszędzie budziło się życie, czarne i brudne plamy pokrywały się zielonością, tu i owdzie skromny kwiatek wyzierał, a las przez dzień cały rozbrzmiewał całą kaskadą śpiewnych głosów ptaszęcych.

Z każdej takiej wycieczki Jerzy wracał zmęczony, lecz i upojony, z coraz to nowem i silniej

budzącem się pragnieniem miłości, którą widział i czuł dokoła siebie w tysiącznych objawach i przeobrażeniach.

Lecz jednocześnie i szukał i bał się spotkania z Maryą. Zdawało mu się, że dziś nie będzie już w stanie znieść jej ironii lub obojętności, że mógłby, w jednym szalonym porywie namiętnym zburzyć na zawsze to szczęście upragnione przedwczesnem i niezręcznem wystąpieniem. Męczył się więc nad miarę swoich sił lat dwudziestu dziewięciu, ale coraz bardziej w sobie zamykał i nie jechał do Ostrówka. Z Rogalskim widywał się często, lecz już nigdy nie przychodziło między nimi do poufniejszej rozmowy: obadwaj nie czuli się dość obojętnymi tym sprawom, o których jedynie mogliby rozmawiać z żywem zainteresowaniem.

Pewnego dnia Jerzy otrzymał bezimienny list, który go przejął najwyższem oburzeniem. Nieznany autor w zjadliwych słowach winszował mu zdobyczy, którą, jakoby już dobrze nadpsutą, wziął w spadku po swoim nadleśnym. W niegramatycznych słowach listu przebijała się tak ogromna zaprawa jadu i złośliwej radości, że Jerzy aż drgnął po kilkakrotnem odczytaniu tych krzywo napisanych kilkunastu wierszy. Kto mógłby być tym autorem, który aż tyle zdradzał przenikliwości w odgadnieniu sprawy, będącej jak się zdawało wy-

łączną Jerzego własnością? Komuż on Jerzy, przez ten ciąg trzymiesięcznych rządów swych i prac, mógł zrobić coś tak złego lub krzywdzącego, by aż taką zemstę wywołać? Takie pytania cisnęły mu się gwałtem do głowy, a myśl zgorączkowana jedną tylko dawała odpowiedź: Purchała, Purchała, Purchała... i to nazwisko stało się zmorą dla Jerzego. Próżno walczył rozumem, napróżno po tysiąc razy sobie powtarzał, że tak jak postąpił z Purchałą, postąpił dobrze, że wreszcie słowa listu są tylko potwarzą ohydną, napróżno nawet list sam rzucił w ogień — wrażenie pozostało na długo, i Jerzy miotał się w gniewie najzupełniej bezsilnym.

Nie wolno mu było, pod groźbą niedorzeczności lub nawet śmieszności, powodując się li tylko wewnętrznem przekonaniem, zwrócić się do Purchały z żądaniem wyjaśnienia słów już napisanych i bezwarunkowego zaprzestania dalszych prób w tym rodzaju. A jednak czuł on aż nadto dobrze, że Purchała z tytułu robót leśnych za często snuje się w granicach jego posiadłości, że ma on jakieś cele ukryte, cele, które gdy raz były rezultatem jego zawziętości, musiały być i złośliwe i nikczemne. Prawdopodobnie Purchała nie mógł aż dotąd zapomnieć odmowy Anusi Płużyckiej przed trzydziestu laty, w dalszym ciągu był rozwścieklony zwycięztwem Rogalskiego i swem przymusowem od-

daleniem, a w końcu działał on może pod wpływem poczucia swych sił i odzyskanej swobody, po tylu latach żelaznego rygoru i służalczego życia. Natury niebierne, często przy podobnych warunkach upodlają się najzupełniej, o ile nie są trzymane na wodzy przez wyrobioną uczciwość i przyrodzoną szlachetność. Nie zdolne są one widzieć dokoła siebie szczęście lub powodzenie, aby jednocześnie nie wystąpić w charakterze niszczyciela dla własnej przyjemności. Rogalski jeszcze mocniej utwierdził Jerzego w powziętem podejrzeniu, opowiadając, że podczas nieobecności Jerzego Purchała kilkakrotnie, z właściwem sobie natręctwem usiłował się zbliżyć do niego, lecz stale odpychany milczeniem lub nawet jawną niechęcią, usunął się z groźbą wyraźną w chytrym uśmiechu.

Wśród zajęć różnorodnych dni szybko Jerzemu mijały.

Od Görgöly'ego wkrótce otrzymał on depeszę, której treść wybornie malowała autora. «Czy twój protegowany nie ma bogatego stryja? nie umiem płakać, a jednak przyjadę, ażeby cię przekonać, że albo śmiech mój wart jest płaczu innych, albo też przyczyna, która ma cię do płaczu usposobić, jest raczej śmiechu warta. Elza jest na ciebie oburzona, występuje teraz w Tryeście i tam czeka odszkodowania.»

Jerzy z uśmiechem kilkakrotnie te słowa odczytywał, nie odrazu umiejąc je powiązać w logiczną odpowiedź na swoją kartkę, list obszerny poźniej i czas gościny u Andrzeja.

Zapowiedziany przyjazd Andrzeja ucieszył go niezmiernie, lecz postanowił wszelkiemi siłami uniemożebnić poznanie się przyjaciela z mieszkańcami Ostrówka, obawiał się bowiem, że towarzystwo takiego Andrzeja mogło niekoniecznie w dobrym kierunku oddziałać na Maryą, której usposobienia dobrego dla siebie tak bardzo był dotąd niepewny.

Z drugiej zaś strony czuł się zobowiązanym zrobić wszystko możebne w tym celu, aby pobyt jemu u siebie umilić. Na szczęście miał on w swych lasach niewielką przestrzeń ze stałem miejscem pobytu kilku stad dzików, która w tym czasie była jeszcze niemal całkowicie oblana wodami pozostałemi z roztopów wiosennych, i dzięki temu mogła w każdej chwili, służyć wyborną knieją dla myśliwych. A obok tego i Rogalski i Onufry napewno obiecywali kilka łosi. Z tej więc strony Jerzy mógł być zupełnie zadowolony.

Przegląd piwnic pałacowych również wypadł nadspodziewanie pomyślnie. Zostawały one pod kluczem starego Mikołaja i dzięki temu ocalały przed łupiestwem samowolnych rządów Purchały. Mikołaj już teraz mieszkał w Szymonowie, lecz je-

go następca, młody służący świeżo przyjęty, z zadowoleniem wskazywał Jerzemu omszałe szeregi butelek, niepuste oksefty i antałki. Brakowało win szampańskich, ale za to ten brak łatwo się dawał nagrodzić przepysznym doborem starych win burgundzkich, reńskich i węgierskich. Snadź hrabia Szymon w tym dziale swoich potrzeb był i znawcą i lubownikiem.

Jerzy zdecydował się również, jakkolwiek z pewną przykrością, poskładać wizyty w nielicznych i dość odległych domach sąsiedzkich, a to w celu umożebnienia większego towarzystwa dla Andrzeja. Już w dniu następnym miał on rozpocząć ten trudny obowiązek, ale uratowała go nowa depesza Andrzeja:

«O ile rozkłady pociągów na waszych kolejach nie kłamią, równie dobrze, jak wasi panowie bawiący za granicą, kiedy i czynem i słowem dają świadectwo zamożności swojego kraju, za osiemnaście godzin powinienem być na najbliższej stacyi kolejowej od twojej rezydencyi. Po upływie więc tego czasu i jakiegoś jeszcze dodatku będziesz mógł odemnie żądać zadosyćuczenia w sprawie obrazy panów.»

Depesza była podana na granicy: pozostawało czasu zaledwie tyle, aby konie mogły zdążyć na czas do stacyi kolejowej.

Rankiem dnia następnego Jerzy ściskał przyjaciela, który oddając uścisk jednocześnie pytał, co będzie z pojedynkiem.

— Jakim pojedynkiem?—odparł zdumiony Jerzy.

— A za obrazę waszych panów!

— O ile miałeś na myśli to stale spostrzegane przez wszystkich obcokrajowców zjawisko, że my wszyscy Polacy, bawiąc za granicą, robimy wrażenie mieszkańców kraju złotem brukowanego, a w rzeczywistości nasz kraj jest biednym i ciężko nawet biednym, to muszę ci tylko powinszować bystrości, mogę nad tem zaboleć, choć nie teraz, gdy ciebie witam, ale nigdy gniewać się za to nie mam prawa. Zresztą mówiłeś o panach, — a ja do nich nie należę.

— Jeszcze w ich skórę nie wlazłeś,—rozumiem.

— To chyba i nigdy nie wlazę. Witam cię więc serdecznie i proszę, byś od pierwszej chwili dom mój uważał za własny.

— Czy z nikim tu jeszcze władzy nie dzielisz?— mówił żartobliwie Görgöly, z ciekawością rozglądając się po obszernych i wspaniałych pokojach, otwartych na przyjęcie gościa.

— Nie, panuję samowładnie i nie zniosę nigdy podziału.

— Cóż znowu, a ja myślałem, że tyś zapadł w ostatnich czasach na niebezpieczną chorobę, któ-

ra się leczy jedynie szczęśliwą podróżą do i od ołtarza?

— Gdyby nawet i tak było, to wtedy już będę zmuszony całkowicie z mej władzy tu w domu, rezygnować, bo podziału nie przyznaję w wypadku, kiedy takowy może być robiony przez dwie osoby, na dwa różne sposoby — raczej zupełne złożenie berła.

— Jurku, kiedyż ją, tę szczęśliwą, zobaczę, abym mógł jej powinszować dobrze rozpoczętego ujarzmiania?

Jerzy zlekka zapłonął i po chwili wykręcił się żartem.

— Trudno, byś zobaczył tę, która dotąd żyje w wyobraźni i pragnieniach.

— Chwała Bogu, chwałaż Bogu! — zakrzyknął z udanem przejęciem Görgöly — nie będę więc potrzebował stąd ruszać piechotą do Rzymu, jak to sobie ślubowałem, na intencyę samoobrony, a ruszę wprost na wyścigi do Francyi.

Jeszcze tegoż samego dnia udali się obaj przyjaciele konno do Rogalskiego w celu ułożenia zapowiedzianego polowania. Andrzejowi Rogalski bardzo się podobał od pierwszej chwili zrobionej znajomości, niemniej i Rogalski łatwo stracił swą sztywność w towarzystwie obu młodych swych gości. Görgöly biadał nad tem, że musi rozmawiać

po niemiecku z Rogalskim, który nie znał francuzkiego języka: utrzymywał, że i niemcy i język ich psują mu temperament, wpływając na szpetne uflegmatycznienie jego. Rogalski pośpieszył go zapewnić, że będzie się starał w najprędszym czasie przyswoić sobie węgierską mowę, dla porozumiewania się z nim.

— Nie będzie to trudnem dla pana, wtrącił Jerzy, — raz dla tego, że, ponieważ pan Görgöly w tej chwili jedzie ze swoich dóbr, będziesz pan miał bardzo wiele czasu przed sobą, zanim go pan znowu w tych dobrach powitasz, i powtóre pan Görgöly, jak mam nadzieję, łatwo natchnie pana tą miarą życzliwości dla siebie, jak to miało miejsce ze mną, kiedy przyjmowałem pracę u niego, a taka życzliwość będzie dobrym nauczycielem.

Po kwadransie rozmowy Görgöly zaproponował, by razem z Rogalskim opuścili Ługolasy, lecz ten ostatni zmilczał, spojrzawszy na Jerzego.

— Dobrze, ja się zgadzam, o ile to nastąpi najmniej za miesiąc czasu, koniecznie potrzebnego dla mnie, bym mógł się przygotować do braku pana Rogalskiego.

— To się rozumie, jeśli naturalnie sam nie pomyślisz o tem, by pozbyć się mnie wcześniej. Nie znam w Europie kąta, któryby mię nęcił w tej

chwili bardziej od tej wyspy z dzikami, którą mi obiecujesz.

Będzie to zupełnie coś oryginalnego!

Odbyła się prezentacya Swena i Andrzej został nim zachwycony. Przy pomocy Rogalskiego zaczął zachęcać niedźwiedzia do walki i łatwo mu się udało skusić zwierzę, które odpowiadało na jego gesty radosnem mruczeniem.

Sweno nawet, przez wzgląd zapewne na niedawną jeszcze znajomość, nie starał się o zwycięstwo i dał się obalić na kanapę. A może to był wybieg tylko zwierzęcia, aby się prędzej uwolnić i oddać się milszej zabawie z Madziarem, który niecierpliwił się widocznie, patrząc na walkę, w której nie mógł wziąć udziału.

Kiedy Görgöly usiadł zmęczony, pies wnet zajął jego miejsce, czem Sweno zdawał się być uszczęśliwiony.

Przy powrocie do domu, młodzi ludzie byli tak bardzo zajęci rozmową, że nie zwracali uwagi na drogę, którą jechali i dzięki temu koń Jerzego, niemal codzień odbywający drogę do ustroni przy chacie gajowego Onufrego, z przyzwyczajenia zwrócił się w tę stronę, poprzedzony przez Madziara, biegnącego naprzód. Jerzy spostrzegł się dopiero wtedy, kiedy już wyjeżdżali z lasu i chatę mieli przed sobą. Chciał się cofnąć, lecz to mu się nie

udało, bo Görgöly dojrzawszy zdala srebrzystą wstęgę wód Bugu, zaproponował dojechanie do brzegu rzeki. Wyjechali za chatę gajowego i ruszyli wolno brzegiem strumienia. W tej chwili głośne i zajadłe szczekanie zwróciło ich uwagę. Obejrzeli się w kierunku hałasu i zobaczyli Madziara, już za strumieniem o kilkaset kroków stojącego w groźnej postawie, ze zjeżoną grzywą, która stanowi charakterystyczną cechę tybetańskich dogów; na dwa kroki przed Madziarem ze straszną zajadłością rzucał się i szczekał duży pies Onufrego, nie mając jednak odwagi przystąpić do przeciwnika. Jeszcze chwila, a Madziar rzuci się na napastnika i, jak to było łatwo przewidzieć, zadusi go w mgnieniu oka. Jerzy, ogarniając spojrzeniem tę scenę, jednocześnie pod znajomym klonem na wzgórzu dostrzegł jasną suknię osoby, która w tej chwili powstała i zaczęła biedz w stronę psów.

Była to Marya.

Jerzy natychmiast, wyjąwszy świstawkę z kieszeni, dał hasło powrotu dla Madziara, lecz albo pies nie słyszał świśnięcia, albo też był zbyt dotknięty w poczuciu swej niewinności i obrażonej godności, — pozostał na miejscu, na pozór nieruchomy, lecz niemniej groźny.

Jasna suknia szybko zbliżała się z góry i należało ją koniecznie uprzedzić.

Obadwaj z Görgölym jednocześnie skierowali konie prosto przez strumień i jednym skokiem go przesadzili, galopem puszczając się przez łąkę.

Marya już wołała na psa, który był jej stróżem, lecz stróż ten, Ratuj, uzuchwalony przybywającymi posiłkami, jeszcze zajadlej rzucił się na Madziara. Dog wsparł się na tylnych łapach i straszliwe kły wyszczerzył, gotując się do napadu.

— Madziar, tu, do nogi! — dał się słyszeć trwogą nabrzmiały głos Jerzego, choć silny i niesłychanie donośny.

Posłuszny dog natychmiast zwrócił się do pana, z pogardą odwracając się od przeciwnika, który z głośnem szczekaniem rzucił się wślad za nim, jakby oznajmiając swój tryumf.

Marya zatrzymała się w miejscu. Görgöly sięgnął po szkła do kieszeni, kiedy Jerzy zaproponował.

— Podjedźmy, to moja znajoma.

Młodzi ludzie już stoją na ziemi z kapeluszami w ręku przed bladą Maryą.

— Stokrotnie przepraszam panią za mojego psa, który był powodem przestrachu pani — zwrócił się z ukłonem Jerzy.

— To nie pański pies winien, to mój Ratuj, na którego ja jednak gniewać się nie mogę, ceniąc jego dobre chęci w mojej obronie.

I przy tych słowach z podziwieniem patrzała na Madziara, który stał obok swego pana już zupełnie spokojny.

— Jakiż to piękny pies! czy jest to pańska własność, czy może..... ?—spojrzała w stronę Görgöly'ego.

— Tak, to mój pies; jest on równie posłuszny, jak ładny, może więc pani być zupełnie spokojna o los swego faworyta.

— Niech mi będzie wolno—przemówił po francuzku—przedstawić pani mojego przyjaciela i gościa, który w tej chwili dzieli poniekąd ze mną dolę przestraszenia pani: Andrzej Görgöly, węgier,— panna Brońska.

Marya życzliwie głową skinęła przedstawionemu, wyciągając rękę do Jerzego.

— Dog Madziar daje powód, że pani ma przykrość poznania madziara—zwrócił się Görgöly z uśmiechem.

— Chyba przyjemność tylko, już choćby dla narodowości pana i przyjaznych stosunków z naszym najbliższym sąsiadem.

— Potrójnie tedy rad jestem z tego, żem Węgier—pośpieszył z zapewnieniem i ukłonem Görgöly.

A Jerzy ujął ręką za grzywę Madziara i przyprowadził go do ręki Maryi, którą pies obwąchał

a następnie otarł się o nią swym łbem ogromnym.

— To akt poddaństwa i wiernej służby, podobny do zachowywanego po dziś dzień u wielu plemion indyjskich—zrobił uwagę Jerzy.

— Który ja rozszerzam na wszystkich madziarów— dorzucił Görgöly.

— W takim razie, widzę w tem tylko początek miłej znajomości—śmiało odpowiedziała Marya, podając rękę Görgöly'emu.

— Dla czego pan dotąd nie był w Ostrówku?— zwróciła się z zapytaniem do Jerzego.

— Dotąd ogrom zajęcia był mi przeszkodą; czy pani wie, że pan Rogalski mnie opuszcza, a wraz ze mną i kraj własny, gdyż ma objąć posadę w majątku pana Görgöly'ego?

I zdumienie i smutek odbiły się na twarzy Maryi.

— Nic o tem nie wiedziałem, i żałuję bardzo, że tracimy wszyscy miłego znajomego, a ja osobistego przyjaciela.

— Panie Görgöly, niech pan się postara o to, by panu Rogalskiemu nas zastąpić.

— Tego nie mogę podjąć się bez krzywdy dla pana Rogalskiego.

— Muszę już panów pożegnać, gdyż moja wycieczka, przydłuższa dzisiaj, może już niepokoić mateczkę.

To mówiąc Marya zwróciła się ku rzece.

— Czy pani pozwoli odprowadzić się do brzegu?— zapytał grzecznie Jerzy.

— Owszem.

Ruszyli wszyscy ku rzece. Ratuj, który przez cały czas tej rozmowy, siedział o kilka kroków i ciągłem warczeniem zdradzał swoję niechęć, pobiegł przodem. Jerzy zarzucił swojemu koniowi cugle na siodło i tak go puścił, wytresowane zwierzę poszło spokojnie wślad za panem. To dało możność Jerzemu iść obok Maryi. Koń Andrzeja kręcił się niespokojnie, rzucając pianą dokoła i dzięki temu, Görgöly musiał trochę zostawać za nimi.

— Czy ty swoim przyjaciołom zawsze dajesz gorzej ułożone konie?—zwrócił się żartobliwie Andrzej do Jerzego.

— Nie, lecz w wypadku podobnym, chętnie służę do prowadzenia konia—odpowiedział Jerzy, pośpieszając do Görgöly'ego, lecz ten nie przyjął pomocy, utrzymując, że koń by za następnym razem jeszcze więcej go nie słuchał.

Uradowany Jerzy powrócił natychmiast do Maryi.

— Od powrotu z Warszawy jestem tu codzień— zaczął rozmowę po polsku.

— Czy tak bardzo pan upodobał sobie ten zakątek?

— Istotnie, jest bo też tu i ładnie i jakoś miło; za każdym razem, kiedy usiądę tam na ławce, pod klonem, łatwo się daję porwać złudzeniu, że czuję dokoła siebie panią, i to panią, nie tę z Ostrówka przed paru miesiącami, lecz tę z Warszawy, przed paru tygodniami pożegnaną.

— Czy tak bardzo byłam do siebie niepodobna, tam w Warszawie?

— Raczej tu w Ostrówku.

— A jednak, jeśli pan zechce, to nadal tylko w Ostrówku, a nie w Warszawie, widywać mnie pan może.

— Tak, zechcę najniezawodniej, lecz to od pani zależy, zostać w Ostrówku taką samą, jaką pani była w Warszawie.

Czy pani może mi dać choć małą nadzieję co do tego?

— To nie zależy odemnie.

— Czyż odemnie?

— I to niezupełnie, lecz nie mówmy o tem, moje usposobienie bywa zawsze wyrazem poprzednich myśli—mówiła z poważnym, trochę smutnem spojrzeniem czarujących oczu.

— A czy otoczenie może czem oddziałać na myśli pani?

— Tak, czynami i czynami jedynie.

Stanęli już nad brzegiem. Niewielka łódka kołysała się na wodach rzeki, zaczepiona łańcuchem o nadbrzeżną wierzbę.

— Panno Maryo, jakżebym rad się zdobyć na cały szereg czynów i to czynów jedynie dobrych i pięknych, aby tylko.... myśli twoje,.... uczucia twoje ku sobie nachylić!—pół szeptem, lecz gorąco wymówił Jerzy.

Dziewczę spłonęło szkarłatem. Może to ostatni odblysk tej wielkiej, rubinowej kuli, która się tam, hen gdzieś na zachodzie, kryje za drzew wierzchołkami.

— Takie nachylenie albo przychodzi samo, bez współudziału czyjegokolwiekbądź, albo wcale nie przychodzi.

— Czegoż ja mogę się spodziewać?

— Tego, co bywa udziałem dobrych, silnych i szlachetnych; niech pan o tem pamięta, panie Jerzy!

A Jerzy by rad w tej chwili upaść jej do nóg i te stopy ucałować za takie słowa szczerej zachęty i zrozumienia. Ale Maryi już przy nim niema.

Jednym ruchem odczepiła ona łańcuch, a następnym już była w łódce, ujmując wiosła, swobodnie zaczepione w tulejach.

— Do widzenia, panie hrabio! Żegnam panów.

I łódka już mknęła z cichym prądem po powierzchni rzeki, zostawiając za sobą srebrne smugi

fal połyskliwych i tysiączne półkola odśrodkowe, ginące na całej szerokości rzeki.

— Jurku, czy ty oddawna jesteś już chory?—pytał Görgöly Jerzego, który w zapomnieniu o wszystkiem, okiem gonił łódkę i Maryą.

— Od chwili poznania—odpowiedział prawie machinalnie.

— Zazdroszczę ci szczerze tej choroby.

W milczeniu wracali do domu. Kiedy wjechali do lasu ogarnęła ich ciemność prawie i cisza, tylko z rzadka, przerywana jakimś głosem ptasim; lecz to nie śpiew, który jest pobudką do dnia pracy, do słońca, do życia, to jakieś tylko hasło krótkie, urwane, jakby okrzyk czujności podczas snu.

To znowu zkądś, niewiadomo nawet z której strony, dają się słyszeć jakieś szmery tajemnicze, jakieś niby echa przebrzmiałe, a na chwilę zbudzone, i giną tak i tam, jak i skąd przyszły, a na ich miejsce jeszcze głuchsza następuje cisza i martwota. Nad głowami jeźdźców to z prawej, to z lewej strony, leśnej, krętej drożyny ukazuje się blada, srebrzysta tarcza księżyca, którego i blask i barwa staczają walkę z ostatnimi słońca promieńmi, by z tej walki wyjść coraz czyściej, coraz jaśniej i wyraźniej.

Wierzchowce od czasu do czasu parskają, budząc setki ech w lasach dokoła, lecz częściej strzygą

uszami, to stając na chwilę, to trochę w bok się rzucając. A jeźdcy milczą. Napróżno Jerzy kilkakrotnie rozpoczyna pogawędkę o Monte-Carlo, Paryżu, wyścigach i polowaniu, Görgöly milczy lub odpowiada półsłówkami.

Wyjeżdżają na pole, droga staje się gładka i szeroka.

— Hop-ha!—woła Jerzy.

Konie galopują ochoczo, idąc równo i coraz bardziej przyśpieszając kroku.

Już się zarysowują ciemne plamy drzew i zabudowań, a na ich tle liczne, pojedyńcze światła.

— Jurku, czy wy tu dużo macie takich kobiet?

— Każdy z nas po jednej tylko, lecz nie wszystkie są do siebie podobne.

— Ale taką można znaleść, lub do niej podobną. Teraz rozumiem, dla czego wam łatwo jest uciec z Monte-Carlo, dla czego czasem nudzicie się w Paryżu, a nawet umiecie się wyrwać z objęć takiej Elzy.

Po tem wypadkowem spotkaniu, nie pozostawało już nic Jerzemu, jak tylko niezwłocznie zawieść Andrzeja do Ostrówka. Najbliższa niedziela była obraną dla tej wycieczki, a to dla tego, by uszanować porządek pracowitych dni powszednich w domu pani Brońskiej.

Pojechali w godzinach popołudniowych, aby, nie krępując gospodyni, módz jeszcze przed wieczorem wrócić do domu.

Zarówno Jerzy jak i Andrzej byli zdumieni, witając Maryą, która dla nich obu nie zdołała się zdobyć nawet na skromny uśmiech przy powitaniu. Powierzchowność zdradzała silne wymęczenie, które zarówno mogło być skutkiem nocy źle lub wcale niespanej, jak i silnego zmartwienia.

Lecz młodzi ludzie nie jednakowo przyjęli to smutne usposobienie Maryi; podczas gdy Jerzy wdał się w rozmowę z matką, mając nadzieję czegoś się od niej dowiedzieć o przyczynie tego smutku, ruchliwy i niełatwy do przejęcia się cudzym humorem węgier, zwrócił swoje usiłowania ku córce, rzucając hojnie nieudanym humorem i wrodzonym sobie dowcipem.

Który z nich poszedł drogą właściwszą, już wkrótce można było spostrzedz. Pani Brońska, po upływie półgodzinnej rozmowy, miała łzy w oczach, i lekki, jakby anemiczny, uśmiech na twarzy, a Marya już głośnym śmiechem wtórowała prawdziwym wybuchom wesołości Görgöly'ego. Andrzejowi usta się śmiały, a oczy świeciły radosnym blaskiem, gdy Jerzy tylko od czasu do czasu dłonie kurczowo zaciskał.

I Jerzy i Brońska, każde z osobna zajęte swojemi ciężkiemi myślami, nie spostrzegli nawet, gdy Andrzej z Maryą wyszedł z pokoju, a młoda para wybiegła przed dom, a potem do ogrodu, który z łagodną pochyłością ciągnął się aż do brzegów Bugu.

Dopiero cisza zbudziła oboje z zadumy.

— Wyszli do ogrodu. Coż to za miły człowiek ten pański przyjaciel! Dziś szczególniej jestem mu rada, bo mam nadzieję, że jego humor korzystnie oddziała na moję dziewczynkę.

— To prawda, że Andrzej mógłby nawet zdecydowanego melancholika rozruszać, i tego mu, szczególniej dziś, z całej duszy zazdroszczę.

— Sądzę, że niema mu pan nic do pozazdroszczenia, gdyż i pana znałyśmy dotąd zawsze tylko w dobrym humorze, a dziś chyba go pan gdzieś zgubił, panie hrabio?

— Na progu tego pokoju, witając obie panie.

— Żałuję bardzo, że tak się stało.

— To zbyteczne, łaskawa pani, gdyż ja wolę płakać z paniami, niźli śmiać się z Andrzejem. Czyż mam już stracić nadzieję, że pani zechce wysłuchać mej gorącej prośby i dopomoże mi w rozwiązaniu tej bolesnej zagadki, co było powodem zmartwienia pań?

— Niech pan ją straci na ten raz, gdyż tak, a nie inaczej, być już musi, a wzamian za to niech się pan uda do ogrodu, aby przypomnieć Maniusi, że teraz w kwietniu dłuższy spacer przed samym wieczorem może być szkodliwy. Czekam wszystkich państwa z herbatą.

Jerzy pośpieszył spełnić życzenie Brońskiej. Świeże powietrze pięknego dnia wiosennego dobroczynnie na niego podziałało.

W salonie czuł, że mu brakuje powietrza, że go coś dusi i szarpie. Od Brońskiej niczego się nie dowiedział, chyba tylko tego, że powód zmartwienia ma z nim niejaki związek, a to, rzecz prosta, jeszcze go bardziej podrażniło i zasmuciło.

Nie potrzebował długo szukać Maryi i Andrzeja. Znalazł ich łatwo, idąc za głosem wesołej rozmowy, której oddzielne słowa dochodziły aż do niego. Oboje byli weseli, oboje ozdobieni najpierwszym wiosny kwiatem: fijołki tkwiły we włosach Maryi i w butonierce Andrzeja. Ach! jakże oboje byli ładni, jak strasznie zdawali się nadawać do siebie!

Jerzy aż pobladł pod wrażeniem tego gorzkiego uczucia, co nie mogło ujść uwagi Maryi, która troskliwie zapytała go o zdrowie, powołując się na dostrzeżone ślady cierpienia.

— Jestem zdrów może bardziej, niż kiedykolwiek, a co ważniejsza widzę i myślę o wiele lepiej i trzeźwiej.

— O wadliwość wzroku i mniejszą bystrość umysłu nigdy pana nie posądzałam, więc cóż znaczy ta zagadka?

— Jeśli zagadka,—to dla pani, dla mnie to fakt niewzruszony—odpowiedział Jerzy już z pewną opryskliwością.

— A zatem niekoniecznie potrzebowałam o tem wiedzieć—odpowiedziała poważnie Marya i, przyjmując ramię Andrzeja, udała się do domu.

Jerzy został samotny na ścieżce ogrodowej w tem samem miejscu, gdzie się zatrzymał i rozpoczął rozmowę. Wysoka i silna jego postać jakby się pochyliła, przygnębiona wrażeniami tak różnorodnemi, a jednak podobnemi do siebie w skutkach, bo niosącemi—gorycz i zwątpienie.

— To być nie może, to być nie może!—szeptał kilkakrotnie, wodząc bezmyślnie oczyma dokoła, a potem śpiesznie szedł ku domowi, w drodze polecając jednemu ze spotkanej służby, by konie natychmiast zaprzęgano.

P. Brońskę spotkał na ganku.

— Szłam szukać pana, gdyż herbata czeka już na stole.

— Panie hrabio,—prosiła, ujmując dłoń jego,—chciej pan wierzyć, że zadne zmartwienia i kłopoty nie zmienią naszej życzliwości dla pana.

Jerzy w milczeniu rękę jej ucałował. Nie zdołał jednak wymódz na sobie nawet chwilowego humoru aż do chwili, gdy turkot przed domem oznajmił o zajeżdżającym powozie.

Napróżno gościnna gospodyni usiłowała zatrzymać swych gości, Jerzy był niewzruszony, łómacząc się koniecznemi zajęciami, które na niego oczekiwały w domu.

— A więc, panie Görgöly, na inny raz musimy odłożyć nasz popis wokalny, który nas dziś zawodzi, proszę pamiętać, że czekam na to z niecierpliwością.

— Ja tę pani niecierpliwość skrócę do minimum, a w nagrodę dam pani mój głos, który mnie samego przeraża — odpowiedział ze śmiechem Andrzej.

Jerzy otrzymał na pożegnanie tylko milczący uścisk dłoni, który był jednak dość gorący.

I w drodze, podczas gdy wracali do domu, i przy kolacyi, do której zasiedli, rozmowa między młodymi ludźmi urywała się co chwila, lub się ograniczała na luźnych spostrzeżeniach i uwagach.— Jerzy czuł się dotkniętym brakiem delikatności, jak mniemał, ze strony Andrzeja, a Andrzej gwizdał sobie najspokojniej coraz to nowe aryjki, lub darzył przyjaciela ukradkowym, ironicznym uśmiechem.

— Jurku, kto to jest jakiś jegomość Purchała?

— Były rządca tutejszy przez lat kilkadziesiąt u mojego stryja, usunięty przezemnie, jako jedyny nieuczciwy człowiek, którego tu znalazłem.

— Aha! jestem w domu, gdyż prawdopodobnie nie należy on do twych przyjaciół.

— Raczej do wrogów najgorszych, bo skrycie i podstępnie przeciw mnie występujących. Ale zkądże ty wiesz o nim?

— Od panny Maryi; w przerwach pomiędzy flirtem, który zawzięcie uprawialiśmy....

— Andrzeju, proszę cię....!

— A więc ja uprawiałem,—dowiedziałem się od niej, że dziś rano odebrała jej matka list bezimienny obrzydliwie podły w swej treści; w dalszym ciągu flirtu i badania kilkakrotnie, jakby wypadkowo, odbiło mi się o uszy to nazwisko «Purchała», wymawiane przez pannę Maryą z tak miluchnem obrzydzeniem, że łatwo mogłem wpaść na domysł, że ten Purchała jest posądzanym o autorstwo tego listu. Kochany Jurku, czy mię nie zamierzasz uścisnąć? jeśli tak, to proszę cię rób to ostróżnie, gdyż zadługo byłeś w złym humorze, a ja dziś jestem słabszy, niż zwykle, gdyż bujam w obłokach.

Słowa te wypowiedział na widok wstającego z za stołu i idącego ku niemu Jerzego, na którego twarzy jaśniała radość i wdzięczność dla przyjaciela.

— Andreas, dobry moj duchu, daruj mi wszystkie dzisiejsze winy, które i w czynach i w słowach i w myśli popełniłem!

— Już darowałem, już darowałem!—głośno krzyczał Görgöly, udając przerażenie—zresztą panna Marya weźmie pomstę i za siebie i za mnie—dodał z uśmiechem.

A Jerzy ujął przyjaciela pod ramię, przeprowadził do saloniku, gdzie się palił wesoły ogień w kominku, i tam, zasiadając z nim w wygodnych fotelach, rozpoczął długą i serdeczną pogawędkę, której przedmiotem głównym była jego miłość dla Maryi.

Andrzej słuchał w milczeniu, tylko kiedyniekiedy dorzucając jakieś słówko żartobliwe, i otaczał się kłębami dymu cygarowego.

Jerzy zamilkł. Zegar na kominku wskazuje już pół do drugiej. Andrzej powstaje i mówi z bolesnem westchnieniem.

— Jaka szkoda, już spadłem na ziemię, po tak krótkiej wędrówce w obłokach! I tyś to, ty przyjaciel, odegrał rolę oprawcy, króry mi skrzydła poderznął!

Na Jerzego przyszła kolej uśmiechnąć się.

— Rozwiniesz je na nowo po tym zapowiedzianym duecie.

— Dziękuję, takie częste składanie i rozwijanie może mi grozić taką ilością dziur, ile ich ma stary parasol.

W tej chwili wszedł służący i oznajmił, że widać łunę w stronie Szymonowa.

Jerzy pośpieszył na ganek. Istotnie, na pół jasnem wygwiażdżonem tle nieba widniała silna łuna już za Bugiem, w stronie gdzie leżał nowo powstający zaścianek gracyalistów Ługolaskich.

— Andreas, może pojedziemy?—zaproponował Jerzy.

— Z przyjemnością ci służę.

— Konno?

— Owszem, łatwiej nam będzie karku gdzieś nadkręcić.

Konie były podane tak szybko, że obaj nie zdążyli zmienić wizytowych kostjumów na bardziej wygodne i cieplejsze.

Jerzy, stojąc na ganku, kończył opowiadanie o woli zmarłego stryja, której Szymonów zawdzięczał swoje powstanie.

Potem trawiony gorączkowym niepokojem, bez namysłu skoczył na siodło, przyjmując od służącego tylko czapkę i spicrutę, a Andrzej poszedł za jego przykładem.

Z miejsca ruszyli galopem i tak jechali aż do promu pod Ostrówkiem. Ich wołanie o prom w

stokrotnych echach odbiło się w okolicznym lesie, ale, niestety, nie obudziło przewoźników, mieszkających w małym domku na przeciwnym brzegu.

Powtórzyli wołanie, Görgöly wystrzelił z kieszonkowego rewolweru, lecz wszystko to napróżno, i żaden ruch, ani głos nie zdradzał, że przewoźnicy usłyszeli wołanie.

Stali więc niecierpliwi i zgorączkowani niepokojem, a Bug spokojnie toczył u ich nóg swe wody, biorąc blask od księżyca. Szerokość rzeki w tem miejscu nie wynosiła więcej jak czterdzieści sążni.

— Jurku, czy tu głęboko?

— Bardzo.

— Ale bez wirów i kamieni?

— Tak sądzę.

— A więc wpław!

I obadwaj jednocześnie skierowali konie o kilkadziesiąt kroków powyżej liny promu, aby, licząc coś na zniesienie przez prąd wody, trafić na przeciwnym brzegu na dogodny wjazd.

Wierzchowce spięły się nad wodą, lecz zachęcone głosem skoczyły w rzekę, kąpiąc odrazu i siebie i jeźdźców całkowicie.

— Nigdy jeszcze tak wcześnie nie kąpałem się — zrobił uwagę Görgöly ze swym niezakłóconym dobrym humorem.

Konie przepłynęły rzekę z łatwością i znowu raźnie ruszyły galopem, prosto przez łąki i pola skierowane na odblask pożaru, już wyraźnego i nie więcej, jak o dwie wiorsty—oddalonego.

Jerzy miał tyle tylko czasu, by zrobić najstalsze postanowienie, na przyszłość być wytrwalszym w swych słusznych żądaniach. Przypomniał właśnie, że początkowo zlecił on geometrze urządzenie całego szeregu oddzielnych kolonij, taki system wydawał mu się lepszym i ze względu na całość gospodarczą każdej kolonii i w wypadkach ognia. Lecz obdarzeni przyszli do niego z prośbą, by pozwolił im budować się wszystkim wspólnie, obok siebie, i on uległ. A teraz jakże smutnem będzie, jeśli ogień zniszczy te wszystkie budynki, z niesłychanym wysiłkiem i pośpiechem wznoszone!

Już są tuż przed ogniem, pod wrażeniem mimowolnej grozy, jaką wywołuje szalejący żywioł zniszczenia, który rozsiadł się w samym środku zaścianka.

Konie chrapią z przerażenia, a jeźdcy czują już ciepło ogarniające ich zmokłe postaci.

Jedno ogromne ognisko obejmuje całość gospodarskich budowli nowowzniesionych i należących do Mikołaja, najbliższego służącego hr. Szymona przez lat przeszło czterdzieści. Ogień to bucha jednym skupionym płomieniem, to się rozbija na

kilka lub kilkanaście mniejszych odłamów, a wtedy daje się słyszeć trzask walących się belek, i snopy iskier, jak słupy ogniste, wyskakują w górę, ginąc stopniowo i gasnąc w przestrzeni. Na tle szumu, powstającego z powodu wielkiego ognia, rozlega się dokoła gwałtowny ryk bydła, rżenie koni, żałosne psów wycie, a głos ludzki ginie w tej powodzi dźwięków, i tylko czasem, tylko bardzo trwożny lub bolesny, wybija się ponad wszystkie inne.... i kona w jęku rozpaczy.

Jerzy i Andrzej rzucili konie, dając im swobodę zupełną, i niezwłocznie przystąpili do ognia.

Zaścianek już zbudził się cały, lecz ludzi do ratowania był brak. Z powodu dnia świątecznego większość mężczyzn dorosłych bawiła w najbliższych miasteczkach dla zakupu potrzebnych materyałów, a w domu pozostali starcy, kobiety i dzieci. Na wszystkich działkach już materyał drzewny leżał w stosach zwieziony i robota posuwała się bardzo prędko, lecz jeden tylko Mikołaj już prawie że skończył przed paru dniami swoje gospodarskie obejście, zabudowując je w prawidłowy czworobok. Był on najzamożniejszy, więc mógł najwięcej ludzi najmować do pomocy swej rodzinie, składającej się z syna, synowej i wnuków. A może dla tego tak bardzo mu było pilno do tej własnej nowej sadyby, że sam on był najstarszym, a więc grobu najbliższym?...

Paliła się już cała chata, stajnia i obora i z tej strony należało ogień gasić, a od strony szopy, stodoły i spichrza, które lada chwila mogły się zapalić — trzeba było za jakąbądź cenę przerwać ogień t. j. usunąć materyał podsycający go, rozbierając budynki.

Takie wydał rozkazy grzmiącym głosem Jerzy, stając wnet po przybyciu w otoczeniu całej ludności zaścianka. Lecz rozkazać tu było mało, trzeba było im samym w znacznej części i wszystko wykonać.

Wytworny od stóp do głów Görgöly, ubrany przez najlepszego artystę-krawca w Wiedniu, ochoczo stanął z siekierą w ręku w rzędzie rozbierających budynki zagrożone. Jako dozorca i kierownik niewiele był on wart, sam nie rozumiejąc i nie mogąc być rozumiany przez otoczenie, dla nieznajomości języka. Ten trud Jerzy przyjął całkowicie na siebie i spełniał go doskonale. Zdawał się dwoić i troić, szybko przebiegając z jednego miejsca na drugie, a jego głos zwyciężał wszystkie inne i był słyszany przez wszystkich. Na szczęście brak wiatru i świeżość materyałów drzewnych, tej zimy z lasu wybranych, były dobrymi sprzymierzeńcami ludzi.

Już z jednej strony zgliszcza dymią strasznie, obficie wodą zlewane, a z drugiej ostatnie wieńce

bierwion zdają się ginąć pod rękami i siekierami, które je szarpią i rozrywają.

Już świta. Jakże okropnie wyglądają Jerzy i Andrzej! Jerzy bez czapki, którą zgubił przy gwałtownem pochyleniu się gdzieś wśród ognia, każdym zamachem potężnych ramion rzuca w stronę bierwiona, jak cienkie żerdzie, to znowu podskoczy, z drżących rąk starca lub kobiety, chwyci wiadro i rzuci wodę w nim zawartą daleko, a zawsze w miejsce najsilniej żarzące się, Andrzej z jedną połą tużurka, wiszącą na strzępku jedwabnej podszewki, uderza niezmordowanie siekierą. A twarze obu okryte pyłem, potem i sadzą, ubrania mokre, w dziurach, i zabłocone, a z oczu błyszczy zaciętość dla wroga-ognia nieubłagana, która tylko śmiercią przeciwnika może się zakończyć. Lecz oto przeciwnik już kona...

Przyjaciele stają przy sobie, prostując postaci i członki zbolałe, patrzą na siebie i nie widzą nawet, jak okropnie wyglądają.

Nie widzi tego chyba również i ta śliczna postać kobieca, która stojąc w otoczeniu siwowłosego starca i dwojga drobnych dzieci, patrzy na nich z zachwytem i uwielbieniem, zdając się oczami mówić:

«Jakżeście piękni w tej chwili, gdy wasz wróg już kona bezsilny!»

To była Marya, która przed półgodziną wysiadła z niewielkiej bryczki, powożonej przez starego ekonoma z Ostrówka.

Siwy Mikołaj, w grubą płócienną bieliznę tylko odziany, stał przy niej, trzymając młodsze wnuczę na ręku, gdy drugie stało tuż przy nim.

W oczach starca błyszczały łzy i coś z tych blasków oczu Maryi, snadź hojnie rzucających dokoła wrażenia chwytane z oglądania dwóch przyjaciół.

Już słońce wschodzi. Czarna, jeszcze dymiąca plama, tem straszniej wyziera z otoczenia jasnych, nowych budowli. Stary Mikołaj wznosi wzrok do nieba, spoziera poźniej na słońce, które tyle lat już przywykł witać codzień,..... a łzy obficiej ciekną po jego drżącej twarzy.

— Wola Boża, wola Boża! — szepce w cichem poddaniu się i uczuciu bezsilności.

Dziś tego biedaka słońce już nie cieszy, ono go dreszczem trwogi przejmuje, bo jest takie podobne do tego ognia, który strawił jego pierwszą, jego własną, nową siedzibę...

— Gdzie Mikołaj? — pyta Jerzy.

— Jestem tu, panie.

Jerzy się ogląda i widzi oczy Maryi w sobie utkwione, a tak wielkie, tak piękne, tak wiele mówiące....

Robi kilka kroków ku niej, machinalnie ręce wy-

ciągając do tej ukochanej i upragnionej, lecz staje znowu, okiem obrzucając swoję osobę.

— Niech pan idzie i idzie prędko! — woła Marya, z wymownym gestem ręki, i śpieszy sama do niego.

— Czy pan nie skaleczony, czy pan się nie zaziębił?

Jerzy milczy i patrzy, ściskając rękę podaną i zatrzymując ją w swych brudnych dłoniach.

Marya dotyka jego ubrania, a widząc je mokrem, zdejmuje szal, którym była okryta, i zarzuca go na ramiona Jerzego.

— Niech pani tego nie robi! — błaga Jerzy.

A ona otula go z troskliwością matki i, biorąc za rękę, prowadzi do bryczki.

— Proszę tu usiąść i odpoczywać.

Do Görgöly'ego stary ekonom śpieszy z własną burką i także musi uciekać się do gwałtu.

Lecz już obadwaj siedzą na bryczce, u której stopni stoi z jednej strony Marya, a z drugiej stary Mikołaj.

— Mikołaju, czy bydło i konie uratowaliście?

— Wszystko ocalone, — odzywa się kilka głosów z tłumu, który równie mokry, zabłocony i czarny nieśmiało zbliża się i otacza bryczkę dokoła.

— Wola Boża, wola Boża!... szepce Mikołaj, tuląc wnuczę do piersi.

— A rzeczy z domu, a zapasy zboża?

— Spaliło się, panie, ot tylko co na mnie i przy mnie zostało, — mówi powolnie, z łkaniem Mikołaj, wskazując na swoję bieliznę i wnuczęta.

Görgöly zdejmuje kapelusz z głowy i, podając go Maryi, zachęca.

— Niech pani próbuje kwestować.

Marya jedną ręką sięga po kapelusz, drugą do kieszeni, lecz wnet zakłopotana zdejmuje jedyny pierścionek z palca, który nosi, i rzuca go do kapelusza.

— To moja ofiara, którą zamienię na gotówkę odpowiednej wysokości.

— O ile ja wprzód jej nie wykupię — wtrąca Görgöly, dobywając pugilaresa.

— Wszystkie drzewo dostaniesz Mikołaju powtórnie z lasu najbliższego od Szymonowa — mówi Jerzy, dotykając ramienia Mikołaja, — a czy masz za co budować?

— Miałem jeszcze sześćset rubli z całego życia przy nieboszczyku ś. p. jaśnie panu hrabi, ale i to tam w chacie zostało!

Dokoła słychać jęk współczucia, a Marya tłómaczy Görgöly'emu znaczenie prowadzonej rozmowy.

Węgier z radością wyjmuje sześć storublowych mokrych trochę papierków i rzuca je w kapelusz.

— Czy mogę dać drugą taką kwotę za pierścionek? — zapytuje Maryą.

— Nie, gdyż ja tylko sama ten pierścionek wykupię.

— A gdybym ja o to prawo prosił? — cichem pytaniem po polsku dolatuje głos Jerzego do Maryi, która spogląda mu wprost w oczy i odpowiada równie cicho.

— Po wykupieniu, sama go panu mogę darować.

— Wola Boża, wola Boża!... powtarza bezmyślnie Mikołaj.

Marya, cała zarumieniona, wkłada mu pieniądze do ręki i podaje pierścionek.

— Ten pierścionek odnieście mi do Ostrówka, a dam wam za niego pieniądze, których on wart.

Mikołaj płacze jeszcze rzewniej i chyli się do rąk Maryi, Jerzego i Andrzeja, lecz wszyscy uchylają się od tego, darząc go słowami pociechy i zachęty.

— A teraz, kiedy już tu nie mamy co robić, ja panów zabieram do Ostrówka, pan Bzowski zostanie, aby odszukać i zabrać konie panów.

— Ależ pani, przez litość! — protestuje Andrzej, — w tym stroju nie śmiałbym się nawet siostrze pokazać!

Jerzy w milczeniu próbuje zsiąść z bryczki.

— Proszę siedzieć i słuchać! musi pan jechać do Ostrówka, już choćby po karę za wczorajsze wy-

stępki. — Panie Görgöly, my z mamą, tak trochę, na dziś tylko, oślepniemy, więc proszę się nie sprzeczać, a raczej jedźmy jaknajprędzej.

— Więc proszę o urząd furmana!

— Z Bogiem, szczęśliwie! żegna z ukłonem cała gromada.

Już bryczka ruszyła. Lecz o kilkanaście kroków dalej znów staje, bo ktoś woła z tyłu. To stary Mikołaj śpieszy, powierzywszy wnuczęta opiece jednej z kobiet.

— Jasny paniczu i panienko, już też nie róbcie krzywdy mnie staremu i weźcie sobie ten pierścień, i tak ja z waszej łaski jestem dostatnio opatrzony. Ot weź go ty lepiej, jasny paniczu, niech moje błogosławieństwo będzie dla was obojga.

I pierścionek zostaje gwałtem wciśnięty w rękę Jerzemu.

— Dobrze, dobrze, Mikołaju! — kiwa głową Marya, a Jerzy całuje starca w głowę.

Kiedy bryczka znowu ruszyła, Jerzy podał pierścionek siedzącej przy nim Maryi, lecz ona ruchem głowy zaprzeczyła.

— Niech pan go zachowa na pamiątkę dzisiejszego dnia.

Stara klacz ekonoma biegnie wolnym truchtem i to niecierpliwi Andrzeja, który jest bardzo silnie

zajęty wołaniem na nią i wywijaniem lejców nad jej grzbietem.

Jakże to dobrze, Andrzeju Görgöly, że nie widzisz w tej chwili, co się dzieje u ciebie za plecami: zamiast z obłoków, już teraz z pewnością spadłbyś, lecz z bryczki.

Jerzy co chwila ujmuje drobną rączkę Maryi w swe czarne, osmalone dłonie i niesie ją do ust.

O biedna rączko, jakże coraz smutniej wyglądasz po tych serdecznych, gorących uściskach!

Przed gankiem w Ostrówku powtórzyło się zakłopotanie Görgöly'ego, lecz Marya uspokoiła go zapewnieniem, że woda, mydło, grzebień i szczotki wiele mogą dokazać i to w bardzo prędkim czasie, a temi artykułami chętnie służyć im będzie. Lecz jednocześnie prosiła by jej ofiarowali jeszcze dziesięć minut czasu przy zachowaniu tych wszystkich śladów energicznej pracy przy pożarze. Dla skrócenia tych chwil przykrych zaprowadziła obu młodych ludzi do jadalni i tam naprędce zastawiła przed nimi wino, koniak i zakąski.

Görgöly odrazu odzyskał i werwę i humor na widok tego tak rannego śniadania i energicznie zabrał się do jedzenia i picia, zachęcając Jerzego swoim przykładem.

— Warto jest tak po waryacku spędzić noc, aby się przekonać, czem jest dla głodnego jedzenie i

picie. Ja bo w tej chwili przekładam kieliszek koniaku i plaster tej różowej szynki nad wszystkie pocałunki, które już otrzymałem i które mię czekają w życiu, — a ty Jurku?

Sadze na twarzy Jerzego przydały mu się bardzo, by ukryć silne rumieńce. On w tej chwili myślał o pocałunkach tej rączki kochanej, za którą by chętnie wszystek koniak i szynki całego świata bez wahania odstąpił.

— Ja jestem nowicyusz na tem polu — bronił się przed natarczywością Andrzeja, który badawczem spojrzeniem ciągle na niego spoglądał.

— No, to chyba dotąd, bo jak sądzę wkrótce mógłbyś zostać autorem dzieła «Fizyologia pocałunku,» na które ja gotów jestem ogłosić konkurs w całej Europie.

— Dla uniknienia jednostronności w tem dziele będziesz zmuszony i siły kobiece zaangażować.

— To się rozumie, i to właśnie głównie mnie zachęca do podjęcia tego zadania. Zaczynam od dzisiaj.

— Co pan zamierza rozpocząć?—zapytała wchodząca Marya ze sporem pudełkiem w ręku.

— Robić swoje i zbierać cudze studya dla nowo obmyślanego dzieła: «Fizyologia pocałunku.»

Marya lekko się zaploniła, badawczem spojrzeniem mierząc obu młodych ludzi.

— Śmiem twierdzić, że dzieło to chybione już w założeniu. Mojem zdaniem fizyologia pocałunku jest żadna, gdyż każdy pocałunek jest raczej objawem uświadomionej pracy ducha, niźli wytworem samodzielnym w łańcuchu zjawisk życiowych organizmu. Głosuję tedy za psychologią pocałunku i z góry na takie dzieło gotowa jestem złożyć prenumeratę.

— Ja liczyłem na panią, głównie jako na współpracowniczkę, a nie jako prenumeratorkę, i od tego nie mogę odstąpić.

— Będzie pan jednak zmuszony. Moję psychologią pocałunku mogą odgadywać i badać tylko ci sami, którzy będą tem najbliżej zainteresowani, a dla reszty, dla całego świata, nie mam w tej kwestyi ani jednego słowa, gdyż zanadto cenię pocałunek z uczucia.

— Ha, więc i dzieło dla pani niepotrzebne, gdyż ono nic panią nie nauczy.

Marya wyjęła z pudełka przyniesionego aparat fotograficzny i prosiła, by każdy po kolei zechciał przez chwilę pozować.

Przerażenie Görgöly'ego było bez granic, nie żartem szukał on dokoła drzwi jakich lub okna otwartego, aby się ratować ucieczką. — Jerzy i Marya śmieli się serdecznie.

— Czy pani po zrobieniu tych fotografij chce mnie gwałtem do klasztoru zapędzić? Czy może jest to tylko niewinny szantaż, który ja mam jakąś kwotą na cele użyteczności publicznej opłacić?

— Ani jedno, ani drugie, będzie to tylko miła jak sądzę dla nas wszystkich pamiątka, — nie prawdaż panie Jerzy?

— Dla mnie — nawet bardzo, a Andrzeja może pani łatwo uspokoić obietnicą, że oprócz dwóch egzemplarzy jego fotografii, którą pani zrobi dla siebie i, jak mam nadzieję, dla mnie, trzeci i ostatni wraz z kliszą ofiaruje pani jemu.

— Ależ naturalnie, że tak będzie!

— A więc się zgadzam, lecz tylko pod tym warunkiem, że i pani będzie należeć do zdejmowanych, a w następstwie — każdy z nas również otrzyma po jednej sztuce tej amatorskiej roboty.

Więc poszli wśród śmiechu wesołego na ganek i fotografowali się wzajemnie po kilka razy. Görgöly nalegał, żeby przynajmniej na fotografii nie była widzialna ta nieszczęsna poła wisząca, lecz Marya od tego nie odstąpiła, wymagając koniecznie, by wyjął szpilki, któremi ją jako tako przyczepił.

Kiedy już fotografowanie było ukończone, nadeszła p. Brońska i z serdecznem zaniepokojeniem badała młodych ludzi, obawiając się, że wypadki nocy mogły im bardzo zaszkodzić.

— Mnie niezawodnie, — śmiał się Görgöly, wskazując na swoję połę, ale jemu to zdaje się noc dzisiejsza bardzo dopomogła, a nie zaszkodziła — zakończył zwracając się w stronę Jerzego.

Brońska z radosnym uśmiechem pokiwała głową i pośpieszyła do pokoju, wzywając młodzież na herbatę po jakiem takiem uporządkowaniu się.

— Jeszcze chwilkę pani daruje — zwrócił się Görgöly do Maryi, proponuję byśmy zrobili zdjęcie z jednego epizodu już podczas powrotu do Ostrówka, to jest potrzebne do kompletu.

Marya uciekła z apparatem, słysząc te słowa, a Jerzy, idąc z Andrzejem do wskazanego pokoju dla umycia się, śmiał się z jego nieudanej próby z jakimś ukrytym a silnym tryumfem w głosie.

— A więc teraz już odechciało ci się płaczu? — zemścił się Andrzej w żartobliwej ironii. Gotów jestem umyślnie podpalić jeden ze swych folwarków, i zawieść na pożar liczną drużynę sproszonych gości, aby popróbować szczęścia.

Jak myślisz, co?

Tego samego dnia przed wieczorem, złotogniady arab stał przed chatą Onufrego z cuglami założonemi przez siodło, a nad brzegiem Bugu przechadzał się niespokojnie Jerzy w towarzystwie wier-

nego Madziara. Andrzej, po nocy niespanej, pozostał w domu, aby «odrobić zaległości», jak mówił. Jerzemu zaś nie sen był w głowie i sercu, on śpieszył w tę ustroń w nadziei, że tu znajdzie Maryą, ale czyżby się zawiódł? czyżby dziewczę dziś nie uczuło potrzeby spędzenia choćby chwil kilku w tej ulubionej samotni? czyżby nie zbudziły się w niem jakieś nowe marzenia i myśli? Czekał już od godziny napróżno. Z miejsca, gdzie stał, mógł objąć okiem tylko bardzo niewielką przestrzeń rzeki, która, jakby wstęga, kręciła się w znacznych i licznych splotach.

Madziar leżący dotąd spokojnie, nagle zrywa się i przysłuchuje, Jerzy wytężył wzrok i słuch, i zdołał uchwycić zaledwie dolatujący plusk wioseł na rzece. Czyżby to ona?

Z za drzew wysuwa się łódka, pędzona przez pośpiesznie wiosłującą Maryą. Jerzy już ją widzi dokładnie, sam nie będąc widziany, gdyż Marya siedzi zwrócona do niego plecami, a tak dobrze zna drogę, często przebywaną, że nie potrzebuje oglądać się po za siebie. Jerzy stoi bez ruchu i głosu, lewą ręką uspakajając Madziara, który ma wielką ochotę powitać znajomą.

Kiedy łódka przybiła do brzegu, Jerzy pochylił się i ujął za łańcuch. Marya śpiesznie się odwróciła.

Na twarzy jej była radość, a nie przestrach, którego Jerzy się obawiał.

— Prawie byłam pewna, że muszę tu dziś pana spotkać.

Chętnie przyjęła rękę sobie podaną i lekko wyskoczyła na brzeg, pozwalając Jerzemu wyręczyć siebie w przymocowaniu łódki.

Jerzy podał jej ramię i poszli razem na wzgórze, by zasiąść koło siebie na ławce pod klonem.

— Dziękuję pani za tę pewność odczutą, że tu cię będę dziś szukał. I przy tych słowach Jerzy ujął obie ręce nieopierającej się Maryi i zwrócił ją lekko tym ruchem ku sobie.

— Tak, musiałem tu przyjść, aby ci powiedzieć: droga, ukochana moja, nie znam już odtąd życia bez ciebie, które mi ty jedna możesz opromienić szczęściem nad miarę i wartość moję, albo też napoić smutkiem bezgranicznym. Odpowiedz więc, Maryo, którą z tych dwóch dróg obierasz?

— Już wybrałam, — szepnęło dziewczę, oddając obu rękami uścisk dłoniom Jerzego.

— Czy wierzysz, że ja ci zdołam wystarczyć na całe życie, że nigdy nie będziesz żałować tego wyboru?

— Wierzę, bo pan jesteś i dobry i silny.... pan będziesz chciał szczęścia równie gorąco i szczerze, jak ja...

I patrzała na niego swemi dużemi, czarującemi oczami, w których teraz widniały tylko miłość, tylko niekłamana prawda i wiara, a nic zakłopotania i nieśmiałości, które w tej chwili znikły zupełnie z tej natury czystej.

Jerzy powstał blady z wzruszenia, lecz potężny jakiś i piękny w całej postaci. Był to tryumf zwycięzcy, który bezwiednie przychodzi, biorąc w posiadanie nawet najszlachetniejsze jednostki. Marya spogląda na niego z zachwytem, i choć usta milczą, oczy wiele zdają się mówić.

I ona staje przy nim, pociągnięta jakby siłą z niego bijącą. Jerzy przytulił dziewczę do swej piersi szerokiej, i w tej chwili ten olbrzym był już cały drżący.....

— Kocham cię, Maryo, kocham, kocham!.. — biegł szept miłośny po łące, lesie... daleko za rzekę...

Marya milczy i nie widzi, bo ma oczy przymknięte, jest blada z upojenia i szczęścia, lecz wstrząsa się gwałtownie i wyrywa się z jego objęć, kiedy uczuła na swej twarzy jego gorący, długi pocałunek. Lecz znów opada w jego ramiona, jakby w omdleniu, głowa łagodnie w tył się odchyla, a karminowe usta jakby szukają pocałunku. I Jerzy całuje te usta długo i serdecznie...

Nie widzą oboje, że stary Onufry już chwil kilka stoi przy arabie i, przysłaniając dłonią oczy od

słońca, patrzy na nich długo i, kiwając smutnie głową, coś mruczy pod nosem.

Aż wreszcie machnął ręką i poszedł ku chacie.

— Każdy ma sobie sądzone, daj wam Boże szczęście, ale szkoda mi tylko mojego biednego panicza, który tam samotnie bieduje w leśnictwie.

Kiedy Jerzy wrócił do domu, znalazł Andrzeja zajętego układaniem rzeczy podróżnych. Zdumiony nad wyraz tem nowem, jak mniemał, dziwactwem, zawołał już w progu:

— O nic z tego, mój drogi! a gdzież nasza umowa? wszak jeszcze całych dwóch tygodni brakuje do upływu zakreślonego na twój pobyt terminu!

Andrzej z zupełnym spokojem zbliżył się do Jerzego i w milczeniu zaczął go obchodzić dokoła.

— Cóż to ma znaczyć?

— Pragnę sobie dobrze zapamiętać, jak powinien wyglądać człowiek zupełnie szczęśliwy, abym się kiedyś nie pomylił, płacąc własną skórą. Czy nie spotkałeś tam gdzie, przypadkiem, na tej wycieczce, podjętej z powodu bólu głowy, panny Brońskiej?— pytał Andrzej, nie mogąc ukryć uśmiechu, który gwałtem zjawiał się na twarzy.

— Andreas, tyś czarnoksiężnik chyba! — wykrzyknął Jerzy, obejmując Görgöly'ego w przystępie gwałtownej radości.

— Ale pocóż te przygotowania?

— Bo pojutrze wyjeżdżam nieodwołalnie. Nie zechcesz przecie we mnie wmawiać, że moja obecność jest teraz dla twojego szczęścia potrzebna, nie mogę więc siedzieć tu i patrzeć, jak będziesz dobrowolnie co dzień, co godzina gorliwiej kuć kajdany niewoli dla siebie. Ruszam więc w drogę, do Biarritz, tam się już bowiem wkrótce sezon zaczyna, a na ten początek przyjeżdżają same pączki róż i fijołki, a dopiero później kamelje.

— Lecz przynajmniej daj mi słowo, że wrócisz tu na nasz ślub.

— Nie lubię ja wprawdzie asystować samobójcom, ale przyjadę, aby choć zapłakać nad twym smutnym losem.

— Dobrze, płacz sobie ile chcesz, twój płacz nam pewno humoru nie zepsuje, lecz ubieraj się Andreas, gdyż obaj jesteśmy oczekiwani jeszcze dziś w Ostrówku. Już kazałem konie zaprzęgać.

— Bardzo chętnie, będzie to moja pożegnalna wizyta. Ale, ale! — zawołał w chwili, kiedy Jerzy pokój opuszczał, — czy pana Rogalskiego mogę pojutrze zabrać z sobą?

— Z mojej strony przeszkód niema żadnych, więc niech on sam o tem stanowi, poślę zaraz umyślnego z wezwaniem go na jutro rano.

— To lepiej pojedźmy sami do niego jutro rano,

gdyż chcę pożegnać Swena i prosić pana Rogalskiego, by go zabrał ze sobą.

— Z przyjemnością ci będę służył, lecz dziś poślę z zawiadomieniem o naszym na jutro przyjeździe, gdyż pan Rogalski bardzo rano nieraz do lasu wyrusza i moglibyśmy nie zastać go w domu. A obok tego zawiadomię go również, że panna Brońska jest moją narzeczoną. Wolę, żeby tę bolesną dla siebie wiadomość usłyszał jaknajprędzej, i mam niepłonną nadzieję, że i to wpłynie na jego decyzyę w kwestyi wyjazdu z tobą. Biedny człowiek, współczuję mu serdecznie, lecz mam nadzieję, że ten cios go nie złamie i nie zagrodzi mu drogi do szukania szczęścia, na które najzupełniej zasługuje.

Po rannej herbacie dnia następnego obaj przyjaciele pojechali do Rogalskiego. Umyślnie jechali wolno, aby nie skracać dobrowolnie czasu miłej przejażdżki podczas prześlicznego wiosennego poranka, i korzystali z ostatnich godzin wspólnego pobytu z całą skwapliwością, aby do dna wyczerpać wszystko ich obchodzące w wylanej przyjacielskiej rozmowie. Nie dziw, że rozmowa przeważnie obracała się około Maryi i tego wszystkiego, co z nią miało jakąkolwiek styczność, nie dziw że

Jerzy mógł i słuchać i mówić na ten temat dni całe; Görgöly zaś, już to przez uczucie przyjaźni, już dla tego, że miał tu obszerne pole do zastosowania swojego żartobliwego dowcipu, chętnie podtrzymywał rozmowę.

Rogalski ich oczekiwał i spotkał w chwili, kiedy zsiadali z koni, powierzając je opiece służącego z leśnictwa.

Był on dziś jeszcze może więcej smutny, niż zawsze, lecz w tym smutku widniał już spokój i rezygnacya, które zajęły miejsce buntowniczego bólu i rozpaczliwych wybuchów.

Jakby chcąc jaknajprędzej się załatwić z niemiłą rozmową, już wnet po przywitaniu oświadczył się z gotowością, aby jutro wyjechać, o ile Jerzy zechce dziś przyjąć od niego kasę i księgi leśnictwa.

— Czeka pana również niemiłe, lecz konieczne spotkanie z p. Purchałą, który ma tu przybyć zaraz— zwrócił się do Jerzego.

— A czyż nie można tego uniknąć?

— Trudnem, a śmiem sądzić, że i szkodliwem to będzie. Obecność pańska przy ostatecznym moim rachunku z Purchałą, który występuje tu w imieniu głównego kupca, dla podsumowania wszystkiego co wydaliśmy z lasu, jest prawie niezbędna zarówno dla pana, by uniknąć przyszłych nieporozumień, jak i dla mnie, by się uchronić przed możliwemi

insynuacyami tego pana, które już wiem, jakiej mogą być miary.

— Więc dobrze, panie Juljanie, niech pan będzie łaskaw zająć się tem przy mnie, skoro ten pan przybędzie; ja postaram się być możliwie uważnym, lecz niemym świadkiem.

Przechodzili w tej chwili około drzewa, w cieniu którego leżał przykuty na łańcuchu niedźwiedź. Görgöly pośpieszył do niego, witając gestem i wołaniem, lecz Sweno nie ruszył się z miejsca, a tylko mruknął z niezadowoleniem.

— Sweno, jak każdy ujarzmiony mieszkaniec puszcz, przechodzi teraz chorobę wiosny, jest już od kilku dni silnie podrażniony i kapryśny, muszę go więc prawie ciągle trzymać na łańcuchu, a to tembardziej, że mam ciągle do czynienia z masą interesantów, którzy przychodzą do leśnictwa,— objaśnił Rogalski, powstrzymując Andrzeja, który chciał zbliżyć się do niedźwiedzia.

Poczem sam zbliżył się do Swena i rozkazał mu powstać.

Niedźwiedź, aczkolwiek niechętnie, podniósł się na tylne łapy i zbliżył się do stojących młodych ludzi i Madziara.

Pieszczoty, których mu nie szczędzono, a może bardziej jeszcze przyjacielskie figle Madziara, udobruchały mrukliwego Swena, który już prędko po-

kazał zęby w oryginalnym swoim niedźwiedzim uśmiechu.

— Musimy go zabrać z sobą, panie Rogalski,— prosił Görgöly—niech pan niezwłocznie każe zrobić klatkę, bo tylko w ten sposób pozwolą nam na tę zabawę.

— Wyobraźcież sobie panowie zdumienie moich sąsiadów, kiedy mię za kilka tygodni poznają w kostjumie słowaka który będzie pokazywał sztuki z niedźwiedziem, przy towarzyszeniu cygańskiej kapeli. To projekt, który urodził się w mojej głowie dzisiejszej nocy, i jestem prawdziwie dumny z niego, przekonam bowiem mych przyjaciół z Jock'ay-klubu, że i ja w ostateczności będę mógł zarobkować na chleb powszedni po stracie majątku, który w tej chwili jeszcze posiadam.

Na wniosek Jerzego udali się do mieszkania i tam w kancelaryi Jerzy niezwłocznie przystąpił do przyjęcia ksiąg i rachunków. Wobec porządku, w jakim Rogalski utrzymywał księgi, zadanie było tak nietrudne, że już po upływie półgodziny miało się ku końcowi, kiedy stary Onufry oznajmił przybycie Purchały.

Przyjechał on przed chwilą i, wysiadłszy z bryczki cokolwiek przed leśnictwem, gdyż konie płoszyła zawsze obecność Swena, szedł powolnie z cygarem w ustach, spoglądając na oprowadzane wierzchowce

hrabiowskie. Brzydki, złośliwy uśmiech ukazał się na jego niemiłej twarzy, lecz wnet się zmienił w wyraz przerażenia, kiedy usłyszał za sobą głuchy i groźny pomruk niedźwiedzia. Zwierzę stanęło na tylnych łapach i szarpiąc się na łańcuchu, wyraźnie zdradzało swą niechęć i rozjątrzenie.

Purchała, jakkolwiek przestraszony z początku, później widząc, że niedźwiedź jest na grubym łańcuchu przywiązany, splunął z pogardą i rzucił w niego niedopałkiem cygara, który uwiązł w kudłach zwierzęcia.

Potem wszedł już na ganek i skrył się za drzwiami kancelaryi, kiedy niedźwiedź zawył boleśnie i zaczął się tarzać po ziemi.—Ogień cygara zatlił jego sierć, parząc skórę zwierzęcia i zmuszając je do tych skoków ochronnych w celu zdławienia ognia.

Kiedy Purchała wszedł do kancelaryi i powitał zebranych ukłonem, w którym obok pewnej lokajskiej uniżoności przebijała się i duma dorobkiewicza, Rogalski wezwał go natychmiast do załatwienia obowiązującej kontroli.

Jerzy usiadł zdala na kanapie, a Görgöly, nie chcąc krępować wszystkich swoją obecnością, a siebie narażać na nudy słuchania o rzeczach nic go nie obchodzących, wyszedł przed dom i poszedł do Swena. Łatwo spostrzegł on zaraz, że Sweno, je-

szcze jest bardziej rozgniewany, i postanowił go bezwarunkowo rozchmurzyć. W tym celu przedsięwziął wędrówkę do kuchni i tam za pomocą bogatej mimiki dostał spory garnek mleka, z którym pośpieszył do niedźwiedzia.

Widok garnka dobrze podziałał na łakotnisia, który już zdaleka wyciągał łapy po ulubiony napój.

Görgöly bez obawy zbliżył się i dając niedźwiedziowi swobodę rozprawiania się z zawartością garnka usiadł na jakimś pniaku tuż obok zwierzęcia. Wtedy poczuł on woń spalenizny i, szukając dokoła przyczyny, spostrzegł duży płazt wysmalonej sierśc ina boku Swena.

— Któż cię tak uczęstował, nieboraku? czy czasem nie kucharka, której garnki z przed nosa zabierałeś? no, przyznaj się Sweno!

Niedźwiedź z łbem do połowy schowanym w garnku odpowiadał tylko wesołym pomrukiem. Lecz oto mleko już wypite, łakomy Sweno, przechylając garnek coraz bardziej dla wypicia ostatnich kropli, stanął wreszcie z garnkiem na głowie, jak w hełm ubrany.

— Tak to lubię,—mówił ucieszony Andrzej— wypiłeś mleko i jesteś znowu w dobrym humorze, tak jak ja, gdy wypiję butelkę starego maślacza Lecz oddaj no ten garnek, bo ja za jego całość odpowiadam przed kucharką, która musi być złą,

jak wnoszę z tej twojej oparzelizny, a nie chciałbym jej złości na sobie doświadczyć.

Sweno w dalszym ciągu usiłował wyrazić swą wdzięczność Andrzejowi za nadprogramowe śniadanie, robiąc niesłychanie pocieszne miny i gesty. Stosunek przyjaźni został po upływie półgodziny zawiązany tak ściśle, jakby się z sobą już oddawna znali.—Kilkakrotnie podczas figlów ujmując za obrożę, która opasywała szyję Swena, Andrzej spostrzegł, że jest ona nie na zamek, lecz tylko na sprężynę zamknięta, która się łatwo dała otworzyć po kilku tylko usiłowaniach. Postanowił więc uwolnić niedźwiedzia i zaprowadzić go do kancelaryi, aby pochwalić się przed Jerzym i Rogalskim, jak prędko i daleko posunął się w łaskach u Swena.

Jak pomyślał, tak zrobił, i już za chwilę szli obok siebie w przyjacielskiej harmonii ku gankowi domu.

Kiedy Görgöly otworzył drzwi kancelaryi, obecni tam powitali go zdumieniem, oprócz Purchały, który wydał okrzyk przestrachu.

— Niech pan będzie spokojny,—przemówił do niego Rogalski, a sam od biurka szedł ku niedźwiedziowi.

Lecz w tej chwili stało się coś niezrozumiałego.

Sweno ryknął straszliwie, aż szyby w oknach głośno zadzwoniły, stanął wnet na tylnych łapach i błyskając czerwonemi oczyma ruszył na Purchałę.

W jednej chwili wszyscy zrozumieli, że Sweno zerwał pęta obłaskawienia i wychowania i że się w nim zbudził dziki, groźny mieszkaniec lasu.

— Sweno, leżeć—krzyknął piorunującym głosem Rogalski, a Andrzej chwycił z tyłu za sierć zwierzęcia.

Lecz Sweno odpowiedział tylko groźnym porykiem i szedł dalej na Purchałę, który jak pijany zatoczył się tyłem na fotel w przeciwległym kącie pokoju.

Groza chwili była straszna i wyraźna dla wszystkich. Jerzy zerwał się z miejsca, jakby gotując się do walki, a Andrzej w dalszym ciągu szamotał się ze zwierzęciem, usiłując je zatrzymać.

— Niech pan odstąpi—zagrzmiał głos Rogalskiego, który chwycił jedną z siekier i poskoczył wprost na niedźwiedzia.

Siekiera z okropnym zamachem spadła na łeb zwierzęcia, które piekielnym rykiem odpowiedziało na uderzenie. Lecz cios wymierzony w pośpiechu był w części chybiony, choć straszny siłą: zniósł on zwierzęciu skórę z lewej strony pyska i zadał szeroką ranę w łopatkę i obojczyk, z której strumień krwi splynął wnet na podłogę i kudły Swena.

Rogalski aż pochylił się od siły zamachu i w tej chwili prawa przednia łapa chwiejącego się niedźwie-

dzia objęła go za piersi i pociągnęła za sobą na ziemię w strasznym, przerażającym uścisku.....

Dał się słyszeć głuchy chrzęst łamanych żeber i jęk nieszczęśliwego Rogalskiego.....

W tej samej chwili Görgöly wypalił z rewolweru w ucho zwierzęcia, a straszliwe kły Madziara wpiły się w gardło Swena, ale ratunek był spóźniony, bo już z ust i nosa Rogalskiego krew rzuciła się gwałtownie....

Jerzy własnemi rękami odsunął łapy drgającego w konwulsjach konania Swena i natychmiast przy pomocy Andrzeja podniósł Rogalskiego z ziemi i ułożył z głową wzniesioną na kanapie.

Ranny stracił przytomność i był blady okropnie, a krew uchodziła ciągle i niepowstrzymanie....

Zbiegła się służba, płacz i szlochanie rozległy się dokoła, ktoś przyniósł jednak lód, a Görgöly zdobył garść soli, i temi środkami próbowano ratować na razie.

Jerzy wyskoczył na ganek i rozkazał jednemu z gajowych pędzić na swoim wierzchowcu wprost do Włodawy odległej o cztery mile, a sam na kartkach pugilaresu kreślił pośpiesznie wezwanie do miejscowego lekarza o natychmiastowe przybycie i depeszę do warszawskiej znakomitości—chirurga tejże samej treści.

Gajowy już siedział na koniu, który rzucał się pod nim niespokojnie.

— Pędź, co koń wyskoczy! możesz konia zabić, ale za godzinę musisz być w Włodawie—powiedz doktorowi, by natychmiast brał pocztę i przyjeżdżał— w drodze spotkają go moje konie.

Wierzchowiec sparł się gwałtownie na tylnych nogach i jednym skokiem był już za bramą, a za chwilę już zniknął z oczu.

Na drugim wierzchowcu popędził drugi gajowy do dworu z rozkazem wysłania dwóch par koni z bryczką i przybycia jeszcze dwóch konnych posłańców do leśnictwa. Kamerdyner Jerzego miał przybyć z potrzebnemi rzeczami i winem, których brakło na leśnictwie.

A biedny Rogalski podtrzymywany przez Andrzeja leżał blady, lecz już z otwartemi oczyma, usiłując przełykać drobne kawałki lodu i z całą piersią lodem obłożoną. Osiwiały Onufry, płacząc jak dziecko, pochylał się nad nim, szepcąc, jak słowa modlitwy.

— Paniczu ty mój, paniczu mój złoty!

Jerzy powrócił do rannego i mokrym ręcznikiem zbierał krew już słabiej i mniej obficie płynącą.

W oczach wszystkich widniała boleść nieudana, która snadź stała się zrozumiałą i dla rannego,

gdyż w tej chwili powiódł on oczami dokoła, a w oczach tych zabłysła tkliwość i rozrzewnienie.

— Nic mię nie boli—wyszeptał, jakby dla uspokojenia obecnych, ale Jerzy wymownym gestem nakazał mu milczenie.

Onufry jeszcze chwilę popatrzał na swojego panicza, a potem wyszedł pocichu z pokoju, wyprowadzając za sobą dwóch mężczyzn ze służby. Zlecił wywołanym, aby natychmiast zajęli się cichem usunięciem zabitego niedźwiedzia z pokoju, a sam, nic nie mówiąc, chyłkiem puścił się przez las znanemi sobie ścieżkami w kierunku prostym—do Ostrówka, co chwila pięścią ocierając zalzawione oczy.

— A pan Purchała?—wyszeptał Rogalski.

Dopiero wtedy wszyscy obejrzeli się, szukając w pokoju nielubionego Purchały. Leżał on przez pół na fotelu z rękami rozstawionemi i przerażająco siną twarzą, a więc musiał zemdleć ze strachu i dotąd, choć już więcej pół godziny minęło, jeszcze się nie ocknął. Jedna z kobiet bryznęła na leżącego kilku kroplami wody, lecz ten się nie ruszył.

Jerzy zbliżył się i ujął go za rękę, ale ręka już była prawie sztywna, targnął silnie za ramię, lecz tylko głowa silniej w tył opadła.... Purchała już nie żył.....

Przerażenie, jakiego doznał, spowodowało gwałtowny atak apoplektyczny, który go zabił, zanim ktokolwiek mógł pomyśleć o jakimś ratunku.

Jednego z nich, albo Rogalskiego, albo Purchałę należało natychmiast usunąć z pokoju, gdyż widok trupa mógł dobić nieszczęśliwego rannego. Kanapa wraz z Rogalskim, ujęta przez Jerzego, Andrzeja i dwóch chłopów została wolniutko przeniesiona do sąsiedniego pokoju.

— Pan Purchała zemdlał, lecz już go cucą — odpowiedział choremu Jerzy.

Jeden z obecnych zaproponował otworzyć żyłę na ręku Purchały, lecz krew już z rany nie pociekła, tworząc tylko skrzep mały na samej ranie.

Wolno płynął czas wszystkim w dręczącej niepewności i oczekiwaniu. Głuchy, coraz wyraźniejszy, turkot zbliża się ku domowi leśnictwa, już ustał przed gankiem. Ranny otwiera oczy, które miał przymknione, i zwraca je z oczekiwaniem na drzwi pokoju. W oczach tych nagle zajaśniała radość i szczęście—to Marya w towarzystwie matki szła ku niemu trwożna i tak wyraźnie, tak serdecznie bolejąca..... Jeszcze zdołał podnieść rękę, by ująć dłoń Maryi i uścisnąć ją słabo.

— Bałem się, by nie umrzeć bez widzenia pani— szeptał cichutko, a oczyma jakby chłonął w siebie jej wdzięczną postać, teraz tak smutną i zalzawioną....

— Pan musi żyć dla nas wszystkich!—i natychmiast wraz z matką wzięły w opiekę rannego z tą łatwością i wprawą, które są niemal wrodzone każdej kobiecie. Na chorego już sam jej widok i dotknięcie rąk zdawały się wywierać wpływ bardzo zbawienny, bo nawet twarz jego zabarwiła się leciuchnym kolorem rumieńca.

— Nie, pani, czuję, że życie ze mnie uchodzi,.... może to i lepiej..... mniej żalu i goryczy w tej chwili doznaję, niźli..... może..... później, w życiu.....

Marya w milczeniu położyła mu dłoń na ustach, zmuszając go tem do milczenia, lecz chory dłoń tę ujął ręką z wysiłkiem i, całując kilkakrotnie, znowu przemówił.

— Nie broń mi, pani, tych słów kilku, bo one mię nie zgubią ani na chwilę nawet prędzej, a dają mi możność oddać ostatnią mą myśl nawet tobie, pani, z której imieniem skonam na ustach, błogosławiąc je na wieczność całą..... na życie w szczęściu.....—poszukał oczami Jerzego, który stał cokolwiek dalej— ..... z człowiekiem ukochanym i kochającym.....

Tłumione łkania wstrząsnęły Maryą, która pochyliła się kryjąc twarz w dłoniach. Jerzy stanął tuż obok, a na twarzy jego mogli wszyscy czytać wyraźnie, jak bardzo cierpiał w tej chwili.

— Nie mam żalu do was obojga—bo mię nie zdeptaliście bezlitośnie, idąc po mnie, dla splecenia waszych dłoni: i dziś ja za to, w chwili skonu, błogosławię wam na drogę życia,..... która oby była jaknajdłuższą!.... Dobra moja przyjaciółko! jeszcze raz i już ostatni dziękuję ci za te chwile szczęścia, które dzięki tobie przeżyłem i których wspomnienie tak żywo budzi się we mnie, gdy cię widzę teraz tu, przy sobie.....

Zamilkł wreszcie zmęczony, a w pokoju było tak cicho, tak ciężko i smutno..... gwałtowny tentent tem wyraźniej dał się słyszeć i urwał się pod oknami. To śpienione araby Jerzego przyniosły, jakby na skrzydłach, lekarza z Włodawy, którego wzięły z ekstra-poczty o dwie mile od leśnictwa; lekarz stanowczo był więcej zmęczony od arabów.

Zaledwie wygramolił się on z bryczki, już Jerzy był przy nim i wiódł go do chorego, naprędce opowiadając te szczegóły całego wypadku, które mogły się przydać przy podaniu ratunku.

Na żądanie lekarza wszyscy opuścili pokój oprócz Jerzego i starego Onufrego. Ranny smutnem spojrzeniem powiódł za wychodzącą Maryą, w którem łatwo mogła ona wyczytać prośbę błagalną, by wróciła jaknajśpieszniej.

Podczas oględzin lekarskich ranny zdradzał silną niecierpliwość i rozdraźnienie, które lekarz kładł na

rachunek bólu, jaki był zmuszony mu sprawić, zmuszając do pewnej pozycyi, ruchu rąk, wydania głosu.

— Już kończę—uspokajał Rogalskiego i okrywając pierś jego na nowo okładami z lodu.

Ranny zapytywał go wzrokiem tak wymownie o stan swój, że lekarz był w niemałym kłopocie, jak się wykręcić z przykrego położenia.

— Oczekuję najgorszego—przemówił wreszcie Rogalski głosem spokojnym, choć bardzo słabym— chciej pan tedy nie zadawać sobie trudu oszczędzania mnie, i proszę o szczere pańskie zdanie, jak pan znajduje mój stan w tej chwili?

— Niezaprzeczenie bardzo niebezpiecznym a to tem bardziej, że ja tu, niestety, nic panu z całą moją umiejętnością pomódz nie mogę. Obrażenie głównych organów jest tak silne skutkiem zgniecenia klatki piersiowej i jednocześnie tak niemożliwe do poprawienia, że ja za nic nie ręczę.

— Czyli innemi słowami—czeka mię śmierć niechybna.

— Tak, o ile organizm pański samodzielnie nie objawi tak wielkich sił odpornych, które by pozwoliły panu powstać już choćby kaleką na całe życie, ale ja o tych siłach niewiele mogę wnioskować.

— Przyjm moją wdzięczność, doktorze, za słowa prawdy, któremi wyświadczasz mi istotną przy-

sługę. Proszę, bądź pan tak dobry i powiedz mi, ile mi jeszcze życia zostaje?

— O, to już przechodzi moję możność, więc nie będę nawet próbował spełnić pańskie życzenie; robię tylko uwagę,—i tu zwrócił się do Jerzego— że przy takim stanie chorego każde silniejsze wzruszenie będzie tylko przyśpieszeniem smutnego końca.

I po tych słowach lekarz powstał, zachowując spokój zupełny, lecz łatwo mógł widzieć każdy, ile ciepłego współczucia kryło się na jego twarzy.

Onufry stał przy nogach Rogalskiego, lecz z twarzą odwróconą; biedny starzec drżał cały ze wzruszenia, nie mogąc powstrzymać dwóch strug łez, które płynęły mu z oczu.

Lekarz opuścił pokój, przeprowadzony przez Jerzego, a ranny cichym głosem przywołał do siebie Onufrego.

— Nie płacz, wierny mój przyjacielu, życie nie zdawało się dla mnie zapowiadać szczęśliwie, więc lepiej, że je kończę..... gdzie jest panienka z Ostrówka?

Onufry wyszedł i wrócił za chwilę razem z Maryą.

Rogalski oczyma zdawał się żądać, by się do niego zbliżyła, pośpieszyła więc spełnić to żądanie rannego, stając przy nim i lekko pochylając się nad kanapą przy jego głowie.

Promienie słoneczne oświetlały ją wybornie, dając możność Rogalskiemu widzieć te przepiękne rysy i kształty, których wdzięku nawet śmierć blizka nie udaremniała.

Na twarzy rannego odbił się wyraz buntowniczego protestu przeciw tej śmierci nieubłaganej, przeciw temu losowi, który tak wrogim był dla niego. Poruszył się gwałtownie, obie ręce wyciągając ku Maryi, a krew szeroką falą buchnęła z ust jego, znacząc dokoła ogromne plamy purpurowe.

Przerażona Marya położyła swe dłonie na obu jego ramionach, usiłując przywrócić tak potrzebny rannemu spokój, a kiedy te ramiona udało się jej ułożyć wygodnie, jednym ruchem nakryła te purporowe plamy prześcieradłem, które znalazła pod ręką. Do pokoju weszli Jerzy i Andrzej i, na palcach stąpając, zbliżyli się do rannego.

On w tej chwili oczy otworzył—oczy już łzawe i szkliste. W ostatnich chwilach agonii wraz z zupełnym upadkiem sił życiowych — przyszły łzy, a śmierć bliska zrodziła niewypowiedzianie bolesną rezygnacyę.

Już nie mógł mówić, więc wzrok przenosząc kolejno po otaczających, żegnał ich na zawsze.....

«Panie Boże wszechmogący»..... zaczął modlitwę Onufry, padając na kolana, lecz słowa modlitwy

zginęły w powodzi łkań, które mu z piersi buchnęły z całą gwałtownością.

Ranny bez głosu kilkakroć poruszył ustami, westchnął lekko i skonał.

X.

Od okropnego wypadku w domu leśnictwa już upłynęły dwa miesiące. Jerzy, przez cały ten czas pracując niezmordowanie, zdobywa sobie spokój i równowagę uczuć, które już były mocno zachwiane. Lecz nie samej pracy jedynie to zawdzięczał. Dobroczynny wpływ Maryi odegrał rolę niemniej ważną, a dla Jerzego już to bezspornie i przyjemniejszą i wymowniejszą.

To też z dniem każdym, z każdą niemal godziną rosło i potężniało w nim przywiązanie dla Maryi, lecz próżno ją błagał o przyśpieszenie ślubu — umiała go zawsze przekonać, że nic oboje nie stracą, czekając rok jeszcze, a wiele zyskać mogą.

— To próba ogniowa dla naszego przywiązania — mówiła z czarującym uśmiechem, — którą zresztą jesteśmy w możności sobie wzajemnie uprzyjemniać dowolnie, ale tem niemniej jest ona konieczna. Ja potrzebuję tego czasu, aby się przygotować być hrabiną Hołodaj i panią ogromnych

posiadłości, a pan, panie Jerzy, musi przecież pokończyć swoje rachunki z tradycyą, wymaganiami tego świata, do którego pan należy, a może nareszcie i ze swojemi własnemi, gdzieś głęboko ukrytemi marzeniami, które mogłyby kiedyś, jak widma, powstać groźne i zatruć życie — twojej Maryi.

— Próżne obawy, próżne zastrzeżenia! lecz cóż mi zostaje, jak tylko już zawczasu przyzwyczajać się do ślepego posłuszeństwa mojej władzy jedynej, a tak groźnej,—odpowiadał Jerzy i całował z uczuciem obie rączki tej władzy, oczami jakby szukając jeszcze innego sposobu złożenia hołdu poddania się.

Lecz Marya groziła mu paluszkiem i udaną surowością spojrzenia, a wtedy Jerzy udawał skruszonego aż do najbliższej sposobności, — kiedy już brał ją, tę swoję ukochaną Maryą w ramiona i całował długo i gorąco. Po chwili zaś pytał z miną niewiniątka «czy można?»

— Brzydki, niegodziwy człowiek! — łajała go Marya słowami, ale oczy jej świeciły takim blaskiem szczęścia i miłości, że Jerzy już był spokojny o następstwa występku, kiedy same jego czyny poprzedzały prośbę o pozwolenie, zanoszoną przed majestat tej surowej władzy. Był szczęśliwy, więc mógł być cierpliwy.

Lecz oto poczta i telegraf znowu wyrywają Jerzego z Ługolasów. Przychodzi wieść z Paryża,

że hrabia Henryk zginął w pojedynku z jakimś kosmopolitycznym baronem—szulerem, a przyczyną pojedynku była zbyt głośna niedyskrecya barona w przechwalaniu się łaskami hrabiny Amalii, a prawie jednocześnie z tą wieścią bezimienną otrzymuje Jerzy własnoręczny list bratowej, która go błaga o regulowanie interesów ś. p. hr. Henryka w Warszawie, nie mogąc sama w tym celu przyjechać do kraju, dla smutnego stanu zdrowia, w który popadła od śmierci męża.

Kański zaś telegrafuje z Warszawy, że hr. Joanna Nowomiejska, której on stale wypłaca co miesiąc znaczną zapomogę przez Jerzego naznaczoną, jest niebezpiecznie chora i wzywa Jerzego, jako najbliższego krewnego, by jaknajprędzej przybywał.

Jerzy przybywa do Warszawy i, po ogólnej naradzie z Kańskim, śpieszy do ciotki, która mieszkała w mieszkaniu w tym czasie, jak zwykle, niezajętem przez gospodarzy hr. Henryka z żoną.

Lecz jakież było zdumienie Jerzego, kiedy w tych wspaniałych apartamentach, zastał hałas i ciżbę, towarzyszące publicznej licytacyi sprzętów i mebli w tym czasie dokonywanej. Po wszystkich pokojach snuły się tłumy handlarzy i spekulantów, zajętych licytacyą i oglądaniem rzeczy, i Jerzy długo błądził, napróżno usiłując od kogokolwiek dowiedzieć się o hr. Joannie.

Aż nakoniec zaszedł w stronę kuchni i pokojów dla służby i tu spotkał służącą, która na jego pytanie odpowiedziała gotowością natychmiastowego zaprowadzenia go do hrabianki.

W małym półciemnym pokoiku służby, niemal zupełnie pozbawionym sprzętów, na lichem łóżku żelaznem leżała wynędzniała hr. Joanna. Jerzy poprosił służącą, by wyszła, i zbliżył się do łóżka, witając leżącą ukłonem.

— Witam cię, hrabio Jerzy, żałośnie wyjęczała zbiedzona i jeszcze drobniejsza, jak zawsze, postać kobieca, w której Jerzy mógł raczej domyślić się, niźli poznać ciotkę.

— Czy widzisz, do czego doszłam? ja, Nowomiejska, w najgorszym pokoju służbowym, leżę tu na barłogu, będąc pozbawiona wszystkiego: opieki, pomocy lekarskiej, a nawet nieraz i posiłku skromnego.

— Nie rozumiem, dla czego się to dzieje, wszak pan Kański wypłaca ciotce co miesiąc siedemdziesiąt pięć rubli, które powinnyby najzupełniej wystarczać. Nie wiedziałem nic o chorobie, byłbym na jej czas tę sumę podwoił.

Chora tylko jęknęła żałośnie, a później drżącą ręką nacisnęła dzwonek, stojący na małym stoliczku przy łóżku.

Nadeszła służąca.

— Bądź łaskaw, hrabio, i ją zapytaj, co się robi z temi pieniędzmi, gdyż już od dwóch miesięcy oprócz niej tu nikt więcej nie wchodzi do pokoju.

Jerzy spojrzał na dziewczynę, na której twarzy dostrzegł pomieszanie i chytrą przebiegłość.

— Ja i sama powiem bez pytania, bo nic tu nie mam do skrywania, przecie ja tych pieniędzy nie kradnę.

— Ale cóż przecie robi się z niemi, skoro tu widzę nędzę niemal zupełną? — pytał Jerzy niecierpliwie, oczami wskazując na kawałek suchej bułki na stoliku leżący.

— Panienka mi ciągle mówiła, jak bardzo ona przez całe życie pomagała biednym i wierną była kościołowi, ja też na tej zasadzie część pieniędzy nosiłam na msze za jej zdrowie i jałmużny. Zresztą nie potrzebuję się tłómaczyć, bo i tak z łaski tu mojej leży, ale już tego nie długo będzie po dzisiejszej licytacyi.

Jerzy miał gwałtowną ochotę rzucić o ziemię tę bezwstydną istotę, lecz powstrzymał się siłą woli, a dziewczyna snadź dojrzała w jego spojrzeniu silne oburzenie, bo pośpieszyła opuścić pokój.

— Ciotko, ty tu zostać dłużej nie możesz, zajmę się tem, by cię niezwłocznie umieścić odpowiednio, i wezwę pomocy dobrych lekarzy.

Chora tylko żałośnym jękiem odpowiedziała na jego słowa. Jerzy próbował za pomocą dzwonka ponownie przywołać służącą, lecz dzwonił napróżno, poszedł więc sam, lecz nigdzie nie znalazł dziewczyny. W salonach licytacya już była ukończona, a tłumy tragarzy i posłańców publicznych były zajęte wynoszeniem sprzętów z mieszkania.

Jednego z posłańców przywołał Jerzy i wysłał go z kartką do pani Kańskiej, którą prosił o niezwłoczne przysłanie jakiej kobiety do usług przy chorej, a sam powrócił do ciotki.

Znalazł ją siedzącą na łóżku i jakąś rozgorączkowaną, z dużemi czerwonemi plamami na wychudłej i pomarszczonej twarzy, zwróciła się gwałtownie ku wchodzącemu i pytała niespokojnie.

— Czy hr. Szymon nic ci nie pisał lub nie mówił przed śmiercią o mnie?

— Nie, nic ciotko.

Chora jakby uspokoiła się trochę pod wrażeniem tych słów. Zdawała się być przez kilka minut pogrążona w ciężkiej zadumie, której towarzyszyły bolesne westchnienia i utrudniony, świszczący oddech.

— Wiesz, hrabio, że wszystko i wszyscy mię jakoś zawiedli w tym sezonie. Miałam nadzieję wyjazdu za granicę, najprzód do wód, a później na

parumiesięczny wypoczynek w Szwajcaryi lub nad Rivierą, a leżę tu chora i taka opuszczona! — kończyła skargą żałosną.

Jerzy oczekiwał zapytania o Ludwiku, lecz chora umilkła, a sam on nie widział celu w poruszaniu tej sprawy bez jej woli i serdecznego współudziału.

Nadeszła niemłoda już kobieta przysłana przez panią Kańską i niezwłocznie zajęła miejsce przy łóżku chorej, która leżała w milczeniu i z przymkniętemi oczyma.

Jerzy wyszedł z pokoju i pośpieszył opuścić to wstrętne mieszkanie, w którem godzinny tylko pobyt rozstroił go bardzo znacznie.

Czekały go ciężkie narady z prawnikami, które mogły się przeciągnąć jeszcze bardzo długo i zatrzymać go na bruku miejskim. Zrywał się więc gwałtownie nieraz z chęcią ucieczki do siebie, do tych borów odwiecznych, cichej pracy..... i ukochanej Maryi, ale już samo wspomnienie o Maryi było dostateczne, aby go przykuć na miejscu i powrócić obowiązkom.

Czuł, że w oczach Maryi po takiej ucieczce mógłby dojrzeć milczący a tak wymowny protest, którego siłę poznał już na sobie, i znowu był silny i cierpliwy.

Hr. Joannę udało mu się umieścić we wzorowej lecznicy pod dozorem światłych i sumiennych le-

karzów. W interesach zaś hr. Henryka znalazł chętną pomoc u Kańskiego, który znał już je cokolwiek i zapewniał Jerzego, że one o tyle nie są w stanie rozpaczliwym, że po likwidacyi prawie na pewno zostanie jeszcze suma, od której dochód powinien wystarczyć na skromne utrzymanie bezdzietnej wdowy zmarłego. Rozpoczęły się codzienne układy z dłużnikami, którzy wobec występującego Jerzego okazali się nadspodziewanie skłonni do polubownego zakończenia rachunków. Kański z każdym dniem witał Jerzego coraz to nową jakąś pożądaną wiadomością, burza coraz więc wyraźniej uspokajała się, imię Hołodajów schodziło z ust tysiąca, z dzienników publicznych i z pamięci ludzkiej.

Mógł już Jerzy pomyśleć o powrocie, czekał tylko odpowiedzi od Ludwika, do którego się zwrócił wnet po przyjeździe do miasta z zapytaniem, czy pochwala jego projekt umieszczenia hr. Joanny i czy wobec jej choroby, o której lekarze dwuznacznie się wyrażają, nie zechciałby przyjechać do..... chorej.

Nadeszła nareszcie odpowiedź, której każde słowo tchnęło cichą boleścią i jękiem ukrytym. Ludwik dziękował za opiekę i pomoc, błagał jako o łaskę o pozwolenie, by on mógł koszta utrzymania hr. Joanny ponosić, lecz przyjazd uważał za niepotrzebny — «nie należy świadomie rozdrapy-

wać własną ręką rany, które czas i odrętwienie zdołały już cokolwiek zabliźnić» — pisał w swym liście.

Jerzy z westchnieniem ulgi list ten odczytał i pośpieszył natychmiast do Kańskich.

— Panie Jerzy! — wołał Staś na niego już w progu, — my już jutro jedziemy do Ostrówka, a pan czy pojedzie z nami?

— Z wami i zawsze z wami — odpowiedział Jerzy, tuląc malca w serdecznym uścisku.

Na stacyi kolejowej w piękną gwiazdzistą noc letnią przechadza się Marya w oczekiwaniu pociągu. Przyjechała ona na spotkanie siostry i brata — i wiadomości o nim, o tym ukochanym, który tam w mieście oddalony walczy z kłopotami i przykrościami bez miary.

Pociąg już musi być blisko, bo oto już służba stacyjna wychodzi przed stacyę. Dwa ogniste punkciki świecą zdala i szybko zdążają ku stacyi.

Pociąg staje ze świstem, sapaniem i łoskotem długiego szeregu wagonów. Marya, pochylona naprzód, usiłuje wzrokiem pochwycić jakiś szczegół znajomy wśród tłumu, goni oczyma tylko za gimnazyalnym mundurkiem lub postaciami kobiet, nie

dostrzega więc, jak i kiedy stanęła przy niej wysoka postać Jerzego, która naraz przesłoniła sobą wszystko: i pociąg, i podróżnych.

— Maryo, czyś mię czekała choć z odrobiną tęsknoty? — wpadł jej do ucha drżący szept znajomego głosu.

— Och! czekałam — mówi, podając obydwie ręce Jerzemu, — lecz już teraz nie puszczę cię więcej od siebie.

Wilno 1895 r.

KONIEC.